

KRAMEK-KOZŁOWSKA
MIĘDZYNARODOWE PRZEKRĘTY
NOWY POLSKI WĄTEK



DODATEK W PREZENCIE: „SUKCESY II RP"

ŁOSIEWICZ: CO ROBIĆ, GDY TWOJE DZIECKO PRZEŚladują W SZKOLE

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 21 (339) 2019
27 maja–2 czerwca
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS



KTO REŻYSERUJE AKCJE OPOZYCJI

BRUDNE GRY III RP

TA KAMPANIA POKAZAŁA, JAK POTĘŻNE SIŁY ZOSTAŁY RZUCONE DO WALKI Z OBOZEM KACZYŃSKIEGO. PRZEPROWADZONO KILKA WIELKICH OPERACJI. CZY PiS ZNAJDZIE NA TO RECEPTĘ PRZED JESIENNĄ BITWĄ O RZĄD?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

KONKURS

AŻ 340 WYJĄTKOWYCH NAGRÓD

plastyczny dla dzieci

POLSKA, MOJA OJCZYZNA

Konkurs plastyczny dla dzieci w wieku: • 5-9 lat • 10-16 lat •

1. Wykonaj pracę plastyczną swoją ulubioną techniką na temat „Polska, moja Ojczyzna”. Możesz skorzystać z pomocy rodziców.
2. Dołącz **2 kupony konkursowe** z tygodnika „Sieci”. Obok drukujemy ostatni, więc jeśli nie masz wcześniejszych kuponów, kup dwa egzemplarze tego numeru. Kupony wypełniają rodzice lub opiekunowie.
3. Wyślij pracę z dopiskiem „konkurs plastyczny” na adres redakcji: FRATRIA Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa. **Termin dostarczenia prac: 24 maja 2019 r.**
4. Sprawdź, co wygrałeś! **Listę nagrodzonych opublikujemy 3 czerwca 2019 r.** w tygodniku „Sieci” i na **www.wsieciprawdy.pl**.

PARTNER STRATEGICZNY: PZU

SŁODKI PARTNER: Pszczółka od 1952

PARTNER INSTYTUCJONALNY: Fundacja Niepodległości

PARTNERZY:

cybex

GRANNA

KAISERHOF - Cesarski Dwór -

KOMPAS obozy i kolonie od 1998r.

PKP POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE Spółka Akcyjna

Prószyński i S-ka

SKREAT

Wydawnictwo Świętego Filipa Apostoła

Wydawnictwo Fluks Popularnonaukowe



eprasa.pl/oa/01382



WYGRAJ JEDNĄ Z **340** NIESAMOWITYCH NAGRÓD:



<< **2** **wakacyjne obozy o wartości 2200 zł każdy** od Biura Turystyki Aktywnej KOMPAS



2 **weekendowe pobyty rodzinne** >> w KAISERHOF – Cesarski Dwór w Krynicy Morskiej **o wartości 1500 zł każdy**



<< **4** **vouchery o wartości 400 zł każdy** na zakupy odzieży, butów i dodatków



2 **krzesła CYBEX LEMO,** które dzięki regulowanym elementom rosną wraz z dzieckiem, **o wartości 769 zł każde** ∨∨



<< **25** **zestawów książek o przygodach Zuzi** o wartości 72 zł od wydawnictwa Skrzat

40 **książek „Chłopiec i pies”** o wartości 25 zł od wydawnictwa Prószyński i S-ka ∨∨



40 **książek „Kiedyś na pewno”** o wartości 32 zł od wydawnictwa Prószyński i S-ka >>





<< **150** **słodkich zestawów dla młodego patrioty:** komiks o Misiu Wojtku o wartości 16 zł od Fundacji Niepodległości i cukierki od Pszczółki o wartości 16 zł



^ **15** **zestawów książek patriotycznych o wartości 250 zł każdy** od Wydawnictwa Świętego Filipa Apostoła

40 **zestawów gier dla całej rodziny o wartości 140-195 zł każdy** od Granny ∨∨





^ **20** **zestawów książek podróżniczych o wartości 110 zł każdy** od wydawnictwa Skrzat

SIECI KUPON KONKURSOWY **NR 5**

imię i nazwisko rodzica/opiekuna . . . . . .

imię i nazwisko dziecka . . . . . .

data urodzenia i wiek dziecka . . . . . .

dokładny adres zamieszkania . . . . . .

. . . . . .

e-mail rodzica/opiekuna . . . . . .

telefon rodzica/opiekuna . . . . . .

Akceptuję regulamin konkursu.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie konkursowym do przeprowadzenia konkursu pod nazwą „Polska, moja Ojczyzna” przez Administratora – Fratria Sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni, ul. Legionów 126-128.

Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie konkursu „Polska, moja ojczyzna”, dostępnego na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie Administratora.

* pole do akceptacji

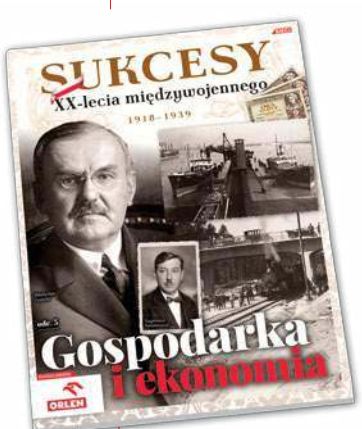
data . . . . . podpis rodzica lub opiekuna . . . . . .

eprasa.pl fcafcc1382

SIECI spis treści



52 *Z Tomaszem Terlikowskim rozmawia Jaromir Kwiatkowski*



61--72 Sukcesy XX-lecia międzywojennego *dodatek historyczny*



73 Czekoladowe rozmowy *Jolanta Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TRYBUNAŁ LUDU**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **CIEKAWY TYDZIEŃ**
Jan Pietrzak

15 **OPERACJA „PEDOFILIA”**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **RODO W ARCHIWACH**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **Z JÓZEFEM ORŁEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

27 **ŁATWIEJ JUŻ BYŁO**
Stanisław Janecki

KRAJ

30 **FUNDACJA OBRONY DEFRAUDACJI**
Marek Pyza, Marcin Wikło

35 **CZAS ZEJŚĆ NA ZIEMIĘ**
Konrad Kołodziejski

38 **Z ŁUKASZEM RZEPECKIM**
rozmawia Marcin Fijołek

41 **POKONAĆ SZKOLNĄ PRZEMOC**
Dorota Łosiewicz

44 **PO STRONIE FRANKOWICZÓW**
Kajetan Kutnowski

46 **Z LESZKIEM MAZUREM**
rozmawia Wojciech Biedroń

48 **SIĘGNĄĆ PO MILIONY PRZY PLAŻY**
Piotr Filipczyk

50 **M JAK MAJOWE (NABOŻEŃSTWO)**
Hanna Karp

52 **Z TOMASZEM TERLIKOWSKIM**
rozmawia Jaromir Kwiatkowski

58 **TRZYDZIEŚCI LAT DLA MAŁOLATA**
Jan Rokita

SIECI KULTURY

73 **CZEKOLADOWE ROZMOWY**
Jolanta Gajda-Zadworna

78 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

79 **KONIECZNY Z MONIUSZKĄ? KONIECZNIE!**
Adam Ciesielski

OPINIE

84 **DWAJ PAPIEŻE W CZASIE PRÓBY**
rozmowa Grzegorza Górnego

87 **NIEMIECKIE SNY O EUROPIE 2019**
Jan Parys

HISTORIA

90 **DYSKUSYJNA BIOGRAFIA „BUREGO”**
Piotr Gontarczyk

ŚWIAT

94 **TRZĘSIENIE ZIEMI W WIEDNIU**
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

98 **EUROPEJSKI KONGRES MIĘDZYPOKOLENIOWY**
dodatek gospodarczy

SPORT

112 **Z WALDEMAREM FORNALIKIEM**
rozmawia Cezary Kowalski

NATURA DLA LUDZI

114 **TE NIEZWYKŁE SSAKI**
Przemysław Barszcz

ZDROWIE

116 **KOMBUCZA, CZYLI BAKTERIE PRACUJĄ**
Anna Monicka

KUCHNIA

118 **MOJE SMAKI: PAULINA FOREMNY**
Jolanta Gajda-Zadworna

119 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

120 **SZCZEPIENIE NA CHCIWOŚĆ**
Maciej Pawlicki

122 **KAMPANIJNE ROZGRYWKI**
Wojciech Reszczyński

123 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

124 **POLSKA JAK Z FILMU**
Aleksander Nalaskowski

125 **NADLUDZIE**
Wiktor Świetlik

126 **KULTURA ŚMIERCI**
Jan Pospieszalski

127 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

128 **PODRASOWANY FORTEPIAN**
Ryszard Makowski

129 **DALEKIE WIOSNY**
Leszek Długosz

130 **SENSU BĘDZIE MNIEJ**
Andrzej Zybertowicz

Autopromocja

partner działu gospodarka

Bank Pekao

4/0319/F

eprasa.pl fcafcc1382

Jeszcze Kościół nie zginął

„Nie ma słów, aby wyrazić nasz wstyd z powodu skandali seksualnych z udziałem duchownych. Są one powodem zgorszenia i domagają się potępienia, a także wyciągnięcia surowych konsekwencji wobec przestępców i osób skrywających takie czyny" – napisali biskupi po posiedzeniu Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski.

To ważny komunikat, zwłaszcza część zapowiadająca konkretne działania. Bo choć kontekst całej sprawy wywołanej głośnym filmem jest wyraźnie polityczny, choć towarzyszy mu często nieuczciwa, a bywa że wulgarna nagonka na Kościół, to dziś pasterze nie mogą się już cofnąć. Muszą przejść tę drogę do końca i im szybciej to zrobią, im mocniej będą cięli chorą tkankę, tym lepiej. Na całą sytuację można spojrzeć także jako na szansę na jednoznaczne uporanie się z problemem, który poprzez swoje konsekwencje zagraża samym podstawom Kościoła. Z problemem, który przez wrogów Kościoła został rozdęty ponad wszelkie proporcje, ale który także realnie istnieje i który łączy się również z innymi, bardzo trudnymi kwestiami (np. infiltracją Kościoła przez różnego rodzaju lobby).

Pełny krajobraz po tym potężnym wstrząsie zobaczymy za kilka miesięcy. Dziś jednak można już zaryzykować tezę, że choć Kościół wychodzi z kryzysu osłabiony i obolały, to jednak wciąż żyje. Nie został złamany, a więź dużej części Polaków z wiarą nie została zerwana; świątynie jeszcze nie świecą pustkami. Nie wszystko się udało reżyserom całej operacji, bo przecież było to precyzyjnie zaplanowane działanie. Polacy, wiemy to nie od dziś, czasem potrafią się oprzeć także takim manipulacjom, które teoretycznie są perfekcyjne. To taka nasza polska specyfika, która już niejednego zaskoczyła.

O jednym warto także pamiętać: w Polsce żyje bardzo liczna grupa ludzi, która Kościół już dawno porzuciła. Wielu naszych rodaków ulega również presji cywilizacyjnej i kulturowej, która popycha ich w tym kierunku. To te dwie grupy reagują najmocniej na oskarżenia pod adresem i całego Kościoła, i poszczególnych księży. Ta reakcja jest jednak przede wszystkim potwierdzeniem wcześniejszego wyboru, jest jego uzasadnieniem post factum. Bez uwzględnienia tego faktu przecenimy skalę tego, co się zdarzyło.

Jest w Kościele wielu wspaniałych, (nie)zwykłych kapłanów, którzy swoim życiem dają świadectwo nie tylko wiary, ale także osobistej skromności, uczciwości, poświęcenia dla innych. Kapłanów, którzy także dowiedli dużych zdolności organizacyjnych i którzy mogą się pochwalić poważnym doświadczeniem życiowym i duszpasterskim. Obecny zakręt Kościoła to dobry moment, by takich właśnie ludzi śmielej wynosić do godności biskupiej. Dadzą oni Kościołowi tak pilnie dziś potrzebne wiarygodność, świeżość i energię. Być może zmienią też mocno zakorzeniony w świadomości społecznej, zazwyczaj niesprawiedliwy, obraz wysokich urzędów kościelnych. Nie ma co się wahać, bo czasy idą trudne i trzeba umieć na nie odpowiedzieć. A na atak najlepiej odpowiada się własną ofensywą.

Jacek Karnowski



eprasa.pl fcafcc1382



Sygnalista nadaje

Do długiej listy wyzwisk pod adresem wyborców PiS doszło kolejne „biomasa". Jako pierwszy upublicznił je członek establishmentu Walter Chełstowski. „Biomasa nie czyta, nie słucha [o aferach]. Normalna Polska czy biomasy? Wcześniej czy później biomasa też zacznie pojmować. Albo nie. Wystarczy pisać i rachować. Na kolanach" – stwierdził. Twórcy niemieckich gadzinówek dla Polaków mieli chyba więcej szacunku dla swoich czytelników niż Chełstowski dla swoich rodaków.

Niebiomasa zebrała się w Warszawie na marszu opozycji. Nie było jej wiele, według policji ledwie 7 tys., co można podsumować krótko: frekwencyjna klęska. A wszystko parenaście godzin po tym, jak Instytut Badania Spraw Publicznych opublikował sondaż, z którego wynikało, że Koalicja Europejska zyskała kilkanaście procent poparcia i wyprzedziła PiS. Może Instytut Badania Spraw Publicznych powinien zmienić nazwę, akcentując w nowej słowo „projekcja"?

Wspomniany sondaż został przeprowadzony na zlecenie „Newsweeka", którego redaktor naczelny ***Tomasz Lis*** zamieścił tuż po marszu opozycji następujący wpis: „Marsz za nami. Słońce wyszło, ludzie uśmiechnięci, D. Tusk z mocnym poparciem dla Koalicji Europejskiej. Teraz ostatnia prosta, od poniedziałku praca nad frekwencją, za tydzień finisz". Desperacja musi być duża, skoro cichy sztab wychodzi na powierzchnię.

Marsz opozycji był także wielką klęską ***Donalda Tuska***, bo okazało się, że już nie przyciąga tak bardzo, jak mu się wydawało. Być może dlatego były premier przemówił w stylu i na poziomie młodych wilków Platformy, i to z okresu sejmowego puczu. „W Europie widzę bardzo wielu kandydatów na lokalnych wodzów. Na świecie różnie ich nazywają. Jeden się nazywa prezes, drugi ajatollah. Różnica jest relatywnie nieduża" – mówił Tusk, szydząc z Jarosława Kaczyńskiego przestrzegającego przed strefami, w których obowiązuje szariat. To może jakaś wycieczka do podparyskiego Saint-Denis późnym popołudniem bez ochrony? Będzie być może ciekawie, ale ochota do żartów też może zniknąć.

W związku z udziałem Tuska – w końcu jeszcze szefa Rady Europejskiej – w partyjnym marszu portal wPolityce.pl wysłał list do szefa KE Jeana-Claude'a Junckera z pytaniem: „Czy udział Donalda Tuska w marszu opozycyjnym w Warszawie i jego apele o głosowanie na polską opozycję były zgodne z zasadą neutralności obowiązującą przewodniczącego Rady Europejskiej? Lub z zasadami etycznymi rządzącymi instytucjami UE?". Odpowiedź jeszcze nie nadeszła, może nie nadejdzie, ale pytać trzeba. Trzeba bronić Unii przed łobuzami, którzy depczą reguły gry.

Temat pedofilii w Kościele najpierw eksplodował z ogromną siłą, a parę dni później niemal całkowicie zniknął z debaty publicznej. W dużej mierze za sprawą szybkiej reakcji PiS, które nie weszło – bo wejść nie mogło – w jakiekolwiek zderzenie w tej sprawie, mimo że polityczne motywy całej sekwencji (profanacje – Jażdżewski – film) są oczywiste. Jarosław Kaczyński

Smutna wiadomość z Gdańska. Otóż według naszego informatora coraz częściej niszczone są tam polskie flagi wywieszane z okazji świąt lub bez okazji. Pojawiła się także plotka o niszczeniu grobów żołnierzy Westerplatte i obrońców Poczty Polskiej. Jedyne pocieszenie w tym, że zdrajcy polskości pójdą prosto do piekła, całymi czwórkami.

eprasa.pl fcafcc1382

zapowiedział jasno: „Ani purpura, ani Nobel, ani Oscar nikogo nie uchroni przed odpowiedzialnością za zbrodnie pedofilii". No i teraz wszyscy myślą: który to noblista i który to reżyser. Wybór w sumie niewielki.

Jednym z głośniej omawianych incydentów podczas kampanii wyborczej był wygłup kandydata Konfederacji, który podczas wystąpienia Anny Krupki z PiS trzymał nad jej głową jarmułkę. Rzecz w bardzo złym guście. Co ciekawe, człowiek, który próbował tak ordynarnie poniżyć kobietę, nazywa się... Konrad Berkowicz. Czy on wie, co robi? Czy on wie, że mówi prozą?

W końcówce wyścigu PiS podjęło rękawicę i mocno odpowiedziało na kampanię kłamstw w tej sprawie. Pojawił się nawet pomysł, by błyskawicznie wpisać zakaz ulegania presji w sprawie ustawy 447 do Konstytucji, ale ostatecznie upadł. W tle ciekawe zjawisko: izraelscy dyplomaci przekonują, że premier Netanjahu bardzo cierpi z powodu załamania się relacji z Polską i całej wojny z historią w tle oraz że chciałby nowego początku. Ludzie z rządu grzecznie słuchają, ale niewielu już wierzy, że stoją za tym szczere intencje. Ten dzbanek pękł.

Według badania Kantar dla „Gazety Wyborczej" ponad 30 proc. młodych Polaków deklarowało głosowanie na Konfederację. Inne sondażownie potwierdzają ten trend. Kto wie, czy zwalczając zaciekle PiS, Czerska nie doczeka się pokolenia, które złamie wszystkie, nawet te sensowne tabu? Pokolenia, które nie pamięta pedagogiki wstydu i które mówi wyłącznie bezpośrednim, twardym językiem internetu? Pewnie „GW" sądzi, że nawet z taką falą, ale bez Kaczyńskiego, poradzi sobie łatwo. Może tak, ale może też zapłacić za swoją nienawiść wysoką cenę.

Na froncie zachodnim też coś drgnęło. Publicysta „Die Welt" już nie mówi, że reparacje za II wojnę światową nie mają prawnego ani moralnego sensu. Podnosi inny argument, przekonując, że „skutki zaspokojenia tych roszczeń byłyby „dramatyczne". Dlaczego? Ano dlatego, że „krajom, które w przeszłości otrzymały reparacje, rzadko wyszły one na zdrowie". Logika wywodu jest prosta: tak potężny zastrzyk gotówki dla jednego państwa może doprowadzić do „przegrzania koniunktury". Cóż, mimo wszystko powinniśmy chyba zaryzykować.

W relacjach z USA z kolei po staremu, choć pojawił się pewien problem. Pani ambasador ***Georgette Mosbacher*** dużo podróżuje po pięknej Polsce. Nie ma w tym nic złego, wręcz przeciwnie.







Kłopot w tym, że zdaniem niektórych pani Mosbacher niezwykle chętnie korzysta z przywilejów należnych wysokiej rangi ambasadorowi, przy okazji szeroko interpretując swoje uprawnienia. No i trzeba zatrzymywać ruch, puszczając kolumnę. Niby nic, ale naród myśli, że to władza się rozbija po stolicy, co rządzącym na pewno politycznie nie pomaga.

Debata przedstawicieli komitetów wyborczych w TVP wiele w kampanii nie zmieniła, ale kto obejrzał, nie żałował. Krzysztof Bosak wręczał Jadwidze Wiśniewskiej znaczek sprzeciwu wobec 447, a europosłanka PiS zgrabnie, płynnie i trochę bez sensu snuła opowieść o „miksie energetycznym". Dobrze wypadł za to Paweł Kukiz, który zaczął od refleksji, że „czuje się jak w »Jednym z dziesięciu«". Bystra obserwacja jak na polityka, który nie powołał sztabu wyborczego, choć na kolanach błagali go o to towarzysze boju.

Potężny sztab miał PiS, ale sama kampania, niezależnie od wyniku, powinna dać liderom do myślenia. Nie ze względu na te czy inne wpadki i nie ze względu na rozkręcone przez opozycję „afery". Problem jest głębszy. Dziś sprawa jest jasna: jeśli kampania jesienna będzie na poziomie tej z roku 2015 albo i lepszym, PiS wygra wysoko. Jeśli będzie przeciętna lub poprawna, straci władzę. Fundamenty poparcia dla PiS są solidne, ale trzeba do nich coś dołożyć. Najlepiej dobry wizerunek.

Anonimowa „grupa badawcza" przedstawiła „raport Uniwersytetu Oksfordzkiego" dotyczący „śmieciowych informacji" w polskich mediach. Pomieszano tam wszystko z wszystkim: nieznane szerzej, egzotyczne strony internetowe z poważnymi mediami, media społecznościowe z tradycyjnymi. A wszystko po to, by zaatakować media konserwatywne, zwłaszcza portal wPolityce.pl. Cóż, wystarczy wiedzieć, kogo atakują, przeciw komu kierują już także globalne działa, by mieć jasność, kto naprawdę zawadza Sorosowi i jego polskim podwładnym.

Tymczasem Polskie Radio traci słuchaczy. Tak przynajmniej wskazują badania, które są de facto sondażem opinii publicznej, a nie rzeczywistym pomiarem. Jakieś przyczyny jednak są. W przypadku pewnej zasłużonej, wręcz legendarnej anteny, sprawa jest dość prosta. „Tracą, bo starzy wyjadacze celowo puszczają koszmarną muzykę. Same eksperymenty, rzępolenia, wycie, jęki i stęki. Tego nie da się znieść. Świadomie grają na zbicie wyniku" – słyszymy od osoby, która zna ten światek. Sprawdziliśmy własnym uchem. To prawda, tego nie da się znieść dłużej niż minutę.

Fot. Mateusz Zelnik, Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor

eprasa.pl fcafcc1382

Trybunał ludu



KRZYSZTOF FEUSETTE

Wybory do PE za nami, przed nami zaś wybory na Komisarzy Totalnych. Gdy tylko prezes PiS zapowiedział, że jego partia chce powołania komisji badającej pedofilię we wszystkich środowiskach, natychmiast przyspieszeniu uległy prace środowiska antyklerykałów nad komisją badającą pedofilię wyłącznie w Kościele. W Sejmie odbyło się więc błyskawiczne posiedzenie Parlamentarnego Zespołu ds. Przeciwdziałania Mowie Nienawiści i Ochrony Praw Człowieka, na którym zaprezentowano „założenia prawne". I tak w pracach Komisji Totalnej, zgodnie z duchem demokracji i konstytucji, mogliby brać udział przedstawiciele kościołów oraz związków wyznaniowych. Ale bez prawa głosu. Na ich milczenie czekają już pierwsi kandydaci na członków: znana obrończyni praw zwierząt Joanna Scheuring-Wielgus, polityczny poeta Tomasz Jastrun oraz Agata Diduszko-Zyglewska, żona „Nieśmiertelnego". Wkrótce dołączą do nich z pewnością kolejne autorytety. Pierwsze posiedzenie Komisji może zatem wyglądać dokładnie tak jak poniżej. Wszystkie wypowiedzi są autentyczne. Otwieram zebranie:

Joanna Scheuring-Wielgus, posłanka Teraz: „To jest ten płaszczyk, który miałam w Watykanie, jak miałam spotkanie z papieżem. Jak kręciliśmy w Warszawie klip, zaczepiali mnie ludzie i pytali, czy to jest ten płaszcz, który miałam u papieża i czy mogą go dotknąć. […] Chciałabym doprowadzić do postawienia Kościoła rzymskokatolickiego przed Trybunałem w Hadze. […] Polski Episkopat powinien zostać zdymisjonowany. […] Nauczania Wojtyły nie znam, a kościelna Opatrzność miałaby ze mną problem, bo musiałaby się objawić na premierze »Klątwy«. Tam po raz pierwszy spotkałam Agatę Diduszko-Zyglewską".

Agata Diduszko-Zyglewska, przewodnicząca Komisji Kultury i Promocji Miasta st. Warszawy: „W kontekście problemu, o którym rozmawiamy, czyli bezkarności księży pedofilów, stanowisko Kościoła zabraniające dzieciom dostępu do edukacji seksualnej jest dość dwuznaczne. Ta edukacja chroni dzieci przed pedofilami".

Tomasz Jastrun, poeta: „Można by przymykać oczy na media ojca dyrektora, gdyby nie okruszki. Ich ostre kanty nie pozwalają zamknąć powiek. Jeśli te okruszki się powiększy, widać, że zbudowano z nich sowiecki gułag i komory gazowe".

Magdalena Środa, etyk: „Trzeba uderzyć w fundamenty tego fanatyzmu, głupoty, zaściankowości i nienawiści do kobiet, czyli w Kościół i jego cynicznych hierarchów żądnych władzy […]. Obudźcie się ci, którzy wspieracie ten nieludzki Kościół, a potem dziwicie się, że nie macie praw, że jesteście otoczeni przez złych, okrutnych ludzi".

Krzysztof Pieczyński, aktor: „Kościół powinien stanąć przed trybunałem w Norymberdze […]. Papież powinien stanąć przed sądem, żeby symbolicznie odpowiedzieć za zbrodnie popełnione przez Kościół […]. Musimy wrócić do VIII w. i rozliczyć Kościół z działalności przeciwko ludzkości. […] Chrześcijaństwo jest organizacją terrorystyczną. Terror trwał tysiąc lat".

Andrzej Szejna, wiceprzewodniczący SLD: „Zapytam otwarcie: Czym różni się, oprócz skali przemocy, nasłanie przez Joachima Brudzińskiego policji o 6.00 rano na autorkę Matki Boskiej Tęczowej – od ataku islamskich terrorystów na tygodnik »Charlie Hebdo« w 2015 r. za karykaturę Mahometa?".

Robert Biedroń, lider Wiosny: „Apelujemy o zawieszenie lekcji religii. To jest w naszym wspólnym interesie. Kilka tysięcy księży i katechetów musi być objętych kontrolą państwa".

Adam Darski „Nergal", muzyk: „To smutna religia o śmierci, umieraniu i przybijaniu ludzi do drzewa – religia, w której nie ma radości, jest za to mnóstwo ograniczeń. […] Chrześcijaństwo w Polsce zdycha – i cudownie. […] Wszystkie tragedie dzieją się przez krzyż".

Ks. Adam Boniecki: „Zrobili z Nergala diabła, niemal satanistę […]. To miły, spokojny, mądry człowiek […]. Nie nazwałbym Biblii nigdy księgą życia, którą się kieruję, bo tam jest tyle nienawiści, przemocy, seksu, brutalności. Jak mi poseł w parlamencie mówi, że on się nią kieruje, to ja zawsze go odsyłam do szowinizmu i mizoginii, czyli nienawiści do kobiet".

Marta Lempart, przewodnicząca Strajku Kobiet: „Nienawidzę Was, kościelne potwory spod znaku omerty. Zgnijecie w pierdlu, a Wasze pomniki spadną. Niech się Wam wszystkim do końca życia śni Wasze katolickie piekło. Lękajcie się. Lękajcie się jak cholera".

Ks. Wojciech Lemański: „Można być katolikiem bez księży […]. Głos Kościoła w Polsce to nie jest głos Kościoła powszechnego – inaczej mówi się w Czechach czy Rzymie. W Polsce to głos ludzi sfrustrowanych, tracących władzę […]. Mało kto już oczekuje od Kościoła czegoś sensownego".

Wojciech Smarzowski, reżyser: „Jestem ateistą. I absolutnie potrafię sobie wyobrazić Polskę bez Kościoła […]. W Polsce w kościołach jest średnio pięć mszy dziennie. W Czechach jest jedna w tygodniu".

Jerzy Urban, rzecznik reżimu komunistycznego (1981–1989): „Wszyscy udają, że dla dobra Kościoła go krytykują i marzą o tym, żeby w Kościele katolickim działo się lepiej. Ja odwrotnie, chcę żeby działo się jak najgorzej. Żeby byli sami pedofile, sami kanciarze i żeby Kościół był jeszcze ohydniejszy niż jest".

13/0419/F

eprasa.pl fcafcc1382

GRUPA CEDROB®

Największy polski producent mięsa

Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej oraz uznany producent wędlin.







www.grupacedrob.pl

eprasa.pl fcafcc1382







Zdjęcia: Fratria

Białoruskie rocznice

Plakaty i instalacje na ulicach Mińska, Grodna, a nawet przy drogach wiejskich przypominają w tym roku Białorusinom o dwóch rocznicach: 75. rocznicy wyzwolenia Białorusi (1944 r.) od – jak to jest tu wciąż ujmowane – „niemiecko-faszystowskich" najeźdźców oraz – co dla Polaka zaskakujące – 100. rocznicy powstania Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Oficjalnie republika została powołana 1 stycznia 1919 r. w Smoleńsku i dziś Białoruś w tej dacie lokuje swoje państwowe źródła. Po II wojnie światowej Białoruska SRR była wśród państw-założycieli ONZ i podobnie jak sowiecka Ukraina była podmiotem prawa międzynarodowego.

Gdzieś w tle, w zabytkach i na wystawach, przypomina o sobie inne możliwe źródło białoruskiej państwowości: Wielkie Księstwo Litewskie i unia z Rzeczpospolitą. Na razie jednak w przestrzeni publicznej dominuje wciąż sowiecka symbolika. Stoją pomniki Lenina, trwają ulice Dzierżyńskiego.

(gim)



cyfrasa.pl/cafcc1382



Egipt

Zmiana frontu?

Nad Egiptem wisi groźba amerykańskich sankcji. Przyczyną jest zawarty w połowie marca kontrakt na zakup ponad 20 rosyjskich myśliwców Su-35. Do niedawna Egipt należał do głównych klientów amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego w regionie, jednak po wydarzeniach arabskiej wiosny i zamachu stanu dokonanym w 2013 r. przez marszałka Sisiego stosunki między Waszyngtonem i Kairem mocno się pogorszyły. Realizowane w tym czasie dostawy samolotów F-16 (w podobnej wersji do polskich) zostały wstrzymane i odblokowano je dopiero po demokratycznych wyborach w 2014 r., które – notabene – wygrał Sisi. Jednak w lukę pozostawioną przez Amerykanów natychmiast wskoczyli Rosjanie, którzy podpisali z Egiptem umowy na dostawy broni, w tym kontrakt na 46 myśliwców MiG-35, oraz Francuzi, którzy sprzedali do Egiptu samoloty Rafale. Do Egiptu trafiły również francuskie okręty desantowe Mistral przeznaczone pierwotnie dla Rosji.

O ile jednak Amerykanie gotowi byli wybaczyć Egiptowi zakup francuskiej broni, o tyle dostawy z Rosji bardzo ich zaniepokoiły, zwłaszcza że towarzyszy im pogłębienie więzi między Kairem a Moskwą. Sisi kilkakrotnie spotykał się z Władimirem Putinem, a podczas jednego z tych spotkań – w październiku 2018 r. w Soczi – obaj prezydenci podpisali traktat o strategicznej współpracy przewidujący wzrost kontaktów militarnych i handlowych.

Wysoko postawiony urzędnik amerykańskiej administracji przyznał anonimowo, że rosnące wpływy rosyjskie w regionie bardzo niepokoją Stany Zjednoczone. Z podobnymi problemami Waszyngton ma do czynienia w Turcji, która – będąc członkiem NATO – podpisała kontrakt na zakup rosyjskiego systemu rakietowego S-400. W rezultacie Biały Dom wstrzymał dostawy samolotów bojowych F-35 do Turcji.

Oprócz Turcji i Egiptu jest jeszcze oczywiście Syria, gdzie Rosjanie uczestniczą w działaniach bojowych przeciwko islamistom, Iran, z którym Moskwa utrzymuje bliskie relacje, Libia, w której rosyjscy najemnicy po cichu wspierają rebelię marszałka Haftara i – wreszcie – Sudan, a nawet Irak, gdzie również zwiększyła się aktywność Rosjan. Krótko mówiąc, Rosjanie pojawiają się wszędzie, co wprawdzie nie oznacza jeszcze ich przewagi na Bliskim Wschodzie, ale wystarcza, aby destabilizować sytuację w regionie.

Amerykanie próbują temu przeciwdziałać. Coraz częściej jednak słychać, że ewentualne sankcje mogłyby jeszcze bardziej pchnąć Egipt w ramiona Rosji. Dlatego skończy się na groźbach. Czy okażą się skuteczne? Zobaczymy.

Konrad Kołodziejski

USA

Niebo nad Alabamą

„Słodki dom Alabama/Gdzie niebo jest tak błękitne" – brzmi rockowy hymn legendarnego Lynyrd Skynyrd. Dziś hymn ten mogą śpiewać przeciwnicy przerywania ciąży, którzy doprowadzili do uchylenia aborcji w tym stanie. „Każde życie ludzkie jest bezcenne i jest darem Boga" – uzasadniła gubernator Alabamy Kay Ivey.

Senat i Izba Reprezentantów Alabamy przyjęły prawo, które zakazuje aborcji w każdym przypadku poza zagrożeniem życia matki. Lekarzowi, który dokona aborcji, może grozić do 99 lat więzienia. Podobną ustawę wprowadziła wcześniej Georgia. Tam zakazuje się aborcji, gdy lekarz stwierdzi bicie serca dziecka, a więc od szóstego tygodnia ciąży.

Liberalną lewicę ogarnęło oburzenie. Aktorzy potępiają Alabamę, a reżyserzy grożą, że przestaną w tym stanie kręcić filmy i seriale. Po tym jak filmowcy zapowiedzieli bojkot Georgii (powstaje tam m.in. bardzo popularny serial „The Walking Dead"), gubernator stanu Brian Kemp odwołał swoją wizytę w Los Angeles. Lokalni politycy prawicy zaś przypominają, że na bojkocie stracą sami filmowcy, bo ich stan oferuje im 30 proc. bonifikaty podatkowej.

Ustawę krytykuje jednak nie tylko liberalna lewica. Lider republikańskiej większości w Izbie Reprezentantów Kevin McCarthy z Kalifornii powiedział, że popiera zakaz aborcji, ale wyjątkiem w ustawie muszą być zdrowie i życie matki oraz gwałt. Gwiazda prawicowej Fox News Tomi Lahren skrytykowała ustawę z pozycji libertariańskich. „Jestem za ograniczonym rządem, więc tak jak nie chcę, by decydował o mojej broni, tak nie chcę, by decydował o moim ciele". Republikańska senatorka Susan Collins z Maine nazwała ustawę „okropną". A słynny konserwatywny chrześcijański teleewangelista i były kandydat na prezydenta Pat Robertson, od lat walczący o zakaz aborcji, powiedział, że ustawa jest „zbyt ekstremalna" i przepadnie w Sądzie Najwyższym. Ale właśnie o tę batalię chodzi jej autorom. Chcą obalić wyrok Sądu Najwyższego z 1973 r. („Roe vs Wade") uznający aborcję za konstytucyjne prawo kobiety. Środowiska pro-life liczą, że po mianowaniu przez Donalda Trumpa dwóch konserwatywnych sędziów Sąd Najwyższy na nowo zinterpretuje prawo do aborcji pod kątem konstytucyjności.

Wydaje się jednak, że rację ma Robertson. Potrzebujący centrowego elektoratu republikanie będą przed wyborami w 2020 r. torpedowali zbytni ideologiczny radykalizm. Nie zmienia to faktu, że jeden wers z piosenki Lynyrd Skynyrd jest adekwatny jak nigdy: „Słodki dom Alabama/Panie, wracam do Twego domu..."

Łukasz Adamski

Fot. Fastailwind/Shutterstock.com

eprasa.pl fcafcc1382

Wielka Brytania

Kolejny etap desperacji

Brytyjska premier Theresa May, wzorem swojego poprzednika Davida Camerona, postanowiła zagrać va banque w sprawie brexitu. Trzykrotnie brytyjski parlament odrzucił układ, który wynegocjowała pod koniec listopada 2018 r. z Brukselą, a sam brexit został przesunięty na koniec października tego roku, co zmusiło Londyn do udziału w wyborach do Parlamentu Europejskiego. May postanowiła więc przedłożyć swój deal posłom po raz czwarty. Na zachętę dorzuciła możliwość przeprowadzenia drugiego referendum w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii. Jeśli posłowie przegłosują umowę rozwodową, którą w styczniu i marcu odrzucali już trzykrotnie, dostaną szansę, by zagłosować nad drugim referendum. Przy okazji May złożyła wiele obietnic, jak choćby „ostateczne" rozwiązanie problemu tzw. backstopu, czyli kwestii przyszłej granicy między Irlandią a Irlandią Północną. Rozzłościła tym nie tylko zwolenników brexitu we własnej partii oraz rządzie, ale także opozycję, która jej przypomniała, że parlament już głosował nad możliwością drugiego referendum i ją odrzucił, a nowe propozycje to wciąż „za mało". Niektórzy ministrowie, jak Sajid Javid, David Mundell czy Penny Mordaunt, głośno wyrazili swoje niezadowolenie, a z tylnych ław torysów zaczęły dobiegać żądania dymisji May. Natychmiastowej. „Poparłem zgniłą umowę premier ostatnim razem. Ale nie mogę poprzeć tego zawiłego bałaganu. Premier musi odejść" – oświadczył poseł Zac Goldsmith. On i kilkudziesięciu innych konserwatywnych posłów zapowiedziało, że nie poprze propozycji May.

Brytyjskie media są pewne, że koniec May jest już przesądzony. Inaczej – jak twierdzi dziennik „The Daily Telegraph" – z torysów niewiele zostanie. Jak trudna jest sytuacja partii rządzącej, pokazywały sondaże przed eurowyborami, według których Partia Brexitu Nigela Farage'a miała 37, a torysi zaledwie 7 proc. poparcia. Partia Pracy wypadła niewiele lepiej (12 proc.).

Tradycyjny system partyjny w Wielkiej Brytanii rozpada się – podobnie jak w wielu innych krajach starej Europy – ale brexitowy chaos może ten proces znacznie przyspieszyć. Złamane obietnice i wewnętrzne spory osłabiły zaufanie Brytyjczyków do ich przedstawicieli. „Staliśmy się narodem kokainistów uzależnionych od fałszywych obietnic; metadon już nam nie pomoże. A podczas gdy Nigel Farage sprzedaje swoje tabletki szczęścia, to z kacem zostanie ten biedak, który odziedziczy koronę po May" – twierdzi „The Daily Telegraph". Londyn może i w końcu opuści Unię, ale zapłaci za to bardzo wysoką cenę.

Aleksandra Rybińska

Ukraina

Ukraiński Kukiz?

Kolejna gwiazda ukraińskiej popkultury wkracza do wielkiej polityki. Po Wołodymyrze Zełenskim, który został niedawno prezydentem, postanowił zaistnieć najpopularniejszy muzyk rockowy w kraju, lider zespołu Okean Elzy – Swiatosław Wakarczuk. Jego charakterystyczny głos znają na Ukrainie wszyscy. Śpiewane przez niego liryczne piosenki puszczane są na okrągło w stacjach radiowych i kanałach telewizyjnych. Wychowały się na nich roczniki, które wkraczały w dorosłość już po ogłoszeniu niepodległości. Założony w 1994 r. Okean Elzy stał się wyrazicielem aspiracji i marzeń pierwszych pokoleń „Samostijnej Ukrainy". Kiedy w 2014 r. zespół obchodził 20-lecie istnienia, jego koncert na Stadionie Olimpijskim w Kijowie zgromadził ponad 70 tys. fanów.



Lider grupy ocierał się już o politykę, ale nigdy na serio do niej nie wszedł. Jego ojciec, Iwan Wakarczuk był rektorem uniwersytetu we Lwowie oraz ministrem edukacji i nauki w rządzie Julii Tymoszenko. On sam w 2004 r. brał udział w kampanii wyborczej Wiktora Juszczenki i w pomarańczowej rewolucji. Później był doradcą prezydenta, a nawet deputowanym do Rady Najwyższej, jednak po kilkunastu miesiącach złożył mandat i wrócił do śpiewania. Rok temu wymieniano jego nazwisko wśród faworytów w wyścigu do prezydenckiego fotela, jednak nie zdecydował się na kandydowanie.

Dziś wielu komentatorów jest zdania, że tylko Wakarczuk, gdyby wówczas wystartował, miał szansę na pokonanie Zełenskiego. Wybory zamieniły się bowiem w plebiscyt przeciw całej klasie politycznej. Dlatego zwycięstwo mógł odnieść jedynie ktoś spoza tego świata. Z celebrytą mógł wygrać tylko celebryta.

Wnioski z lekcji zostały wyciągnięte i 16 maja Wakarczuk ogłosił powstanie nowej partii Hołos oraz start w wyborach parlamentarnych. Głosi hasła podobne do Zełenskiego: walkę z oligarchią, korupcją, niesprawiedliwością społeczną. Rodzi się jednak zasadne pytanie: jakie środowiska stoją za jego projektem politycznym? Na razie to pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

Grzegorz Górny

Fot. Ruslan Lytvyn / Shutterstock.com

eprasa.pl fcafcc1382

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ciekawy tydzień



Jan Pietrzak

Podczas sławetnego marszu Koalicji Antypolskiej w Warszawie, tydzień przed eurowyborami, dokonał się cud. Był to cud bezczelności. Realna liczba uczestników, czyli 7 tys. osób, rozmnożyła się w oczach ratusza do 45 tys. Wiadomo, że nie pierwszy raz ratusz widzi inaczej, liczy inaczej. Nic nam, starym warszawiakom, nie będzie oszczędzone. Po latach złodziejskiej reprywatyzacji grupa trzymająca władzę panoszy się w stolicy na całego. Na marszu pojawił się tajny szef opozycji Tusk Donald.

Oficjalnie: absolutnie bezpartyjny, całkowicie neutralny wysoki urzędnik UE. Przemówił jak to on, swobodnie mijając się z prawdą w każdym zdaniu. To wpływ szkoły mówców im. Putina. Tym razem nadmiernie porywający nie był. Może dlatego, że zabrakło Timmermansa Fransa i Verhofstadta Guya. Frans i Guy to jego przyjaciele z Towarzystwa Szkalowania Polski w Brukseli. Tusk w otoczeniu Schetyny i Kopacz wyraźnie traci na charyzmie. Toteż o marszowym „sukcesie" z 18 maja w poniedziałek już nikt nie pamiętał. A do niedzielnych wyborów, 26 maja, było kilka dni. Ile jeszcze prowokacji, fałszerstw, insynuacji można było wykonać? No i wyszło średnio na jeża. Tyle że faktyczny szef PO ujawnił się i już do października nie będzie mógł udawać, że stoi z boku spraw krajowych. To niewygodna dla niego sytuacja. „Capo di tutti capi" brzmi gorzej niż „król Europy".

Niewykluczone, że jesienią pojawią się w sądach sprawy wyjaśniające tło wydarzeń. Chociażby Amber Gold. Sąd zaczął odczytywanie wyroku, ale kiedy skończy, nikt nie wie. Komisja sejmowa nie jest sądem, skoro jednak twierdzi w raporcie, że Marcin P. i jego żona Katarzyna są w tej aferze „słupami", powstaje ciekawe pytanie, kto te „słupy" tak ustawił, że dwadzieścia kilka instytucji nie zauważało przez parę lat piramidy finansowej, a urzędnicy wielu szczebli byli głusi i ślepi na proceder okradania ludzi. Logika podpowiada, że zarządzał „słupami" ktoś, kogo bały się i kogo słuchały prokuratury, wydziały skarbowe, policja, ministrowie oraz niby wolne media... Nie chcę nic sugerować, ale ktoś taki musi w czasoprzestrzeni istnieć...



Nigdy nie przestanę się uczyć

Z Idą Nowakowską, tancerką i aktorką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Dołączyła pani do zespołu „Pytania na śniadanie". Jak wrażenia?

Ida Nowakowska: Zaproszenie do „PnŚ" to cudowne wyzwanie, wyróżnienie, ale i wielka odpowiedzialność. Nie ukrywam, że lubię, jak dużo się dzieje. Pracując w telewizji Roma, prowadziłam równolegle program dla harcerzy „89 Plus" i „Przymierzalnię" w Canal+. Mam wrażenie, że nasz program śniadaniowy jest i wielozadaniowy, i wielotematowy. To lubię!

W jakim stopniu pomogły pani doświadczenia z „Dance, Dance, Dance" czy „Bake Off Junior"?

W „Bake Off Junior" zostałam cudownie przyjęta. Zgraliśmy się. Coś zaiskrzyło. Tak samo jest w „Pytaniu...". Łukasz, mój współprowadzący, jest wspaniałym, jak to się mówi po angielsku, „partner in crime" [śmiech]. Ma poczucie humoru i świetną energię.

A „Dance, Dance, Dance" to spektakularny taneczny show. I niezwykłe doświadczenie. Wierzę, że tylko kiedy ludzie się dogadują i lubią, można stworzyć coś wspaniałego! Tak jest też w „PnŚ".

Czy komuś, kto od lat wyraża się w ruchu, w tańcu, łatwo wysiedzieć na kanapie, choćby telewizyjnej?

Szkoła baletowa, wyższe studia aktorskie w Ameryce, praca w teatrze i telewizji nauczyły mnie kontroli. Przed filmem czy występem zawsze najpierw „siedzimy na kanapie". Omawiamy, co mamy przekazać i w jaki sposób. Czasami chcemy iść na żywioł, ale moglibyśmy zniszczyć pracę wielu ludzi. W telewizorze wszystko wygląda prosto, a to ogromna wzajemna odpowiedzialność, którą zdobywa się latami. Wiem, że nigdy nie przestanę się uczyć.

Fot. Waldemar Kompała

eprasa.pl fcafcc1382

BRONISŁAW WILDSTEIN

Operacja „Pedofilia”



Panie arcybiskupie Jędraszewski, panie pośle Legutko, panie ministrze Ziobro, dopadniemy was! Nie pozwolimy na to, żeby w Polsce tego typu przestępstwa były kryte i zamiatane pod dywan. My was dopadniemy! – grzmiał na konwencji wyborczej w Krakowie wiceprzewodniczący SLD Andrzej Szejna, który startuje do PE z listy KE. W tle przytakiwali mu europosłowie PO: rozradowana Róża Thun i obojętny Bogusław Sonik, obie osoby akcentujące swój katolicyzm.

Co, oprócz postępującej barbaryzacji polityki i niszczenia demokratycznych standardów, znaczą te groźby? Dlaczego wymienione osoby bez cienia dowodu oskarżone zostały o krycie pedofilii? I jaki sprawa ta ma związek z PE?

Ten sam polityk złożył zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez abp. Marka Jędraszewskiego, szefa MSWiA Joachima Brudzińskiego, szefa wymiaru sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę i europosła PiS Ryszarda Legutkę. Uzasadniał to tym, że krakowski metropolita „wiedział lub mógł wiedzieć o przestępstwach arcybiskupa Paetza” i „nic nie zrobił” w tej kwestii; ministrowie nie doprowadzili „do zatrzymania księdza, który złamał zakaz sądowy zbliżania się do młodych ludzi”, a Legutko, zdaniem Szejny, może mieć wiedzę na temat tego, że dochodziło do stosunków między 13-latkami a ludźmi dorosłymi. Chodzi o to, że filozof stwierdził: „Ponad 80 procent przypadków owych nadużyć dotyczy chłopców w wieku od 12 do 17 lat. To nie jest żadna pedofilia, to jest pederastia”.

Abp Paetz podał się do dymisji z funkcji metropolity poznańskiego na skutek presji Jana Pawła II w 2002 r. Jędraszewski był jednym z wyświęconych przez niego (w 1997 r.) biskupów i tyle wiadomo o relacjach obu hierarchów. Postkomunistyczny polityk przypomniał sobie o tym dziś. Może warto, aby przypomniał sobie o współpracy Paetza z komunistycznymi służbami? Oskarżenia ministrów o to, że w trakcie ich urzędowania naruszone zostało prawo, chyba nie warto komentować. Legutko zdefiniował, co znaczy pederastia, i to ma oznaczać, że mógł popełnić przestępstwo.

Racjonalnie rzecz biorąc, Szejna i tolerujące go ugrupowanie kompromituje się, ale racjonalnością nikt w tej ofensywie się nie przejmuje, ważne, że jego groźby okazują się skuteczne jako element histerii rozhuśtanej przez medialno-polityczny front III RP. Na ostatnim etapie kampanii do PE zamiast o problemach Unii i tym, jak Polska powinna się w niej odnaleźć, mówimy o pedofilii w Kościele, jakby obecne wybory miały rozstrzygnąć, czy zostanie ona zlikwidowana i rozliczona. Wielka operacja, której centralnym etapem była emisja filmu „Tylko nie mów nikomu”, jego oprawa oraz idealnie poprowadzona kampania promocyjna, trafi pewnie do annałów marketingu politycznego.

Akcja mogła wydawać się ryzykowna. Dlaczego ujawnienie nieukaranych aktów pedofilii w Kościele ma wpłynąć na wybory do PE? Mechanizm pokazuje sam twórca filmu, który wraz z innymi celebrytami występuje w (nieoficjalnym) klipie wyborczym KE „Wybieram Europę”. Mówi, że dotąd w ogóle nie brał udziału w wyborach, ale teraz nie tylko idzie, ale zachęca do pójścia na te najbliższe. Sekielski stał się twarzą walki z pedofilią w Kościele polskim i jako taki jest rozpoznawany. Daje więc do zrozumienia, że walka z nią będzie możliwa po zwycięstwie KE.

W sensie intelektualnym cała kampania przypomina komunistyczną propagandę: PiS szanuje Kościół, w którym trafiły się akty pedofilii, jest więc tak jak Kościół za nią odpowiedzialny. Kampania wyborcza KE to walka z pedofilią. A przecież wzmocniona przez medialne i opiniotwórcze tuby III RP trafiła do szerokich rzesz. Pojawiają się coraz nowe ofiary księży pedofilów.

Kościół zgrzeszył zaniedbaniem i, przede wszystkim, tolerancją dla szerzącego się w nim homoseksualizmu, o czym wspominałem w poprzednim felietonie. Daleka jednak droga od odnotowania tych przewin, do zanegowania całej instytucji, a oskarżanie PiS – które akceptuje jej rolę – o krycie pedofilii, jest tym samym, co potraktowanie tak wszystkich wiernych.

Operacja „Pedofilia” jest jednak dokładnie przemyślana i przeprowadzona. Bezpośrednio po emisji filmu liderzy opozycyjnego frontu zaczęli nawoływać do rozwiązania chilijskiego, czyli podania się do dymisji całego episkopatu. Wprawdzie przypadki te są nieporównywalne, tak jak uwikłanie Kościoła chilijskiego w zestawieniu ze znanymi nam, podobnymi nadużyciami w Polsce, ale metodą skojarzeń sprawy można połączyć. Uderzenie w episkopat to próba zasadniczej transformacji polskiego Kościoła i jego rozmontowania. Operacja „Pedofilia” sięga więc dalej niż obecne wybory, a jej celem jest, jak to mówił Palikot, likwidacja polskiej tożsamości.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fcafcc1382

OGNIEM NA WPROST

Uroki pokojowej koegzystencji



Kto zna grupę Vader? Wyjaśniam tym, którzy o niej nie słyszeli. To polska kapela metalowa o satanistycznej proweniencji. Ale nie tylko. To także niedoszła gwiazda InterTony Festiwal w Chojnicach. Niedoszła dlatego, że burmistrz tego miasta Arseniusz Finster odwołał występ. „Koncert może godzić w czyjeś uczucia, nie będzie zgody na jego finansowanie z pieniędzy miejskich" – uzasadnił swą decyzję włodarz Chojnic, dodajmy o poglądach liberalnych. Ale nawet on nie zdzierżyłby występów metalowców. Grupa Vader tak się przejęła swoją rolą walczących z Kościołem, że na okładce płyty umieściła księdza w koloratce, któremu ktoś przecina gardło krzyżem. „Trudno jest więc finansować miastu imprezę zespołu, który szerzy »mowę nienawiści«" – dodał burmistrz. W ocenie lidera kapeli „cała sytuacja przypomina czasy stalinowskie". I tu się nie pomylił. Jak wiadomo bowiem, to właśnie w tamtych czasach władza mordowała księży, głównie strzałem w tył głowy, ale też zdarzyło się poderżnięcie gardła. Nie dość, że sataniści, to jeszcze staliniści. Ale tu akurat sprzeczności nie ma.

W polskiej (europejskiej) polityce są dwie kobiety bardzo do siebie podobne. Prawie jak siostry. Na zewnątrz co prawda tego nie widać, choć obie są blondynkami, ale z tego, co i jak mówią, wyglądają, jakby chowały się razem. Pierwsza to Joanna Scheuring-Wielgus, druga – Róża Maria Barbara Gräfin von Thun und Hohenstein. Pierwsza – znana z miłości do czworonogów – oddała swoje psy do schroniska (bo wygodniej) i jeszcze się chwaliła tym, że przecież mogła je przywiązać do drzewa w lesie, a nawet uśpić. Wygląda na to, że przez własną głupotę Wielgusowa skończyła się jako „działacz, polityk i hodowca". Dlatego skupmy się na tej drugiej. O tym, że „jakby 7 tys. islamskich imigrantów przyjechało do Nowej Huty, toby państwo tego nie zauważyli" – przekonywała swoich wyborców – wiedzą wszyscy. Natomiast mediom umknęły inne, równie błyskotliwe konkluzje Thun z tego spotkania z elektoratem. Przypomnijmy je: „obecność migrantów praktykujących szariat nie stanowi problemu, bo to można sobie zorganizować, że jedni drugich szanują i żyją jakoś razem". Jakie wzorce „organizacji tego problemu" miała na myśli? Te z Molenbeek w Brukseli czy te ze szwedzkich gett, do których boi się nawet zaglądać policja. Dobrym przykładem koegzystencji Europy z szariatem mogą być też corbusierowskie osiedla we francuskiej Marsylii. Jestem pewien na sto procent, że grafini w końcu palnie coś takiego, że skończy niczym jej mentalna siostra pochodząca z ludu.

Skoro już jesteśmy przy temacie pokojowej koegzystencji Europejczyków z przybyszami z Południa, to sądy w Meldorf (Szlezwik-Holsztyn) właśnie skazały rodziców. Za to, że nie zgodzili się na udział ich dzieci w jakże pouczającej – i tu warto dodać również obowiązkowej – wycieczce szkolnej do meczetu. Afera powoli rozkręca się na całe Niemcy, albowiem mama z tatą otrzymali wsparcie prawne od prawicowej Alternatywy dla Niemiec (AfD), co pozwoliło im na złożenie skargi konstytucyjnej. W ich ocenie, a także ich prawnika, państwo poprzez przymus wizyt uczniów w meczetach naruszyło wolność sumienia rodziców, wolność przekonań oraz prawo do wychowywania dzieci zgodnie z własnym światopoglądem. Zdaniem adwokata rozwiązania edukacyjne, wynikające z dokumentu przyjętego przez Konferencję Ministrów Edukacji z 2018 r., szermując hasłem „edukacji demokratycznej", w rzeczywistości dyskryminują konserwatystów oraz stygmatyzują ich jako „prawicowych ekstremistów". Ale jaki to problem, skoro – cytując Różę Thun – „to można sobie zorganizować, że jedni drugich szanują i żyją jakoś razem".

U przejmie donoszę, że pomnik polskich lotników autorstwa architekta Alexandra Smagi trafił już na swoje miejsce na wybrzeżu Normandii. Odsłonięcie pomnika nastąpi 9 czerwca w 75. rocznicę lądowania aliantów w Normandii w 1944 r. W Plumetot (departament Calvados) znajdowało się polowe lotnisko, z którego wzbijały się w powietrze nasze spitfire'y. Z inicjatywą budowy pomnika zwrócił się do mera Plumetot prezes londyńskiego Polish Air Force Memorial Committee Ryszard Kornicki. Jego ojciec ppłk Franciszek Kornicki był ostatnim dowódcą legendarnego Dywizjonu 303. Rozpisano konkurs. Osiem najwyżej ocenionych projektów mer poddał pod głosowanie mieszkańców, którzy – podobnie jak jury – wybrali rzeźbę Smagi w kształcie litery V (jak Victory). Zazdroszczę trochę naszym pilotom tego pobytu we Francji. Nie tyle latania, bo można było wtedy jeszcze nieźle oberwać, ile przepustek. Wszak tamten departament znany jest na całym świecie z destylacji cydru.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fcafcc1382



RODO w archiwach

Z okazji stulecia Najwyższej Izby Kontroli ukazała się publikacja zatytułowana „100 kontroli z archiwum NIK". Zbiór opracowań na temat wybranych zagadnień stanowiących przedmiot wnikliwej analizy kontrolerów przedstawia panoramę polskiej państwowości, począwszy od okresu dwudziestolecia międzywojennego, poprzez PRL, aż do czasów najnowszych. Te ostatnie zostały przez autorów podzielone na „Czas przełomu" (datowany na lata 1989–1997), „III RP" (1998–2003) i „Polskę w Europie" (2014–2019).

Za szczególnie interesujące należy uznać rozdziały poświęcone pierwszej połowie lat 90., czyli czasom transformacji ustrojowej, których odzwierciedleniem są układy sił do dziś funkcjonujące w gospodarce i polityce, a gros bohaterów obecnej sceny politycznej odegrało w nich znaczącą, choć nie zawsze chlubną rolę.

Rozdział zatytułowany „Kontrolowana żyła złota", opisujący kontrolę prywatyzacji Banku Śląskiego, z dzisiejszej perspektywy wydaje się fragmentem scenariusza kryminału. Akcje wymienionego banku znalazły się na giełdzie w 1994 r., a ich wartość wzrosła na pierwszej sesji ponad 30-krotnie, przez co wzbudziły zainteresowanie ponad 800 tys. Polaków, którzy zapragnęli w nie zainwestować. Wielu z nich jednak straciło, bo na giełdzie doszło do krachu, a zanim nastąpiło tąpnięcie, akcjonariusze nie mogli się ich pozbyć.

Autor tekstu opisuje, że w 1993 r. z wnioskiem o przeprowadzenie kontroli prywatyzacji banku, obejmującej biura maklerskie, ministerstwa (w tym Ministerstwo Przekształceń Własnościowych), zwrócił się do prezesa NIK ówczesny minister finansów Marek Borowski. To jedyna osoba wymieniona w tym rozdziale z imienia i nazwiska. Autor nie wspomina, że w owym czasie NIK kierował Lech Kaczyński, nie wymienia również głównych bohaterów opowieści. Kontrola procesu prywatyzacji banku była utrudniania zarówno przez pracowników BŚ, jak i urzędników Komisji Papierów Wartościowych oraz ministerstw, a pracownicy NIK odbierali telefony z pogróżkami.

W wyniku przeprowadzonych analiz NIK wskazała na liczne nieprawidłowości, począwszy od zafałszowania dokumentów skutkującego uzyskaniem zaniżonej wyceny banku oraz jego akcji, sposób dopuszczenia ich do obrotu, a także wykraczające poza wszelkie normy uwłaszczenie członków zarządu oraz pracowników banku kosztem klientów. Zastrzeżenia wzbudziły zarówno działania przedstawicieli banku, urzędników państwowych, jak i doradcy prywatyzacyjnego. Cztery tysiące pracowników banku, wbrew ówcześnie obowiązującym przepisom prawa, otrzymało poza ofertą publiczną prawie milion akcji, które mogli nabyć dzięki pożyczkom udzielanym w prywatyzowanej instytucji. Siedmiu członków zarządu otrzymało 18 tys. akcji, a jeden z nich miał mieć zarezerwowanych dla siebie od 2 tys. do 3,5 tys.

Kontrola NIK wykazała, że w trakcie pierwszych sesji giełdy, gdy cena akcji była najwyższa, około 80 proc. sprzedających to byli właśnie pracownicy banku. Kontrolerzy ujawnili także, że na giełdzie doszło do tzw. studzenia akcji przez ówczesnego ministra finansów, co również stanowiło działanie niezgodne z prawem. W związku z ustaleniami pokontrolnymi NIK złożyła zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstw. Po czterech latach prowadzenia postępowań Prokuratura Wojewódzka w Warszawie zdecydowała się je zakończyć umorzeniem, według autora powołując się wyłącznie na niezweryfikowane dowody w postaci zeznań pracowników Banku Śląskiego, Ministerstwa Finansów i Komisji Papierów Wartościowych.

Marta Kaczyńska-Zielińska

REKLAMA



Szanownemu Panu

SĘDZIEMU

PAWŁOWI MROCZKOWSKIEMU

Dyrektorowi Departamentu Legislacyjnego Prawa Cywilnego w Ministerstwie Sprawiedliwości

wyrazy szczerego współczucia oraz żalu z powodu śmierci

OJCA

składa

MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI PROKURATOR GENERALNY

ZBIGNIEW ZIOBRO

wraz z

Kierownictwem Ministerstwa Sprawiedliwości

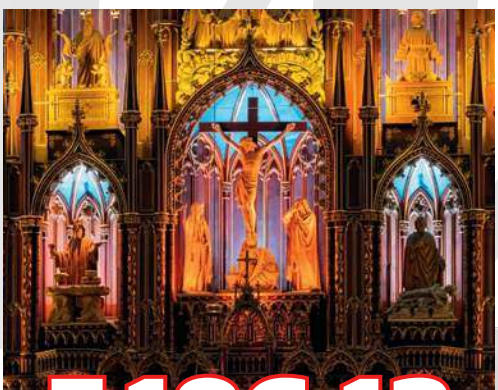
42/0519/F

eprasa.pl fcafcc1382

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

W imię wolności

Władze kanadyjskiej prowincji Quebec chcą zakazać urzędnikom używania symboli religijnych. Według pomysłodawców zmian w prawie wszystko to w trosce o światopoglądową neutralność prowincji. Biskupi katoliccy, ale także przedstawiciele innych wyznań zauważyli, że planowane zmiany w prawie mijają się z zapisami Karty praw i wolności tej prowincji. Ech ci postępowcy. W imię wolności i tolerancji gotowi zdusić wszelką wolność i promować brak tolerancji. Trudno nadążyć za nowoczesnością.





5 186,12 zł

– tyle wyniosło przeciętne wynagrodzenie brutto w sektorze przedsiębiorstw w kwietniu 2019 r. To oznacza wzrost rok do roku o 7,1 proc. – podał Główny Urząd Statystyczny.

6,3 mln

– tyle wyniosło zatrudnienie w sektorze przedsiębiorstw i wzrosło o 2,9 proc. rok do roku.

700 zł

– o tyle wzrosło przeciętne wynagrodzenie brutto w Polsce w minionych czterech latach. W samym tylko w 2018 r. o 300 zł.

W kupie raźniej

Po raz pierwszy w Polsce przyszły na świat sześcioraczki. Dzieci (cztery dziewczynki i dwóch chłopców) urodziły się w Krakowie. Rodzice byli zaskoczeni, spodziewali się bowiem piątki maluchów. Taka ciąża zdarza się bardzo rzadko – raz na 4,7 mld. Podobno w kupie raźniej, ale tych kup rodzice będą mieli teraz trochę do ogarnięcia. Życzę dużo zdrowia, szczęścia i worka pieniędzy. Przydadzą się.



UE bez „piniendzy”



Przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk udzielił poparcia byłemu ministrowi finansów Polski Janowi Vincentowi Rostowskiemu, który kandydował do europarlamentu z ramienia brytyjskiej partii Change UK. O poparciu informował „Business Insider”. Według Tuska Rostowski byłby świetnym europosłem dla Londynu, który kocha. Słowa byłego premiera Polski nie przypadły do gustu prowadzącej w sondażach kandydatce Partii Brexitu Alex Phillips: „Obcy biurokrata z bezpośrednią władzą nad tym państwem, wtrącający się w nasz demokratyczny proces, to dno”. Nad tym poparciem Tusk powinien się wcześniej dobrze zastanowić, bo jak Rostowski znajdzie się w PE, to jest ryzyko, że „piniendzy” w UE nie będzie.

eprasa.pl fcafcc1382



Pieskie życie

Okazało się właśnie, że polityczna miłośniczka kornika, karpia i dzika Joanna Scheuring-Wielgus, która apelowała, by ludzie nie odpalali w sylwestra petard, by nie straszyć zwierząt, oddała swoje psy do schroniska. Jak tłumaczy, wszystko z powodu przeprowadzki z domu do mieszkania i alergii. Posłanka wyjaśniła także, że: „Zamiast przywiązać do drzewa, uśpić lub zostawić na autostradzie – co niestety się zdarza – znalazłam moim ukochanym psiakom Czarnej i Mambie dom w dobrym schronisku dla zwierząt". Znalazła im dom w schronisku, a przecież mogła zabić. Anioł, nie człowiek!

Nie wierzę w Boga, ale boję się społeczeństwa pozbawionego Boga" – stwierdził pochodzący z Kolonii przewodniczący Partii Europejskiej Lewicy Gregor Gysi. Logika godna Nobla.

Pomysł na Dzień Dziecka

Dzień Dziecka za pasem. A czego dzieci chcą najbardziej od swoich rodziców? Wspólnie spędzonego czasu. A jak najlepiej wspólnie spędzać czas? Tworząc! Dlatego zachęcam państwa do rodzinnego udziału w konkursie plastycznym tygodnika „Sieci". Wystarczy wykonać dowolną techniką pracę plastyczną pod otwartym hasłem „Polska, moja Ojczyzna". Termin nadsyłania prac konkursowych (z dołączonymi dwoma kuponami z tygodnika „Sieci") mija 7 czerwca. Nie zwlekajcie, działajcie! Warto, bo na zwycięzców czekają bardzo atrakcyjne nagrody. Szczegóły konkursu na stronach 2-3.



Fot. Andrzej Wiktor (x3), Shutterstock (x4)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Kościelne wieże



Dominik Zdort

Trudno dziś uciec od tematu Kościoła. Film, w którym pokazano siedem drastycznych przypadków księżowskiej pedofilii, wstrząsnął Polską. Demaskatorzy kościelnych win najpewniej oczekują, że efektem będzie tsunami, które zmyje katolicyzm z powierzchni ziemi. Na wszelki wypadek jednak, gdyby to nie miało szybko nastąpić, starają się wywołać wstrząsy wtórne.

Przeczytałem na jednym z portali tekst pt. „17-latka powiesiła się po śmierci księdza", osnuty na pewnym programie telewizyjnym. Pod tekstem nie ma podpisu autora, a ja nie wymieniam nazw mediów, bo ważniejszy jest mechanizm.

Do redakcji przyszedł mail, którego autor „sugerował, że ksiądz był w związku z [17-letnią] Weroniką". Weryfikując informację, dziennikarze ustalili tylko, że dziewczyna była bardzo uduchowiona, pomagała na plebanii, gotowała i podawała do stołu.

„Dowodem romansu między Weroniką i księdzem Zygmuntem miała być ciąża dziewczyny" – dziennikarze portalu powtarzają kolejne plotki i pogłoski. Po co, skoro zaraz cytują prokuratora? „Ta dziewczyna nie była w ciąży. To informacja od lekarza, który dokonywał sekcji zwłok".

Dla pełnego obrazu warto przytoczyć końcówkę (zachowuję błyskotliwy styl oryginału): „Dotarliśmy do autora jednej z wiadomości, które dotarły do naszej redakcji. – Wiem o tym wszystkim z plotek i od znajomych. Nie mam żadnych dowodów".

Zreasumujmy sytuację. Dziennikarze poważnej stacji telewizyjnej i poważnego portalu otrzymują maila zawierającego plotkę o tym, że 17-letnia gospodyni 67-letniego proboszcza popełniła samobójstwo po jego śmierci, bo była z nim w ciąży. Są dociekliwi, rozmawiają z wychowawczynią, ojcem, prokuratorem, znajomymi. Nikt nie potwierdza plotek.

Co robią reporterzy? Wracają do swoich – podobno profesjonalnych i przestrzegających dziennikarskich standardów – redakcji. I przygotowują program dla telewizji oraz tekst dla portalu. Pod tytułem „17-latka powiesiła się po śmierci księdza".

Ktoś może powiedzieć: przecież nie skłamali, opisali sytuację uczciwie. Odpowiem: uczciwie to by było, gdyby po stwierdzeniu, że wiadomości nie da się potwierdzić, tragedię zostawili rodzinie i prokuraturze.

Ale cóż, ich szefowie wyglądają przez okna i wciąż widzą kościelne wieże. To ich doprowadza do białej gorączki, więc oczekują od podwładnych nie uczciwego dziennikarstwa, ale „wstrząsów wtórnych". Może w końcu wieże runą.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl fcafcc1382

RZECZY POSPOLITE

Polityczna sztaluga



Tomasz Łysiak

Wygonili Banksy'ego z Wenecji. W mieście trwa właśnie w najlepsze słynne weneckie biennale. Kilka dni temu na placu św. Marka pojawił się tajemniczy artysta w kapeluszu i z brodą. Pchał przed sobą wózek na kółkach wypełniony obrazami i gdy dojechał na upatrzone miejsce, poustawiał je na sztalugach, jak klasyczny artysta uliczny, który sprzedaje turystom swoje dzieła. Wszystkie obrazy ułożyły się jak mozaika, w jedną całość. Na pierwszym planie widać było Ponte Rialto, kanały, gondolierów i klasyczne obrazki z Serenissimy. Ale za nimi czaił się „potwór" – gigantyczny statek wycieczkowy, przytłaczający wszystko masą i wielkością. Zupełnie tak, jak to obecnie często bywa w mieście św. Marka – co chwila zawijają do portu wysokie na ileś tam pięter wycieczkowce, które czynią z krajobrazem to, co czasem drapacze chmur wyrastające tuż obok starej zabudowy miast. Banksy siadł sobie na ławeczce, czytał gazetę, zasłaniając twarz (w końcu ciągle ukrywa swoją prawdziwą tożsamość), a ktoś z nim współpracujący nagrywał reakcje ludzi. Te były najzabawniejsze. Niektórzy machali ręką, inni się zachwycali, mówiąc nawet: „To lepsze niż to, co widzieliśmy na biennale". W końcu pojawiła się straż miejska. I wygnali Banksy'ego, stwierdzając, że jeśli nie ma odpowiednich zezwoleń, to musi sobie „go out".

Lubię Banksy'ego za całe jego poczucie humoru, dystans i obnażanie sztucznego sztafażu, na jakim wznosi się gmach współczesnej sztuki, która sama w sobie jest wielką komercyjną maszyną do zbijania kasy. I lubię choćby za ten myk z niszczarką ukrytą w ramie, która uruchomiła się w chwili, gdy jego obraz został sprzedany na aukcji (wbrew obietnicy złożonej przez właściciela, że nigdy go nie sprzeda).

A jednocześnie myślę sobie – trochę w kontekście wydarzeń przy urnach wyborczych w Europie – że tak jak na Banksy'ego nie potrafi reagować współczesny zinstytucjonalizowany świat sztuki, tak samo nie potrafi na ruchy „niepodległościowców" i konserwatystów odradzające się w Europie reagować zinstytucjonalizowana Unia. Robi więc to samo, co włoscy mundurowi Banksy'emu: „You can't stay here", „You have to go out". Tylko że w przeciwieństwie do artysty Orbán czy Salvini nie złożą politycznych sztalug i nie odejdą incognito z europejskiego „placu św. Marka", pchając przed sobą wózek swoich poglądów. Zostaną. Mam nadzieję.

Rżnij, harmonio!



Piotr Cywiński

Jak ćwierkają wróble na kremlowskich dachach, Władimir Władimirowicz Putin, lat 67, znów został ojcem. Znów, bo dzieci już ma. Ile dokładnie – nie wiadomo. Piszę: „Urodziły mu się", jako że o rodzicielce też wiadomo niewiele. Jest nią podobno Alina Kabajewa, lat 36. Wedle plotkarskich mediów miano dla niej opróżnić z ciężarnych całe piętro kliniki, pozostałe nie mogły zbliżać się do okien, a poród dwóch bliźniaków odebrał wybitny położnik sprowadzony z Włoch. Jeśli wierzyć pogłoskom, nie pierwsze to dzieci Kabajewej z Putinem, mają ich teraz łącznie jakoby pięcioro.

Rzecznik Aliny, a jak – ma rzecznika!, rzucił tylko: „Nie komentujemy plotek". Za plotkowanie o niekoronowanym carze można w Rosji słono zapłacić. Wie coś o tym niejaki Aleksandr Lebiediew, były właściciel „Moskiewskiego Korespondenta", który już w 2008 r. doniósł o braku pożycia Putina z pierwszą damą i jego romansie z Aliną, po czym musiał zwinąć redakcję. Ale, fakt faktem, wysłużona Ludka żoną Putina już nie jest, jej miejsce formalnie czy nieformalnie ma zajmować młoda i gibka gimnastyczka artystyczna. Co prawda tabloidy rozpisywały się raz po raz o ich cichotajnym ślubie, jednak żadne z nich tego nie potwierdziło. Tak czy siak, Kabajewa pierwszą damą Rosji nie jest. O niej samej wiadomo trochę więcej: że ta była mistrzyni olimpijska została zdyskwalifikowana za występy na dopingu, że odebrano jej tytuły, ale została obsypana orderami za zasługi dla „rodiny", po czym „wybrano ją" na posłankę Dumy i do Rady Najwyższej, i na przewodniczącą Rady Narodowych Mediów, i na Kobietę Roku, i Najbardziej Sexy itd. Ostatnio świat mógł ją zobaczyć w telewizji, jak podpalała olimpijski znicz w Soczi... – Rosja uznała zarzuty o dopingu za potwarz i znów Władimir Władimirowicz mógł podziwiać swą Alinę z trybuny.

Ale miało być o dzieciach cara. Z Ludmiłą, z którą ma dwie córki, podobno nie kleiło mu się już podczas szpiegowskiej misji w Dreźnie. Niemieckie tabloidy plotkowały, rzekomo na podstawie jakichś tajnych akt, jakoby agent Putin zostawił w dawnej NRD bękarta, że jego kochanką była podsunięta mu agentka Lenchen Sch., która tuliła też w ramionach Ludmiłę, wypłakującą się jej, że mąż ją bił i takie tam rzeczy... – pewnie zmyślone, on, władca Wszechrusi?! Wszak eksmałżonka Władimira Władimirowicza wyraziła oficjalnie swą wdzięczność, cytuję: „Jestem mu wdzięczna, że mnie wspiera i bardzo troszczy się o dzieci".

Jak pisał Jesienin w swej „Moskwie karczemnej": „...rżnij, harmonio, rżnij, klawiszasta!".

eprasa.pl fcafcc1382

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR X2, PAP/BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI, MICHAŁ WOŹNIAK/EASTNEWS, PAP/PIOTR NOWAK, JACEK DOMIŃSKI/EASTNEWS, KRYSTIAN MAJ/KPRM, BEATA ZAWRZEL/EASTNEWS, FRATRIA, ŁUKASZ GDAK/EASTNEWS, SHUTTERSTOCK X5

eprasa.pl fcafcc1382

Wielki reżyser działa



Dziennikarze, szefowie mediów, psycholodzy społeczni. Ludzie bardzo wpływowi, decyzyjni w swoich środowiskach. To jest prawdziwy sztab opozycji

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Józefem Orłem, liderem dyskusyjnego Klubu Ronina, filozofem, menedżerem, byłym politykiem, współzałożycielem Porozumienia Centrum, działaczem społecznym

Przez ostatnie trzy lata w dwóch tylko miejscach można było usłyszeć, że pozostawienie obecnego kształtu systemu medialnego zemści się na obozie dobrej zmiany: w mediach, które współtworzymy, i w Klubie Ronina, którym pan kieruje. I to się w ostatnich tygodniach dramatycznie potwierdziło. Obóz III RP okazał się zdolny do potężnych uderzeń manipulacyjnych i propagandowych, do kreowania wielkich emocji społecznych niemal na pstryknięcie palców.

Józef Orzeł: Tak było. Ale nic już nie zmienimy. Tak będzie do końca, do kolejnych wyborów. Do jesiennej bitwy o rząd.

Przeanalizujmy pobudzanie sporów wokół Kościoła: zaczyna atakiem Jażdżewski przy Tusku, potem mamy profanacje, w końcu wybucha film Sekielskich. Ktoś tę i inne kampanie reżyseruje?

Oczywiście, że tak. Jest wielki reżyser, choć z tego, co wiem, w kilku osobach. Innymi słowy, prawdziwy sztab. Znam tych ludzi oczywiście od wielu lat.

Kim są?

Dziennikarze, szefowie mediów, psycholodzy społeczni. Ludzie bardzo wpływowi, decyzyjni w swoich środowiskach. Kilka osób, które kombinują, jak w sferze medialnej koordynować obieg informacji w taki sposób, by osiągnąć pożądane z punktu widzenia opozycji cele. Oczywiście nie przeżyłbym prawnie rozmowy o nazwiskach,

Zdjęcia Andrzej Wiktor

eprasa.pl fcafcc1382

więc nie mogę ich podać. Ale każdy, kto zna świat mediów, może sobie to jakoś tam ułożyć.

Jaka jest relacja tej grupy z partiami opozycyjnymi?

Płynna, zmienna. Czasami wykonują robotę za partie i to politycy idą w to, co tam się wymyśli. Niekiedy odwrotnie – grupa pomaga zrealizować kampanie opozycji. A czasami działają wspólnie.

Ciekawy wątek – czyli po stronie III RP sfera medialna jest równorzędna lub nawet nadrzędna wobec komponentu politycznego w odróżnieniu od konstrukcji obozu rządzącego?

Tak to można opisać. Tam się też ogromnie dużo w te elementy medialne inwestuje. To są pieniądze po stronie konserwatywnej niewyobrażalne. I potem są efekty: kiedy potrzeba, pojawia się na scenie pan Jażdżewski i wykonuje, co ma wykonać.

Tę akcję antykościelną rozpisali na elementy psychologowie społeczni?

Pewnie nie tylko oni, to się nazywa inżynierią społeczną. Chodzi o stworzenie nowego człowieka w wymiarze szerszym, a tutaj konkretnie o nowego wyborcę, bo nie przypadkiem dzieje się to przed samymi wyborami. Czyli zakłada się, że wyborcy centrum i nieco na prawo od centrum są tymi, na których można takim psychologicznym uderzeniem wpłynąć. Że wystarczy jedna, ale duża i skoordynowana akcja, by na nich w fałszywy sposób wpłynąć. I nie chodzi tylko o tzw. praktykujących katolików, ale też o tych, którzy choć nie przestrzegają zasad wiary, to się do niej odwołują, jest ona dla nich istotnym punktem odniesienia, którzy mają ten tradycyjny zapis w środku.

Dlaczego mówi pan o fałszywym uderzeniu?

Bo ono po prostu jest fałszywe, opiera się na nieprawdziwym uogólnieniu. Skala pedofilii w Kościele, choć oczywiście każdy przypadek jest oburzający, jest jednak mniejsza niż w całym społeczeństwie. To zaledwie 0,3 proc. stwierdzonych przestępstw pedofilskich. Budowanie na tej podstawie obrazu całego Kościoła jest zakłamywaniem rzeczywistości. Ale przecież ten atak poszedł szerzej: seria profanacji świętych symboli, wszystkie głupoty, które wygadywał Jażdżewski. Wreszcie cała ideologia gender, która jest odbieraniem Polakom Kościoła, dekalogu i wstawiania w to miejsce jakiegoś „róbta, co chceta".

A jeszcze Dominika Wielowieyska próbowała dorzucić hasło „Daję na tacę jeden grosz".

No cóż, niech daje. Ja będę dawał na tacę tyle, ile uważam za słuszne. To nie są pieniądze dla księży, to są pieniądze na nasz Kościół, na utrzymanie świątyń, na pomoc biednym. Do księży trafiają tylko te opłaty, które są osobowe, np. na intencje mszy świętych, za chrzciny, pogrzeby i śluby.

> Jeżeli warunki zewnętrzne nie zmienią się jakoś dramatycznie, to oceniam, że PiS wygra jesienią z tym kociołkiem opozycyjnym

Czy ta operacja antykościelna się udała?

Bardzo się udała. Mamy rewolucję antykulturową, która wchodzi tak czy inaczej, a do której takimi akcjami jak ta z ostatnich tygodni dokłada się kolejne fale. Wszystko po to, by zmienić wynik wyborczy. Żeby przeważyć, bo mamy przecież podział pół na pół, więc każde ziarenko się liczy. Stąd takie próby jak Wiosna. Chodzi o to, by pod nieco innymi sztandarami, dzięki nowym twarzom, przejąć jeszcze trochę wyborców, złapać ich na inne haczyki. Tam u Biedronia jest zresztą ciekawy miks: trochę młodzieży Owsiakowej, trochę elektoratu starokomunistycznego.

Te operacje wywołują duże przepływy wyborców?

Nie. Podział jest głęboki, trudno mówić o wielkich zmianach. Dlatego te akcje muszą być coraz bardziej brutalne. One zresztą mają przynieść jeszcze jeden ważny efekt: zdemobilizować wyborcę prawicowego, podmyć jego fundamenty moralne, odebrać pewność siebie, a w finale skłonić, by pozostał w domu w dniu wyborów. To fundamentalna sprawa. Jeżeli to się im nie powiedzie, prawica jesienią wygra kolejną kadencję. Jeśli ludzie dadzą się zdemobilizować – przegra.

Kogo jest dziś w Polsce więcej: zwolenników superpaństwa europejskiego czy Europy Ojczyzn? Pragnących rewolucji genderowej czy przywiązanych do dekalogu?

W mediach, elitach, establishmencie – tych pierwszych. W społeczeństwie – tych drugich. Ale prawdziwa gra toczy się o dzieci i młodzież. Powiem jasno: stawką jest odebranie konserwatystom ich dzieci.

W sensie duchowym? Przerobienie ich serc i umysłów za pomocą mediów i kultury masowej?

Też. Stąd zbrodnicze w moim przekonaniu próby indoktrynacji dzieci, wbrew rodzicom, już w przedszkolu i od pierwszych lat szkoły. Ale nie tylko o dusze chodzi. Warto pamiętać, że w wielu krajach na Zachodzie rozmaite urzędy najczęściej odbierają dzieci właśnie katolikom. Nie muzułmanom, nie żydom, nie ateistom, ale właśnie katolikom.

Wielu konserwatystów się pociesza, że ideologia gender, całe te opowieści o możliwości wybrania płci, ten totalitaryzm uniemożliwiający wolną rozmowę na jakikolwiek temat, to dzielenie społeczeństw, oddzielanie rodziców od dzieci, nie może się udać, bo jest sprzeczne z naturą. Pan się z tym zgadza?

To jest rzeczywiście, jak panowie mówią, pocieszanie się. Ale nieprawdziwe. Nie jest tak, że totalitaryzm sprzeczny z naturą człowieka nie może wygrać. Długo triumfował komunizm, wygrał

eprasa.pl fcafcc1382



faszyzmo-niemczyzm. Gender też może wygrać, a wtedy koniec z chrześcijaństwem w Polsce, koniec z konserwatyzmem. My zaś wszyscy możemy się stać obywatelami drugiej kategorii, a nasz Kościół będzie musiał zejść do podziemia. To wcale nie jest nierealne, być może nastąpi jeszcze za naszego życia. O ile nie zaczniemy działać.

No właśnie – jedzie na nas walec za walcem, a my, obywatele, bezradnie patrzymy? Wielki reżyser, sztab opozycji, planuje takie kampanie, a obóz rządowy im się skutecznie nie przeciwstawia?

Niestety tak. Po to kilka lat temu stworzyłem profesjonalny think-tank, zespół analityczny, by tego typu zagrożenia przewidywać i wskazywać, jak im przeciwdziałać. Już dwa lata temu ostrzegaliśmy przed nieprzygotowaniem szkoły na rewolucję genderową, która tam wejdzie. Wskazywaliśmy, że wiele krajów, które wydawały się równie mocno chrześcijańskie, jak Polska, rozbito w pył tą ideologią i naciskiem mediów. I to często w ciągu zaledwie kilku lat. Nie jesteśmy dużo silniejsi niż oni. Trzeba rozumieć skalę zagrożenia: to ma być nowy komunizm, tylko inteligentniejszy i bez strzelania.

Ale do więzień już na Zachodzie za nieprawomyślność zamykają.

Sporo ludzi już za to siedzi. Inni będą siedzieć.

Ile jest Sorosa w tej kampanii?

Na oko strasznie dużo. Krążą w tle ogromne pieniądze, często niejasnego pochodzenia. Ostatnio się okazało, że nawet w organizowanie protestów rzekomych przeciwników przekopu Mierzei Wiślanej zaangażowane są Sorosowe pieniądze.

No właśnie: pieniądze, organizacja, struktury, media – to są klucze skuteczności we współczesnym świecie. Rozumie to Viktor Orbán. U nas miał być Budapeszt nad Wisłą. Dlaczego nie ma?

Powód jest prosty: Orbán budował pozycję w społeczeństwie, a więc i społeczeństwo, organicznie, przez 30 lat. Przewidział logikę wydarzeń, zrozumiał, gdzie jest klucz do postawienia skutecznego oporu. Prawo i Sprawiedliwość ma inne źródła. To od początku była klasyczna partia polityczna, w założeniu nawet dość elitarna, nieufnie nastawiona do ruchów społecznych. Zresztą sukces roku 2015 tę akurat diagnozę potwierdzał, bo zwycięstwo przyszło dzięki ciężkiej pracy aparatu partyjnego i twardemu przywództwu Jarosława Kaczyńskiego. Być może, stawiam takie pytanie, dziś jest czas na marsz w drugą stronę – otwarcie się na zaplecze społeczne. Być może ten model z roku 2015 się wyczerpuje.

Na Węgrzech tak było może przy dochodzeniu do władzy. Dziś to też działa bardziej klasycznie. Lekcja z Orbána jest chyba inna i brzmi tak: jeżeli chcesz się mierzyć z systemem liberalno-genderowym, który jest powietrzem twojej epoki, to nie możesz kraju przebudować troszeczkę. Musisz działać całościowo.

Zgoda. Nie polemizuję z tym. Mówiłem już w tej rozmowie, że to gra zero-jedynkowa.

Jednak obecny rząd dużo zrobił, by się z drugą stroną dogadać. Choćby w sferze kultury. Jaki jest bilans?

Sądząc po tym, jak potraktowano bardzo subtelnego i umiarkowanego profesora Piotra Glińskiego w roli ministra kultury, to się nie powiodło. Jedną kwestią jest to, co naprawdę tam osiągnął – a to było sporo. Inną zaś rzeczą to, jak jest traktowany w środowisku artystycznym i – co najważniejsze – jak opisywany w mediach.

40/0519/F

eprasa.pl fcafcc1382

Czyli można po prostu nie zauważyć budowy Muzeum Historii Polski, dziesiątków innych muzeów, uratowania wielu placówek kultury, tworzenia nowych?

Można. Jak się ma media, to przykryć można wszystko i niczego nie trzeba zauważać.

Dlaczego zatem systemu medialnego, z wyjątkiem spluralizowania TVP, nie zmieniono? Wydawało się, że po latach 2005–2007 Prawo i Sprawiedliwość już wie, że można wbrew mediom zdobyć władzę w momencie jakiegoś przesilenia, ale na dłuższą metę rządzić przy wściekłym, codziennym ataku jest bardzo trudno.

PiS to wie od bardzo dawna. Ale to nie jest partia rewolucyjna, wbrew temu jak jest opisywana. To formacja konserwatywna. I łagodna.

A opisywana jako brutalna.

To po prostu nieprawda, to przykrywanie własnej brutalności przez opisujących. Jednym z założeń prowadzonej przez nią polityki jest to, że ludzie są dobrzy, że prawda ma samoistną siłę, że dobra praca dla Polski, skuteczna polityka, zostanie przez ludzi doceniona i dostrzeżona. Najwyraźniej tak to niestety nie działa.

> Ostatnio się okazało, że nawet w organizowanie protestów rzekomych przeciwników przekopu Mierzei Wiślanej zaangażowane są Sorosowe pieniądze

W 2015 r. było duże przyzwolenie na reformę systemu medialnego, na jego spluralizowanie.

Też mi się tak wydawało. O tym w swoich analizach pisałem kilkakrotnie.

Efekt jest taki, że większość ludzi w Polsce nie wie, że ta ekipa odzyskała dla podatników setki miliardów złotych, także z rąk różnych mafii. Zastopowała złodziejstwo. Uczyniła transfery zasobów bardziej sprawiedliwymi. Mamy jednak wrażenie, że to martwi wyłącznie Karnowskich i Józefa Orła.

Wygląda na to, że tak właśnie jest. W sferze komunikacji społecznej widać jeszcze inny błąd Prawa i Sprawiedliwości: nie umieją prosto mówić o tej walce kulturowej, w której

REKLAMA

BEZPIECZEŃSTWO NASZYCH PIENIĘDZY

Zakładając lokatę lub konto w banku, jesteśmy przekonani, że nasze pieniądze są w pełni bezpieczne. Banki i instytucje finansowe dbają o ich bezpieczeństwo, stale ulepszając zabezpieczenia i monitorując wszelkie ataki. Jednak i druga strona nie ustępuje w wysiłkach, próbując coraz to nowszymi sposobami dostać się na nasze konta.

– Nie ma doskonałych systemów zabezpieczających, ważne, by szybko wykrywać ich słabe punkty i je likwidować – mówi Jacek Skorupka, dyrektor Biura IT Security. W naszym banku aplikacje internetowe i mobilne są regularnie poddawane testom bezpieczeństwa, opartym na symulacjach różnorodnych metod obejścia zabezpieczeń stosowanych przez hakerów. Jeśli zostanie odkryta jakaś luka w systemie, jest ona natychmiast naprawiana – dodaje.

OCHRONA I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Ważne jest edukowanie użytkowników, aby nieświadomie nie pomagali hakerom w próbach przejęcia ich haseł i kodów dostępowych (np. kodów jednorazowych SMS). Otwierając załączniki lub odnośniki z wiadomości e-mail, których się nie spodziewamy, możemy zainstalować wirusa, który umożliwia przejęcie naszego loginu i hasła do bankowości.

Podobnie instalowanie na smartfonach i tabletach aplikacji spoza oficjalnych sklepów generuje potencjalne zagrożenia. Zawsze należy się upewnić, kto jest wydawcą aplikacji, ile aplikacja ma pobrań oraz jakie ma opinie. Zazwyczaj złośliwe aplikacje będą miały inną nazwę wydawcy i mniej pobrań niż te oryginalne. Pamiętać należy o aktualizacji programu antywirusowego, systemu operacyjnego oraz aplikacji, z których korzystamy (np. Acrobat Reader, Java itp.). Warto też sprawdzać na stronach banku informacje o wykrytych atakach, jak chociażby ostrzeżenia o fałszywych mailach od naszego banku czy najnowszych zabezpieczeniach udostępnianych przez bank. I tak na przykład Idea Bank udostępnia na swojej stronie internetowej antywirusowe oprogramowanie



Trusteer Rapport. Jest to zupełnie bezpłatne, zaawansowane oprogramowanie zabezpieczające, opracowane przez IBM z myślą o zapobieganiu kradzieży danych bankowych przekazywanych drogą elektroniczną. Takie oprogramowanie istotnie zmniejsza ryzyko kradzieży środków z bankowości. Nie zmienia to jednak faktu, że tak jak bank odpowiedzialny jest za deponowane środki, tak również użytkownik powinien zadbać o ich bezpieczeństwo.

oprasa.pl fcafcc1382

chodzi o zupełnie podstawowe sprawy: czyja będzie Polska, kto będzie wychowywał dzieci, pod jakimi hasłami, czy będą granice otwarte czy chronione.

Umieją. Umieli. Chyba w pewnym momencie przestali chcieć o tym mówić.

Pojawił się lęk przed twardym graniem w sercu PiS. Pytanie, skąd on się wziął, należy do najciekawszych. Ale muszę złożyć ważne zastrzeżenie: strasznie łatwo o tym mówić ex post i z pozycji doradcy. Polityk ponosi odpowiedzialność za państwo, za swój obóz.

Jednak, abstrahując od mediów, a może właśnie wskutek ich działania, wystąpił też chyba efekt pewnej niewdzięczności. Zobaczyliśmy to w ostatnich wyborach samorządowych: średnie miasta, które zyskały na 500+ i przekierowaniu przez rządy PiS wielkich funduszy na prowincję, wybrały jednak najczęściej opozycję. Niesamowite zjawisko głosowania wbrew własnym interesom!

Tak, ale to jest jeszcze głębsze. Kiedy startował program 500+, jeden z radykalnie antypisowskich akademików powiedział, że on ten projekt popiera, bo jak ludzie już zaspokoją swoje podstawowe potrzeby, to będą chcieli także stać się postępowi i europejscy. I będą już głosowali na lewicę czy liberałów. Śmiałem się trochę wtedy, sądząc, że może taki mechanizm wystąpi za kilkanaście lat. A on miał rację – to się zaczęło już po dwóch latach. To splata się z kolejnym zjawiskiem: fala genderowa przeszła z wielkich miast na średnie. I idzie w dół. Opozycja to wszystko świadomie podsyca.

Czy opozycja miała inną drogę? Czy mogła pójść na spór merytoryczny, programowy?

Nie. Bo wiedziała i wie, że to zmniejszałoby jej szanse na wygraną. Natomiast pójście na podział całkowity, zero-jedynkowy, polityczny, kulturowy, moralny było dla niej najpewniejszym sposobem przetrwania. Nie jest to zresztą oryginalny patent. Raczej kopia patentu, który ich siostry i bracia od lat z sukcesem stosują na Zachodzie. Nie jestem nawet pewien, czy mogli wybrać inaczej. To oni muszą zasłużyć na to, by pewne siły na Zachodzie na nich stawiały, nie są w relacji partnerskiej.

A może oni by tego programu nie umieli zrobić?

Nie, daliby radę, tam jest jednak większa część tzw. elit. Napisaliby coś takiego bez problemu. Ale tu pojawiłyby się trzy kłopoty. Po pierwsze, o czym już wspomniałem, utrudniłoby to pójście w emocje. Po drugie, zrodziłoby napięcia wewnętrzne. Po trzecie, ktoś mógłby potem pytać o realizację zapisanych tam celów. Poza tym oni w ogóle o tym, jak rządzić, nie myślą. Tam dominuje jedno wezwanie: wrócić do władzy i się zemścić. Kropka.

> Pojawił się lęk przed twardym graniem w sercu PiS. Pytanie, skąd on się wziął, należy do najciekawszych

Tego też chcą jej wyborcy?

W dużej części tak. I na razie to z punktu widzenia opozycji jakoś tam działa. Jej prawdziwy problem to pytanie, co ona z sobą zrobi, czym będzie, jeśli jeszcze raz przegra wybory, te jesienne?

Dlatego jej kampanijnym pomysłem było, by teraz wskoczyć na falę rozkręconych emocji i dojechać do wyborów parlamentarnych.

Tak było. I dlatego zrobili jeden kociołek, w którym zmieściły się wszystkie grupy, bez względu na poglądy, historię.

Jesienią zagrają podobnie?

Będzie tak jak w kampanii majowej, ale jeszcze brutalniej. Zwróćmy uwagę, jak precyzyjnie uderzają personalnie: najpierw w Jarosława Kaczyńskiego, lidera i gwaranta prawości obozu, a następnie w premiera, który jest wielkim atutem obozu, politykiem dużo dodającym. Będzie zapewne nadal kontynuowany wątek kościelny, będzie próba rozkręcenia afery wokół SKOK-ów. Będą też nadal promowane te siły, które mają podgryzać PiS z prawej strony. Tu mój apel do wszystkich, którym na Polsce zależy: uważajcie na ludzi, którzy mówią jednocześnie przeciwko Ameryce, Izraelowi i Ukrainie. Macie tam jak w banku, bezpośrednio lub w tle, ruską agenturę.

To ciekawe, że ci ludzie nic o Rosji nie mówią.

Malutko. A jeśli już, to zawsze z szacunkiem.

Konflikt polsko-izraelski powróci?

Tak, bo to jest wynik wielu światowych procesów. Fundamentem jest tu jakaś zgoda izraelsko-niemiecka w obszarze polityki historycznej, gdzie Niemcy oczyszcza się ze zbrodni, a Polskę wstawia w to miejsce. Tu możemy mówić o pewnym sukcesie: przeciwstawiliśmy się temu, nie zgodziliśmy, by ta fala nas zalała. To kosztowało, ale innego wyjścia nie było, a my wytrzymaliśmy. Znowu jednak podkreślę: można było to zrobić mocno od początku, a nie czekać.

Kto będzie rządził Polską w roku 2020?

Jeżeli warunki zewnętrzne nie zmienią się jakoś dramatycznie, to oceniam, że PiS wygra jesienią z tym kociołkiem opozycyjnym.

Można postawić tezę, że wybory zarówno samorządowe, jak i europejskie były dla Prawa i Sprawiedliwości najmniej naturalne, były tańcem na ruchomej podłodze. Bo lokalne elity raczej PiS nie lubią, bo napięcie z Unią jest cechą rządów próbujących wzmocnić suwerenność. Jesienią sprawa będzie chyba prostsza: jesteś za tym, co było kiedyś, czy za tym, co jest teraz?

Tak uważam. Ale samo nic się nie zrobi. W tej walce o przyszłość naszej cywilizacji liczy się każdy wysiłek. Jeżeli ludzie, którzy chcą bronić naszej cywilizacji, nie zaczną się mocniej organizować, to zostaniemy rozjechani.

eprasa.pl fcafcc1382



Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

Łatwiej już było

Kampania do Parlamentu Europejskiego za nami, teraz trzeba wyciągnąć wnioski z własnych błędów oraz przygotować się do nadciągających zagrożeń przed jesiennymi, decydującymi o przyszłości dobrej zmiany, wyborami do Sejmu i Senatu. Bo siła ataku opozycji oraz związanych z nią środowisk i mediów będzie jeszcze większa



STANISŁAW JANECKI

Kampania wyborcza do europarlamentu była przede wszystkim bezcennym doświadczeniem strategiczno-taktycznym. W samej kampanii zwykle brakuje czasu na bardziej skuteczne przekazanie wyborcom własnego programu i wizji przyszłości oraz bieżącego reagowania na zagrożenia stwarzane przez politycznych przeciwników. Miniona kampania dowodzi, że dla opozycji nie ma żadnych tabu ani ograniczeń w grze interesem Polski. Czyli nie ma już żadnych barier, żeby dla celów wewnętrznej walki politycznej wystawiać Polskę na wszelkie ryzyka zewnętrzne. Zobaczyliśmy nie tylko plan zniszczenia wiarygodności liderów obozu rządzącego, podważenia wiarygodności rządzącego ugrupowania, ale też zamiar maksymalnego osłabienia polskiego państwa na arenie międzynarodowej, żeby to rykoszetem uderzyło w sprawujących władzę. Chodziło o wywołanie w społeczeństwie paniki wokół liderów obozu rządzącego, czyli jednocześnie najważniejszych przywódców państwowych,

eprasa.pl fcafcc1382

w tym paniki moralnej. Chodziło też o wywołanie poczucia zagrożenia zewnętrznego, i to nie tylko ze strony oczywistych wrogów Polski, ale też jej najważniejszego sojusznika.

Miniona kampania wyborcza była pierwszą w dziejach Polski po 1989 r. próbą destrukcji najważniejszych elementów składających się na poczucie bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego, choć z powodu swego charakteru powinna być dla poczucia bezpieczeństwa najmniej groźna. Stało się inaczej i to jest przełom będący ważną lekcją na przyszłość, przede wszystkim dla Zjednoczonej Prawicy.

TRZY FRONTY

Przynajmniej od lutego było jasne, że najważniejsi przeciwnicy obecnej władzy, czyli z jednej strony Koalicja Europejska i Wiosna, a z drugiej Konfederacja uderzą w obóz rządzący na trzech frontach. Pierwszy to zburzenie fundamentu systemu wartości rządzących, czyli przede wszystkim uderzenie w Kościół. Drugi to zburzenie poczucia bezpieczeństwa zewnętrznego, czyli przede wszystkim narracja o apokaliptycznych skutkach amerykańskiej ustawy JUST Act 447. Trzeci to zniszczenie liderów obozu rządzącego, a tym samym przywódców państwa jako osób nieoddanych służbie publicznej, a skupionych na prywacie, czyli przede wszystkim bogaceniu się. Walka na tych trzech frontach była prowadzona tak, żeby w końcówce kampanii do europarlamentu powstało wrażenie absolutnej dominacji patologii: pedofilii księży osłabiającej cały Kościół, ogromnych odszkodowań za tzw. mienie pożydowskie rujnujących kraj i materialnej pazerności liderów obozu rządzącego podważających moralność władzy. Skupienie się na tych frontach dawało opozycji przesłanki do zepchnięcia rządzących do defensywy w najważniejszym okresie kampanii. I to zepchnięcie do defensywy, reagowanie na kolejne ogniska zapalne wywoływane przez opozycję w dużym stopniu się udało, choć wszystko to było dość łatwe do przewidzenia.

Pytanie, dlaczego obóz rządzący w porę nie zidentyfikował zagrożeń i odpowiednio wcześnie nie reagował na nie, bo kiedy wybuchały pożary, tracił zbyt dużo sił na ich gaszenie, choć podpalaczy można było łatwo zidentyfikować i nie dopuścić do rozprzestrzeniania się ognia.

Nie jest ważne, że fronty były albo wymyślone, albo ogromnie przesadzone i zmanipulowane. Ważne, że stały się realnym elementem, a nawet dominantą kampanii, przynajmniej po stronie opozycji, ale też mocno angażującym rządzących oraz opinię publiczną. Narracje opozycji wdrukowywały społeczeństwu, że rządzący są współwinni pedofilii księży (jako przymykający oczy na patologie z powodu ścisłego sojuszu). Przekonywały, że gdyby nie obecna władza, nie byłoby ani ustawy 447, ani zagrożenia żądaniem ogromnych rekompensat (wskutek uzależnienia od USA, a tym samym od Izraela). Wdrukowywały, że nigdy wcześniej władza w Polsce nie była zainteresowana bogaceniem się jej liderów (wykorzystując istnienie niewielkiej i ubogiej jak na polskie warunki spółki Srebrna oraz tego, że premier przez lata był prezesem zarządu dużego banku, gdzie dużo zarabiał). Wszystkie trzy narracje były z gruntu fałszywe, ale angażowały emocje, moralność, sumienie oraz indukowały zawiść, strach czy obrzydzenie.

Reakcja rządzących na wydaną im wojnę na tych trzech frontach była taka, że przez długi czas trzymali się oni własnej narracji, najogólniej skupionej na realizacji polskiego modelu państwa dobrobytu, zbudowanego wokół sukcesów gospodarczych i osiągnięć polityki socjalnej, z których wszyscy korzystamy. Pytanie, czy w czasie otwartej wojny taka spokojna, pozytywna strategia była skuteczna. Czy jest adekwatną odpowiedzią na wdrukowywanie opinii publicznej, że PiS jest odpowiedzialne za pedofilię księży, że rujnuje Polskę, potajemnie dogadując się z Amerykanami, Izraelczykami i Żydami w sprawie rekompensat, że Jarosław Kaczyński jest potężnym deweloperem, a premier Morawiecki znaczącym spekulantem na rynku finansowym i nieruchomości? Wszystko wskazuje na to, że strategia spokoju oraz wizji państwa dobrobytu trwała za długo i w najważniejszej fazie kampanii spychała Zjednoczoną Prawicę do defensywy, a to opozycję rozzuchwalało.

MAŁY REALIZM CZY WARTOŚCI?

Przez długi czas w kampanii wyborczej Zjednoczonej Prawicy dominował pragmatyzm, przekonanie, że trzeba proponować konkrety i rozwiązywać codzienne problemy. Można by taką strategię nazwać małym realizmem. Pytanie, czy polskie społeczeństwo jest na takim etapie rozwoju, żeby się małym realizmem zadowolić. Znacznie bardziej taka strategia pasowałaby np. do Czechów. Dopiero gdy opozycja zaczęła atakować rządzących z pozycji odpowiedzialnych za wymienione wcześniej patologie, mały realizm ustąpił na rzecz podkreślania wartości i zasad fundamentalnych dla Zjednoczonej Prawicy. Tylko czy nie stało się to za późno? Czy przez długi czas nawet wyborcy Zjednoczonej Prawicy nie mieli przekonania, że pragmatyzm zastąpił wartości? Przecież podczas kampanii prezydenckiej oraz do Sejmu i Senatu w 2015 r. fundamentalne wartości, skrótowo identyfikowane z hasłem „Bóg, Honor, Ojczyzna", nigdy nie zeszły na dalszy plan. Nie było wątpliwości, że w rządzeniu nie chodzi tylko o dobrobyt i bezpieczeństwo socjalne, ale też o obronę i promowanie wartości najważniejszych dla wspólnoty. Tym bardziej że one nie są wcale sprzeczne z wizją państwa dobrobytu. Przecież europejski model państwa dobrobytu stworzyli w latach 50. chadecy, i to wcale nie malowani – jak obecna chadecja. Przecież podstaw kapitalizmu nie zbudowali protestanci, jak się przyjęło sądzić, lecz katolicy rządzący włoskimi miastami-państwami.

Skupienie się rządzących na pragmatyzmie powodowało, że opozycja przejęła inicjatywę w sferze emocji, rozpętała gorącą wojnę kulturową i ideologiczną. I odwróciła porządek wartości, mianując się ich obrońcą, choć sama wartości wyłącznie burzyła. Dzięki temu w dużym stopniu udało się opozycji przykryć kompletną pustkę programową i moralną oraz aksjologiczną jałowość. Wystarczyło się obwołać rycerzami walki z patologiami w Kościele, a przez to w całej konserwa-

eprasa.pl fcafcc1382

tywnej części społeczeństwa, z demoralizacją pazernej władzy oraz neokolonializmem spod znaku USA i Izraela, żeby w kampanii przestały dominować kwestie programowe i realia, a zastąpiła ją spiskowa nierzeczywistość.

Co charakterystyczne, najbardziej kwestie spiskowe, szczególnie te odnoszące się do rzekomych związków rządzących z Rosją i Putinem (nie tylko w „paranoicznych" książkach Tomasza Piątka o Antonim Macierewiczu i Mateuszu Morawieckim) podejmowała Koalicja Europejska przedstawiająca się jako ucieleśnienie racjonalności. Dotyczy to nie tylko szukania śladów Putina w szeregach Zjednoczonej Prawicy, ale też oskarżania PiS o polexit oraz chęć rozbijania Unii Europejskiej. Spiskowe koncepcje w Konfederacji nie dziwią, bo większość jej uczestników od dawna prezentuje wizję kolonizacji Polski przez Amerykanów i Żydów.

Można odnieść wrażenie, że rządzący nie docenili paranoiczno-spiskowych wątków kampanii, więc za późno zaczęli je demaskować i po czasie wydali stanowcze oświadczenia w kwestii zarówno polexitu, jak i rzekomej kolonizacji Polski przez Amerykanów i Żydów. Przez co te chore koncepcje miały czas się ugruntować.

WYWOŁYWANIE DEMONÓW

Wyjątkowo bolesną, nie tylko dla rządzących, ale i dla Polski, lekcją kampanii do europarlamentu jest celowe wywołanie demonów antysemityzmu. Kampania Konfederacji przeciwko ustawie 447 została wykorzystana, przede wszystkim w USA i Izraelu, do rozpętania przeciw Polsce i rządzącym nagonki za rzekome tolerowanie antysemityzmu, a nawet jego promowanie. Wykorzystano nawet tak groteskowe i głupie zachowania jak „zabawy" jednego z liderów narodowców, Konrada Berkowicza, z jarmułką trzymaną nad głową posłanki PiS Anny Krupki. W tę nagonkę wpisała się też Koalicja Europejska, szczególnie gdy wyraźnie z nią sympatyzująca tzw. Konferencja Ambasadorów stwierdziła, iż napad na ambasadora Polski w Izraelu Marka Magierowskiego został przez polskie władze upubliczniony, co by oznaczało, że rozegrany jako element oficjalnego, niejako państwowego antysemityzmu.

Opozycja (od lewa do prawa) zagrała antysemityzmem, wiedząc, że na tym polu skutki są dalekosiężne i widoczne przez lata, o ile nie dekady. A nawet demona antysemityzmu wywołano właśnie dlatego, że skutki są tak poważne, co oznacza, że i w przyszłości obecna opozycja nie zawaha się użyć tej armaty, mimo spustoszenia, jakie to wywołuje. I tu pojawia się pytanie, jak na takie prowokacje, niszczące dobre imię Polski, powinny reagować państwowe służby. Czy reagowanie nie jest aby ich obowiązkiem?

> Wszystko wskazuje na to, że strategia spokoju oraz wizji państwa dobrobytu trwała za długo i w najważniejszej fazie kampanii spychała Zjednoczoną Prawicę do defensywy, a to opozycję rozzuchwalało

Kampania europejska dowiodła, że czynnik zewnętrzny może być już stałym elementem wyborów w Polsce. Trudno być na tyle naiwnym, by sądzić, że mając takie okazje, jak sprawa pedofilii księży, kwestie rekompensat za tzw. mienie pożydowskie czy sprawy moralności władzy, jakkolwiek „dęte" by one były, nie wzbudzi zainteresowania, czyli nie zachęci do działania obcych służb. Spod różnych flag, gdyż w takich kwestiach nie obowiązuje podział na przeciwników i sojuszników. Wszyscy korzystają z okazji, a nawet takie okazje stwarzają lub prowokują.

Najbardziej podatny grunt stwarzają sprawy, które można rozegrać jako dowód na istnienie w Polsce antysemityzmu. W historii III RP już przez to kilka razy przechodziliśmy, więc polskie służby powinny mieć już w tym temacie dostateczną wiedzę. Jeśli jej nie mają, oznaczałoby to ich nieprzygotowanie bądź nieskuteczność w bardzo ważnym obszarze funkcjonowania państwa.

Także kwestia polexitu stwarza różnym służbom duże możliwości dla prowokacji i konkretnych akcji. A za dowód niech wystarczą podobne działania przeciwko Wielkiej Brytanii w związku z brexitem. Najnowszy przykład rozegrania przez służby (najprawdopodobniej niemieckie) współrządzącej do niedawna Wolnościowej Partii Austrii, i to takiego rozegrania, które niszczy to ugrupowanie, każe też inaczej spojrzeć na tzw. aferę z wieżowcami spółki Srebrna. Czy nie mamy tu podobnego modus operandi? Czy nie chodziło o zniszczenie partii rządzącej i jej lidera Jarosława Kaczyńskiego?

Gdy się rządzi państwem, jego służby powinny być w stanie przeciwdziałać akcjom dezintegracyjnym, dezinformacyjnym i dyfamacyjnym. Nie w interesie partii, lecz państwa. A niezależnie od tego, czy taka partia jak PiS rządzi, czy nie sprawuje władzy, musi być wyczulona i przygotowana na takie wrogie działania, szczególnie w najważniejszych fazach kampanii wyborczych. I musi potrafić im przeciwdziałać.

Można odnieść wrażenie, że w ostatniej kampanii europejskiej ani służby państwa, ani partia rządząca nie były na to przygotowane. A przecież celem tych działań jest odsunięcie od władzy albo pogorszenie wyborczego wyniku. Trudno precyzyjnie określić, jak wszystkie opisane powyżej prowokacje przeciwko rządzącym wpłynęły na wyborczy wynik, ale przecież taki był ich cel. A w przyszłych wyborach, szczególnie do parlamentu krajowego i prezydenckich arsenał użytych środków będzie jeszcze większy, a metody udoskonalone. Dlatego tak ważne jest wyciągnięcie wniosków, żeby nie popełniać tych samych błędów. A kampania obozu rządzącego od tych błędów nie była wolna. Trzeba się nastawić na totalną wojnę. Łatwiej już było.

eprasa.pl fcafcc1382



Fundacja Obrony Defraudacji

Ujawniamy nowe fakty związane z kulisami działalności Ludmiły Kozłowskiej i Bartosza Kramka, którzy tak aktywnie weszli w polską politykę. Odnaleźliśmy w Warszawie Salima Szalabajewa, zamieszanego w jedną z największych światowych afer finansowych ostatnich lat. Kazach liczy na otrzymanie statusu uchodźcy politycznego w Polsce. Mimo poważnych zarzutów i wyroku sądu w Londynie murem stoi za nim Fundacja Otwarty Dialog



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Im bliżej przyglądamy się „podopiecznym" Fundacji Otwarty Dialog, tym lepiej widzimy, że stała się ona wehikułem do obrony osób zamieszanych w poważne afery finansowe.

FOD żyje ze wspierania oligarchów z krajów postsowieckich. Ma powiązania z osobami podejrzewanymi o miliardowe defraudacje w Kazachstanie czy w Mołdawii. W ubiegłym roku ujawniliśmy fakty dotyczące przepływów finansowych pomiędzy firmą Silk Road należącą do Bartosza Kramka (to członek rady fundacji, a prywatnie mąż jej prezes Ludmiły Kozłowskiej) a firmami rejestrowanymi w rajach podatkowych, zamieszanych w pranie brudnych pieniędzy. Nasze ustalenia potwierdził raport mołdawskiego parlamentu z jesieni 2018 r. W maju br. kolejne szczegóły tej sprawy opublikowały media brytyjskie – m.in. „Sunday Times". Przed FOD ostrzegają już nawet europosłowie z zachodniej Europy, polscy (Róża Thun, Michał Boni), którzy niedawno współpracowali z FOD, dziś się tego wypierają.

I nic dziwnego, bo czarnych plam w działalności FOD znajdujemy coraz więcej.

eprasa.pl fcafcc1382

SZACHISTA

Salim Szalabajew to 47-letni Kazach, szwagier Muchtara Abliazowa (byłego ministra energii, przemysłu i handlu Kazachstanu), podejrzewanego o największe oszustwo finansowe od czasu piramidy Bernarda Madoffa. Szalabajew interesuje nas, bo jest jedną z osób najbliższych Abliazowowi, w którego sprawie fundacja Kramka i Kozłowskiej prowadziła niemalże krucjatę obrończą.

Okazuje się, że mężczyzna mieszka w Polsce, w okazałej willi w Konstancinie-Jeziornie, jednej z najbardziej ekskluzywnych lokalizacji pod Warszawą. Jedziemy pod ustalony adres. Potężna brama strzeże wjazdu do posiadłości, na której znajdują się cztery domy. Jeden z nich ma zamieszkiwać Salim Szalabajew. Nikt jednak nie odbiera domofonu. Nie pojawia się też żaden z sąsiadów.

Mamy inne poszlaki wskazujące, że Kazach przebywa w Warszawie (tu studiuje jego córka, tu jest zarejestrowana jego firma). Docieramy do niego przez Uczniowski Klub Szachowy „Hetman" Warszawa, którego jest zawodnikiem.

Spokojnie można się z nim dogadać po polsku. Sprawia wrażenie sympatycznego człowieka, który chętnie udzieli nam wszelkich informacji. Za chwilę okaże się jednak, że kluczy i ma problem z prawdomównością.

BEZROBOTNY W LUKSUSACH

Pytamy o jego starania w uzyskania statusu uchodźcy w Polsce. W grudniu 2014 r. odmówiono mu. Wtedy wspierała go Fundacja Otwarty Dialog. „To jak wyrok śmierci" – tak decyzję Urzędu ds. Cudzoziemców komentowała wówczas w Onecie Ludmiła Kozłowska. Na stronach fundacji wciąż dostępna jest galeria zdjęć z protestu przed ambasadą Kazachstanu, gdzie ramię w ramię protestowali m.in. Kozłowska, Kramek, Szalabajew i jego siostra, żona Muchtara Abliazowa.

Okazuje się, że obecnie Szalabajew ponownie ubiega się o status uchodźcy, a trwająca procedura jest podstawą prawną jego pobytu w Polsce (to teraz – a w jakim charakterze cudzoziemiec przebywał w Polsce od decyzji odmownej w 2014 r. do złożenia ponownego wniosku?).

Mężczyzna się zarzeka, że gdy reprezentowała go FOD (dziś pomaga mu lubelska Fundacja Instytut na rzecz Państwa Prawa), robiła to za darmo. Dopytujemy, czy nie przekazywał jej żadnych pieniędzy. – To były symboliczne kwoty, może 200 euro – słyszymy w odpowiedzi. Ale nawet tej „symbolicznej kwoty" nie odnajdujemy w sprawozdaniach finansowych Otwartego Dialogu.

W KRS znajdujemy zarejestrowaną na warszawskim Powiślu firmę Dream & Dream sp. z o.o., należącą do Salima i Shiray Szalabajewów. Według danych na stronach Ministerstwa Sprawiedliwości w 2015 r. zawiesiła ona działalność, lecz w 2017 r. ją wznowiła (z działalnością w branży robót związanych z budową dróg i autostrad). Spółka nie ma strony internetowej, nie można odnaleźć jakichkolwiek informacji o jej aktywności. – To było na początku, teraz już nie. Firma jest sprzedana – tłumaczy Salim.

Skąd ma pieniądze na życie? – Sprzedałem dom w Kazachstanie i swoją działkę. Tak sobie radzę, dopóki nie mogę pracować – przekonuje. Musiały to być drogie nieruchomości, bo nie dość, że Szalabajew utrzymuje z nich siebie i rodzinę od co najmniej sześciu lat, stać go na wynajem luksusowego lokum, to w międzyczasie zdążył jeszcze zapewnić córce kosztowne wykształcenie. Uczyła się bowiem przez dwa lata w International School of Latvia pod Rygą (czesne wynosi tam 20 tys. euro za rok), dwa lata w Worcester Academy w Massachusetts (35–61 tys. dolarów za rok) oraz kolejne dwa w American School of Warsaw (ponad 100 tys. zł rocznie). Dziś jest studentką stołecznej Szkoły Głównej Handlowej. Ciekawe, czy program nauki obejmuje zagadnienia obrony przed międzynarodowymi defraudacjami. Takimi, jakich dopuścił się jej wuj.



Paszport dyplomatyczny Republiki Środkowoafrykańskiej wydany Almie Szalabajewej

Fot. Lyudmyla Kozlovska/Associated Press/EAST NEWS

WIELKI PRZEKRĘT

Chodzi o gigantyczną aferę, wyprowadzenie 6 mld dolarów z kazachskiego systemu bankowego w latach 2005–2009, gdy szwagier Szalabajewa Muchtar Abliazow kierował bankiem BTA (Bank Turan Alem). Oszustwo było możliwe dzięki kontrolowanej przez Abliazowa sieci spółek rejestrowanych w rajach podatkowych. Gdy pod koniec 2009 r. przekręt wyszedł na jaw, Abliazow uciekł z Astany do Londynu. Udało mu się przekonać brytyjski urząd, że jest ofiarą kazachskiego dyktatora Nursułtana Nazarbajewa, więc dostał azyl polityczny. Ale w tym czasie trwa już wielkie śledztwo nie tylko rządu w Kazachstanie, lecz i wielu wierzycieli BTA. W pościg za oligarchą ruszają najdroższe kancelarie prawne. Najlepsi prywatni detektywi szukają sposobów na odzyskanie jak największej części ze zdefraudowanych 6 mld dolarów. Do gry wkracza też Interpol.

Abliazow ukrywa się w Europie przez 18 miesięcy. W 2013 r. zostaje aresztowany w willi na Lazurowym Wybrzeżu należącej do jego kochanki Jeleny Tiszczenko, zamężnej z byłym partnerem w interesach Abliazowa, ukraińskim biznesmenem Serhijem Tiszczenką.

Ponad trzy lata trwają procedury związane z ekstradycją miliardera do Rosji (tam też był oskarżony o oszustwa na wielką skalę, pranie brudnych pieniędzy i fałszowanie dokumentów). Ostatecznie po protestach organizacji broniących praw człowieka (także FOD) i zaangażowaniu polityków do wydania Abliazowa Moskwie nie doszło.

W 2017 r. został on zaocznie skazany przez kazachski sąd na 20 lat więzienia, a rok później – na dożywocie za zlecenie zabójstwa swojego poprzednika na stanowisku prezesa banku

eprasa.pl fcafcc1382



Genewa – Salim Szalabajew wsiada do samochodu na dyplomatycznych numerach Republiki Środkowoafrykańskiej



BTA. Sprawy karne ma też w Stanach Zjednoczonych i Rosji. Po tym, jak został skazany w Londynie na 22 miesiące więzienia (za „obrazę sądu" – de facto naruszył postanowienie o zamrożeniu swoich aktywów), zbiegł na kontynent i wciąż się ukrywa. Fundacja Otwarty Dialog do dziś domaga się oczyszczenia go z zarzutów i określa jako dysydenta.

Takie same wyroki w stolicy Anglii usłyszeli szwagrowie Abliazowa, bracia Salim i Syrym Szalabajewowie. Syrym ostatecznie w 2016 r. uzyskał azyl polityczny na Litwie. Salim wciąż próbuje znaleźć schronienie w Polsce. Na razie dość skutecznie, mimo odmownej decyzji Urzędu do spraw Cudzoziemców sprzed 4,5 roku.



Warszawa – demonstracja Fundacji Otwarty Dialog przed ambasadą Kazachstanu z udziałem Salima i Almy Szalabajewów

SKRYTKA W LONDYNIE

Skąd ich nazwiska w tej historii? Syrym jest podejrzewany o pomocnictwo w wyprowadzaniu pieniędzy z banku BTA. Miał współtworzyć z Abliazowem sieć firm, poprzez które „wyparowały" miliardy dolarów.

Salim został przyłapany zaś na ukrywaniu dowodów w sprawie wielkiej defraudacji. W październiku 2010 r. prywatni detektywi obserwujący londyńską rezydencję Abliazowa (wtedy jeszcze bez wyroku) zainteresowali się regularnie pojawiającym się pod nią srebrnym SUV-em marki Lexus. Za kierownicą siedział Salim Szalabajew. W końcu pojechali za nim. Tak trafili przed Big Yellow Self Storage, firmę wynajmującą pomieszczenia do przechowywania rzeczy. Dwa miesiące później zauważono, jak Salim razem z innym mężczyzną wynieśli z magazynu Big Yellow 25 pudeł z dokumentami i przetransportowali je do londyńskiego funduszu Eastbridge. Następnego dnia rano odwieźli je z powrotem.

Po kolejnych dwóch miesiącach śledczy, uzbrojeni w sądowy nakaz przeszukania, zajrzeli do skrytki nr E2010. Odnaleźli dokumenty i twarde dyski z danymi. Okazało się, że to prawdziwy skarb – lista ponad 700 połączonych z sobą firm, które wykorzystano do wyprowadzenia pieniędzy z banku BTA. Dodatkowo e-maile znalezione na skrzynce Syryma Szalabajewa wykazały, że nadzorował on przekazywanie zarządzania tą siecią z Eastbridge do zarejestrowanej na Cyprze spółki Euroguard Assets Ltd. Gdy nie chciał się z tego wytłumaczyć przed brytyjskim sądem, został skazany na 18 miesięcy więzienia. Według ustaleń londyńskiego procesu Salim był właścicielem co najmniej dwóch firm wykorzystanych w kazachskiej aferze. Syrym w takiej roli pojawia się zdecydowanie częściej.

Wyrok, który wydał na niego sąd w Londynie, w rozmowie z nami Salim bagatelizuje jako „sprawę administracyjną", którą „można porównać do przekroczenia prędkości w Polsce". Przypomnijmy – został skazany na 22 miesiące więzienia za odmowę udzielenia informacji o sposobie wyprowadzania pieniędzy z banku BTA.

AMBASADOROSTWO W RŚA

Republika Środkowoafrykańska to kraj, z którym niewiele osób chciałoby mieć cokolwiek wspólnego. „Sytuacja bezpieczeństwa w RŚA jest wysoce niestabilna, głównie z powodu aktywności grup rebelianckich oraz braku faktycznej kontroli administracji państwowej nad większością terytorium kraju" – czytamy w oficjalnym komunikacie polskiego MSZ. Obraz jak z sensacyjnych filmów o afrykańskich satrapach i wspierających ich zbrojnych gangach, tyle że w realu. Odpychające.

5/0419/F

eprasa.pl fcafcc1382

Chyba że ktoś chce czmychnąć przed wymiarem sprawiedliwości, wtedy to miejsce idealne. I łatwo można tu dostać – nie za darmo – paszport dyplomatyczny. Tutaj, nieco niespodziewanie, w naszej historii pojawia się... jeden z najlepszych tenisistów w historii – Boris Becker. Niemcowi dużo gorzej niż na korcie szło przy pokerowym stoliku. Spektakularna plajta, długi u wierzycieli w wielu krajach oraz widmo procesów sądowych w Hiszpanii, we Francji, w Szwajcarii i Wielkiej Brytanii spowodowały, że podjął próbę odnalezienia się w dyplomacji. Republika Środkowoafrykańska powierzyła mu (dodając paszport dyplomatyczny) odpowiedzialną funkcję attaché do spraw sportu w Unii Europejskiej.

Z podobnej furtki skorzystali bohaterowie naszej opowieści. Według brytyjskich mediów ich „zatrudnieniem" w środkowoafrykańskim korpusie dyplomatycznym zajęli się Ilia i Madina Chrapunowie. Przypomnijmy, Madina to córka Muchtara Abliazowa. Nazwisko jej teściowej Leili Chrapunow odnaleźliśmy na liście darczyńców Fundacji Otwarty Dialog, miała wpłacić 20 tys. dolarów. Młodzi Chrapunowowie mieli przez placówki dyplomatyczne RŚA w Genewie organizować immunitety dla osób, które za to płaciły. Ciekawe, czy dla rodziny były jakieś zniżki? To zasadne pytanie, bo przecież matka Madiny, Alma Szalabajewa (żona Abliazowa), też mogła się pochwalić paszportem dyplomatycznym RŚA (jego kopię publikujemy obok). Dokument wystawiony jest na fałszywe nazwisko Ayan, jej mąż Muchtar Abliazow figurował wówczas jako Marat Ayan. Warto się zatrzymać na chwilę przy tym wątku.

PIŁKARSKO-PREZYDENCKI BIZNES

Państwo Abliazowowie (vel Ayan) dostali paszporty RŚA, gdy prezydentem był François Bozizé, który jest wujem niezbyt utalentowanego piłkarza Ange Oueifio. Może i jego kariera piłkarska nie potoczyła się tak, jak by sobie wymarzył (zagrał kilka meczów w rezerwach francuskiego PSG i szkockim Motherwellu), ale drygu do biznesu odmówić mu nie można. To jemu jako pośrednikowi w załatwianiu paszportów Ilia Chrapunow miał zapłacić 3 mln dolarów. Według francuskich śledczych część tych pieniędzy miała być przeznaczona na finansowanie zbrojnych grup, które w brutalny sposób zwalczały oponentów prezydenta Bozizé.

Płatności dla Oueifio były nazywane „inwestycjami w Afryce" i pochodziły z kontrolowanych przez Chrapunowa firm z rajów podatkowych. Nie była to chyba zbyt wygórowana cena za możliwość umknięcia wymiarowi sprawiedliwości. Przypomnijmy, że Ilia Chrapunow został uznany za jednego z głównych wspólników Muchtara Abliazowa w procederze prania brudnych pieniędzy, o czym stało się głośno po publikacjach brytyjskich mediów.

Pytamy Salima Szalabajewa, czy zna kogokolwiek z paszportem dyplomatycznym RŚA. Stanowczo zaprzecza.

REKLAMA



Twierdzi, że o paszporcie siostry nic nie wie. – Nigdy jej o to nie pytałem – mówi. Dopiero, gdy zdradzamy, że mamy jego zdjęcia zrobione w Genewie, gdy wsiada do auta na dyplomatycznych numerach afrykańskiego państwa, przypomina sobie, że należy ono do jego siostrzenicy. I to może się zgadzać. Mimo oskarżeń o współudział w defraudacjach Ilia i Madina Chrapunowowie mogli przez lata spokojnie żyć w Szwajcarii i poruszać się tam autem na dyplomatycznych blachach.

FUNDACJA NON GRATA

Latem ubiegłego roku ABW odmówiła Ludmile Kozłowskiej przedłużenia pobytu w Polsce i wpisała ją na listę osób niepożądanych w strefie Schengen. Służby podały, że powodem uznania kobiety za persona non grata są niejasne powiązania finansowe Fundacji Otwarty Dialog. Obszernie pisaliśmy wówczas o tym w tygodniku „Sieci". Z narysowanej przez nas pajęczyny powiązań Kozłowskiej i jej męża Bartosza Kramka wyłonił się obraz fundacji jako firmy lobbingowej do wynajęcia. Najbardziej zażartą batalię Kramek i Kozłowska stoczyli o Muchtara Abliazowa, strasząc, że ze strony reżimu w Astanie grożą mu tortury, a może nawet śmierć.

> Okazuje się, że Kazach mieszka w Polsce, w okazałej willi w Konstancinie-Jeziornie, jednej z najbardziej ekskluzywnych lokalizacji pod Warszawą. Jedziemy pod ustalony adres. Potężna brama strzeże wjazdu do posiadłości

Poszliśmy tropem pieniędzy, z których utrzymywała się fundacja. Śladów tych nie znajdzie się oczywiście w wybiórczo składanych sprawozdaniach finansowych, ale z naszych ustaleń wynika, że ABW miała rację, uznając finansowanie FOD za co najmniej podejrzane.

Wielotysięcznymi kwotami zasilali fundację także osobiście Ludmiła Kozłowska i Bartosz Kramek. Skąd je mieli? Zarabiali w firmie Bartosza Kramka Silk Road (do dziś nie wiadomo, czym się ona zajmuje). Poza wpłatami osobistymi były także przelewy z firmy. Jej powiązania budzą już naprawdę potężne wątpliwości. Na marginesie zwróćmy uwagę na – zapewne przypadkowe – podobieństwo nazw. Silk Road Group – tak nazywa się zarejestrowany w Gruzji holding, do którego wyciekały setki milionów dolarów z kierowanego przez Abliazowa banku BTA.

Spora część pieniędzy trafia do firmy Silk Road – tej kierowanej przez Kramka – poprzez przekazy Western Union, a te trudniej śledzić. Uzyskaliśmy jednak informacje o kilku kolejnych transakcjach. Jako jeden z ważniejszych kontrahentów jawi się podmiot Kariastra Project LP, zarejestrowana w Glasgow (wcześniej w Edynburgu) spółka, która przelała na konto Silk Road 3,2 mln zł (po przeliczeniu na złotówki wpłat w dolarach i euro). To firma krzak, bez strony internetowej, numeru telefonu, nie sposób ustalić, czym się zajmuje. Zarejestrowana jest pod adresem, pod którym figurują setki innych podmiotów.

Miliony złotych płynęły także do Silk Road z innych spółek (np. Stoppard Consulting) z siedzibą co prawda w Szkocji, ale których udziałowcy rejestrowani są już w rajach podatkowych: Seszele, Belize, Panama. Jedna z nich pojawia się w aferze Panama Papers. Podmioty te miały być elementami sieci przedsiębiorstw, za pomocą których z sektora bankowego Mołdawii wyprowadzono co najmniej 1 mld dolarów – to ustalenia amerykańskiej agencji śledczej Kroll. Wynajął ją rząd w Kiszyniowie, aby rozpracować aferę, która zachwiała gospodarką państwa i postawiła je na krawędzi bankructwa. Dlatego parlament Mołdawii powołał komisję śledczą, która dokonała nokautujących dla Kozłowskiej i Kramka ustaleń.

ŚWIAT TO WIDZI

Tekst na ten temat opublikował tygodnik „Sunday Times". „Dowody zebrane przez mołdawski parlament sugerują, że około 1,5 mln funtów zostało wypranych na kontach firm zarejestrowanych w Glasgow i Edynburgu i trafiło na rachunek bankowy Fundacji Otwarty Dialog" – czytamy w tekście brytyjskich dziennikarzy.

Ich ustalenia pokrywają się w pełni z tym, co ujawniliśmy w „Sieci". Według mołdawskich posłów dwie szkockie firmy – Kariastra Project LP i Stoppard Consulting – miały zaksięgować na swoich kontach ponad 26 mln funtów pochodzących z budzących wątpliwości źródeł, a część tej kwoty mogła docelowo trafić do Fundacji Otwarty Dialog. Miała to być zapłata za wspieranie Wiaczesława Płatona, jednego z najbogatszych ludzi w Mołdawii, który odbywa karę więzienia za wyprowadzenie wspomnianego miliarda dolarów z krajowego systemu bankowego, oraz Muchtara Abliazowa. „Fundacja od początku była orędownikiem oligarchy i nie szczędziła czasu, pieniędzy ani wysiłku na rzecz lobbingu w przestrzeni publicznej, a także przed instytucjami europejskimi, w celu rozpowszechnienia mitu, że Abliazow nie jest przestępcą, oszustem i złodziejem, który ukradł miliardy, ale dysydentem prześladowanym przez przywódców Ukrainy, Kazachstanu i Rosji, którzy wydali międzynarodowe nakazy aresztowania" – czytamy w mołdawskim raporcie, na który powołuje się „Sunday Times".

Na nieprawidłowości zwracał uwagę także francuski europoseł Nicolas Bay. Przemawiając w styczniu w Parlamencie Europejskim, wprost nazwał Abliazowa założycielem Fundacji Otwarty Dialog i wezwał specjalną parlamentarną komisję ds. przestępstw finansowych, uchylania się od płacenia podatków i unikania opodatkowania (TAX3) do wszczęcia dochodzenia w sprawie działalności tej organizacji.

W tym kontekście pytanie o przyczyny zaangażowania duetu Kramek–Kozłowska i ich sponsorów w walkę z obecnym polskim rządem brzmi jeszcze ciekawiej.

eprasa.pl fcafcc1382

Czas zejść na ziemię

Dobre stosunki polsko-izraelskie są i zawsze były fikcją. Dzielą nas historia i teraźniejszość. Jeśli można sobie czegoś życzyć, to jedynie tego, aby zimną wojnę między nami zastąpił zimny pokój. To jedyne, o co jesteśmy w stanie zawalczyć. Bo dotychczasowe mrzonki o sojuszu i współpracy należy włożyć między bajki



KONRAD KOŁODZIEJSKI



eprasa.pl fcafcc1382

Niedawna napaść na ambasadora Marka Magierowskiego pokazuje, że poziom złych emocji w stosunku do Polski zaczyna dziś osiągać w Izraelu niepokojące rozmiary. I nie jest bynajmniej tak, że mamy do czynienia ze zjawiskiem nowym lub całkiem spontanicznym. Niechęć do Polski – przechodząca niekiedy w nienawiść lub w pogardę – jest przynajmniej od półwiecza stałym elementem izraelskiej polityki tożsamościowej. W tle jest oczywiście Holokaust i próba przypisywania Polsce współodpowiedzialności za zagładę Żydów. Ta niechęć nie znika z biegiem czasu, przeciwnie – ona narasta, świadomie podtrzymywana w kolejnych pokoleniach przez programy szkolne oraz słynne wycieczki do Auschwitz i innych obozów Zagłady.

BŁĄD W OCENIE

Do tej pory przez wiele lat udawano – zresztą po obu stronach – że wszystko zmierza ku lepszemu, zacieśniała się współpraca polityczna i wojskowa, z której – powiedzmy to wreszcie wprost – korzyści miał głównie Izrael. Polskie rządy unikały jakichkolwiek zatargów w obawie przed wpływową żydowską diasporą – zwłaszcza amerykańską – wszak sojusz ze Stanami Zjednoczonymi jest gwarancją naszego bezpieczeństwa.

Były też inne powody. Rządzące od 2015 r. PiS było w pewnym momencie gotowe uwierzyć w jakiś rodzaj ideowej wspólnoty łączącej prawicowe rządy u nas i w Izraelu. Izrael to państwo narodowe, wręcz nacjonalistyczne, co wzbudzało i wzbudza wrogość liberalnej lewicy. Oba państwa są blisko związane ze Stanami Zjednoczonymi, a ich obecne rządy utrzymują ciepłe relacje ze znienawidzoną przez lewicę ekipą Donalda Trumpa.

Jednak to, co u nas niekiedy uznawano za rodzaj wspólnoty, nie było tak postrzegane w Izraelu. Netanjahu – skądinąd bardzo cyniczny polityk – był gotów kokietować Polskę wówczas, gdy mu się to politycznie opłacało, np. podczas ważnych dla Izraela głosowań w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, albo wtedy, gdy akurat wdał się w jakiś zatarg z Unią Europejską. W innych sytuacjach potrafił uderzyć bez żadnych skrupułów, np. po tegorocznym Szczycie Bliskowschodnim w Warszawie, gdy użył antypolskiej karty w rozgrywce przedwyborczej, a jego minister spraw zagranicznych Israel Katz – w podziękowaniu za warszawski szczyt – przytoczył haniebne słowa Icchaka Szamira o Polakach, którzy „wyssali antysemityzm z mlekiem matki".

Nasze wzajemne relacje opierały się przez lata na głębokim nieporozumieniu. Polskie rządy – nie tylko prawicowe – uważały, że wspierając Izrael, zasypujemy wykopane w przeszłości rowy, z kolei Izrael interpretował polską gotowość do współpracy jako dowód na nieczyste sumienie Polaków, którzy przymilną kurtuazją chcą uzyskać dyspensę z odpowiedzialności za rzeczywiste i urojone grzechy z przeszłości. Dopiero szok, jakim była polska ustawa antydyfamacyjna, uzmysłowił obu stronom błąd w ocenie sytuacji. Warszawa dość naiwnie sądziła, że zmagający się z przejawami wrogości i antysemityzmu Izrael właściwie zrozumie nasze intencje, tymczasem Izrael nie tylko ich nie zrozumiał, lecz uznał ustawę za przejaw wyjątkowej bezczelności ze strony polskich władz, które – korzystając z ocieplenia wzajemnych relacji – postanowiły się chytrze pozbyć konsekwencji swoich „oczywistych win".

PODGRZEWANIE EMOCJI

Głównym problemem w stosunkach polsko-izraelskich jest ich nierównoprawność. Wynika ona nie tylko z przewagi, jaką daje Izraelowi istnienie silnej i wpływowej diaspory żydowskiej, lecz również z głębokiego przekonania, podzielanego dość powszechnie zarówno w Izraelu, jak i w diasporze, że Polacy są współwinni Holokaustu. Dlatego cokolwiek złego dzieje się w naszych relacjach, zawsze okazuje się, że na końcu winna jest Polska. Doskonale ilustruje to myślenie artykuł, jaki ukazał się na łamach „The Jerusalem Post" wkrótce po napaści na Marka Magierowskiego. Jak pisze gazeta, atak ten „był odosobnionym incydentem. Niestety, to, co dzieje się w Polsce, nie jest jedynie incydentem. Polski rząd systematycznie wybiela historię. Mimo że jest prawdą, iż Polacy jako naród czy też Polacy jako ludzie nie współpracowali z nazistami, niektórzy Polacy dopuścili się kolaboracji. Było to motywowane antysemityzmem, który niestety do dziś istnieje w wielu częściach kraju [...]. Jest faktem, że trzy miliony polskich Żydów zginęły w Holokauście, a Warszawa wciąż stara się to, co się wydarzyło, napisać od nowa. Jest to obraza nie tylko dla pamięci o ofiarach, lecz też dla tych, którzy przeżyli, szczególnie dla tych z Polski".

Należy oczywiście docenić fakt przyznania, że nie wszyscy Polacy „kolaborowali z nazizmem". To zapewne jeden z niedocenianych rezultatów sporu wokół ustawy antydyfamacyjnej, która – poza rozpaleniem emocji do białości – doprowadziła jednak do uznania przez rząd izraelski podstawowego faktu, iż Polska jako państwo nie ponosi żadnej odpowiedzialności za Holokaust, a Polacy nie byli narodem kolaborantów.

Jednak całość przytoczonej argumentacji sprowadza się do mało wyszukanego sloganu: „A w Ameryce to biją Murzynów". Przy czym, żeby być precyzyjnym, w Polsce nikt Żydów nie bije, czego dowodzą wszystkie statystyki na temat aktów antysemityzmu w Europie. Nie można tego samego powiedzieć o wielu innych krajach europejskich, którym Izrael oszczędza tak ciężkich zarzutów. I nie zmienia tego okoliczność, że wiele z napaści o podłożu antysemickim jest w Europie dziełem muzułmańskich imigrantów. Można być niemal pewnym, że gdyby w Polsce istniała aktywna antysemicko mniejszość muzułmańska, wszystko i tak poszłoby na rachunek „polskich antysemitów". Czy komuś trzeba jeszcze tłumaczyć dlaczego?

Nic więc dziwnego, że gazeta staje – choć nie wprost – po stronie sprawcy napaści na ambasadora Magierowskiego. Może – jak sugeruje – napastnik rzeczywiście posunął się za daleko, Żydzi się wszak tak nie zachowują, ale należy zrozumieć, że poniosły go uzasadnione emocje.

Pytanie tylko, czemu ów napastnik był aż tak rozemocjonowany. Jeśli kogoś ponoszą emocje, to należałoby go raczej uspokajać, szukać lekarstwa. Jednak w Izraelu nikt lekarstwa nie szuka, stopień werbalnej agresji przeciwko Polsce nie tylko nie spada, lecz rośnie podgrzewany łatwymi do zweryfikowania kłamstwami w rodzaju bezczelnej opowieści

eprasa.pl fcafcc1382

lidera izraelskiej opozycji Yaira Lapida o jego rzekomo zamordowanej przez Polaków babce (obie jego babki przeżyły wojnę: jedna na Węgrzech, a druga w Palestynie).

To prawda, byli w Polsce szmalcownicy, łajdacy mordujący Żydów. Prawdą jest też stwierdzenie, że większość Żydów zginęła w Polsce, ale pomiędzy stwierdzeniem tego oczywistego i przez nikogo niekwestionowanego faktu a sugestią, że ginęli oni masowo z rąk Polaków jest przepaść.

Trudno jest budować normalne relacje z kimkolwiek na złych emocjach. A już jest to zupełnie niemożliwe, jeśli te emocje są ciągle podgrzewane. Polska nie chce wybielać przeszłości, ale nie chce dopuścić, aby o tym, jak czytać naszą historię, decydowali ludzie pełni złych emocji.

Czy w Polsce istnieje antysemityzm? Owszem, istnieje, choć na znacznie mniejszą skalę, niż się uważa w Izraelu. I z pewnością ma mniejszy rezonans społeczny niż antypolonizm w Izraelu. U nas – dzięki Bogu – nie doszło do napaści na ambasadora Izraela.

ZAZDROŚNI O AMERYKĘ

Jednak nie tylko historia dzieli Polskę i Izrael. Również nasze całkiem współczesne cele wydają się rozbieżne. Czy Polska ma jakieś strategiczne interesy na Bliskim Wschodzie? Żadnych. Nie ma więc powodu, aby wspierać Izrael. Oczywiście Polska robi to z uwagi na relacje ze Stanami Zjednoczonymi, ale nie istnieje żaden trójkąt Waszyngton–Warszawa–Jerozolima.

Izrael jest zainteresowany jak największą aktywnością Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie. Dla Izraela – tak jak dla Polski – obecność Ameryki jest najlepszą gwarancją bezpieczeństwa. Nie jesteśmy tu jednak żadnymi sojusznikami, przeciwnie rywalizujemy z sobą o zainteresowanie Waszyngtonu. Bo jeśli Ameryka zbyt mocno zaangażuje się na Bliskim Wschodzie, to z mniejszym natężeniem będzie spoglądać na Europę. W tym także na Polskę. I na odwrót – jeśli Amerykanie będą skupieni na Europie, to ich uwaga nie będzie w całości skoncentrowana na Bliskim Wschodzie.

Nic więc dziwnego, że Izrael nie protestuje przeciwko rosyjskiej obecności w Syrii. Owszem, dochodzi do napięć z Moskwą, ale zaraz potem izraelscy politycy i generałowie potulnie pędzą z przeprosinami na Kreml. Czasem Władimir Putin ich przyjmie, a czasem zlekceważy. I nikogo w Izraelu takie zachowanie Putina nie oburza. Bo Rosjanie działają na Amerykanów jak magnes. Gwarantują, że Waszyngton nie ograniczy swojego zainteresowania regionem. Niewykluczone zresztą, że dokładnie o to samo chodzi Moskwie. W czasie gdy Biały Dom będzie toczył wojny z Syrią i Iranem, Rosja będzie miała łatwiejszą drogę w Europie. Gdzie więc tutaj jakakolwiek zbieżność interesów Polski i Izraela?

Oczywiście Izrael ma prawo do twardej obrony własnego bezpieczeństwa i nie musi się na nikogo oglądać, w tym także na Polskę. My jesteśmy w nieco innej sytuacji, nie możemy całkiem zlekceważyć Izraela, bo odbije się to na naszych relacjach z Ameryką, ale przecież nikt nie każe nam wykazywać się gorliwością.

MAŁPA W KLATCE

Czasem bywa tak, że historia i współczesność nieoczekiwanie się z sobą łączą – tak jak to się dzieje w przypadku nieszczęsnej amerykańskiej ustawy 447 o tzw. mieniu bezspadkowym. Ustawa ta, która narobiła już sporo fermentu, jest wymarzonym prezentem dla Moskwy, dla której kwestią fundamentalną jest pozbycie się Amerykanów z naszej części Europy i przekształcenie Polski wraz z jej sąsiadami w szarą strefę bezpieczeństwa. Próba egzekucji tzw. mienia bezspadkowego w Polsce musi się bowiem – prędzej czy później – skończyć spektakularną katastrofą w relacjach z Waszyngtonem.

> Izrael nie traktuje Polski w kategoriach równoprawnego partnera. Jesteśmy krajem, którym się gra. A to na arenie międzynarodowej, a to w wewnętrznych grach politycznych

Przez długi czas Izrael – przynajmniej oficjalnie – milczał w tej sprawie. Jednak nie tak dawno temu Jerozolima postanowiła się przyłączyć do nacisków na Polskę, podmieniając skład delegacji izraelskiej, która miała przybyć z rutynową wizytą do Polski, i dołączając do niej osoby zaangażowane w kwestie rozliczeń.

Zachowanie strony izraelskiej można uznać za przejaw nonszalancji, która jest niedopuszczalna w stosunkach między państwami, zwłaszcza jeżeli są one dość napięte. To kolejny dowód na to, że Izrael nie traktuje Polski w kategoriach równoprawnego partnera. Jesteśmy krajem, którym się gra. A to na arenie międzynarodowej, a to w wewnętrznych grach politycznych. Taką małpą w klatce, której daje się banana, aby była spokojna, albo w którą się bije, gdy trzeba, aby zawrzeszczała.

Wychodzenie znienacka przez Izrael z ustawą 447 było uderzeniem w klatkę. Czemu mieliśmy zawrzeszczeć? Niektórzy twierdzą, że – jak zwykle – chodziło o wewnętrzne gry polityczne w Jerozolimie. Być może. Ale być może chodziło również o to, aby zaostrzyć relacje polsko-amerykańskie. Po co? Aby zwiększyć nacisk na Polskę. Nie twierdzę, że ta akcja była w jakiś sposób konsultowana z Moskwą, nie wierzę bowiem w ścisłą współpracę obu państw, ale sądzę, że wybuch konfliktu wokół ustawy 447 bardzo spodobałby się Putinowi. I wszystkim innym przeciwnikom Polski.

Dobre stosunki polsko-izraelskie są i zawsze były fikcją. Dzielą nas historia i teraźniejszość. Jeśli można sobie czegoś życzyć, to jedynie tego, aby zimną wojnę między nami zastąpił zimny pokój. To jedyne, o co jesteśmy w stanie zawalczyć. Bo dotychczasowe mrzonki o sojuszu i współpracy należy włożyć między bajki.

eprasa.pl fcafcc1382

Jesteśmy rockandrollowcami polskiej polityki

– Gdy patrzę czasem na pobudzenie niektórych parlamentarzystów, to aż prosiłoby się o zastosowanie metod dotyczących kryminologicznych aspektów narkomanii... – mówi ***Łukasz Rzepecki*** (Kukiz '15), najmłodszy poseł w parlamencie, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Rzeczywiście czuć na posiedzeniach Sejmu odór wódki, jak mówi Paweł Kukiz?

Łukasz Rzepecki: Mogę tylko powiedzieć, że niektórym parlamentarzystom wyraźnie nie służą te nocne posiedzenia... [śmiech].

Kto jak kto, ale najmłodszy poseł w Sejmie, w dodatku student, to się na takich sprawach powinien znać.

O przepraszam, panie redaktorze, od miesiąca już nie student. Dokładnie pod koniec kwietnia obroniłem pracę magisterską i jestem magistrem prawa.

Jaki tytuł miała pańska praca magisterska?

Kryminologiczne aspekty narkomanii....



Niech mi pan pozwoli się wyśmiać. Jeszcze lepiej niż z tym odorem. Wiedza z magisterium przydaje się w Sejmie?

Gdy patrzę czasem na pobudzenie niektórych parlamentarzystów, to aż prosiłoby się o zastosowanie metod, o których pisałem w mojej pracy. Wierzę, że to sprawa gorącego charakteru albo zbyt wielu napojów energetycznych... Ale na poważnie – pewien schemat działania, logikę reakcji można porównać. Mam też nadzieję, a w zasadzie pewność, że prawo przyda mi się w życiu.

Wracając do tematu pana pracy. Co jest fascynującego w tej kryminologii, i to w połączeniu z narkotykami?

Kryminologia zajmuje się sprawcą przestępstwa, przyczynami czynu, którego się dopuścił, a także w jakich warunkach tego dokonał. Niestety, zjawisko narkomanii stanowi jeden z najważniejszych problemów społecznych w dzisiejszych czasach, zwłaszcza wśród młodych ludzi. Chciałem się przyjrzeć zasadności kryminalizacji i posiadania narkotyków w problematyce prawnokarnej.

Nie chciał pan być jak Monk albo Colombo?

Do tej pory takiego zacięcia śledczego w sobie nie odkryłem, ale kto wie, co człowiek będzie robił w przyszłości [śmiech].

Ile ma pan lat?

Skończone 26.

Gdy zaczynał pan pracę jako poseł, miał pan lat 22, może 23. Sejm może przytłoczyć?

Tak, zwłaszcza posłów, którzy po raz pierwszy zasiadają w Sejmie, a tym bardziej na początku kadencji. Potem człowiek się oswaja, przyzwyczaja do widoku wielu kamer i specyfiki życia parlamentarnego. Pokus było i jest dużo, zwłaszcza jeśli się mieszka w hotelu sejmowym i w każdej chwili można skrzyknąć kolegów posłów na imprezę.

To w Sejmie są balangi?

Nie od wczoraj jest pan dziennikarzem, w Sejmie bywa pan regularnie, więc zapewne i pan o niejednej impre-

eprasa.pl fcafcc1382



Większym problemem niż alkohol czy imprezy są happeningi coraz częściej widoczne na sejmowej sali plenarnej, które zastępują merytoryczną dyskusję

Fot. Andrzej Wiktor (x3)

zie sejmowej słyszał. Starsi koledzy parlamentarzyści nie raz opowiadali. Zresztą media też regularnie je opisywały.

Nazwiska? Zdjęcia? Relacje?

No co pan... Powiem tylko tyle, że relacje towarzyskie w kuluarach idą często w poprzek podziałom partyjnym czy ideowym, jakie znamy na co dzień z mediów.

Czyli co? W studiach telewizyjnych i na sali plenarnej teatr i ściema na potrzeby wyborcze?

Trochę tak jest, ale nie oszukujmy się – wszyscy jesteśmy ludźmi, każdy z każdym się zna, rozmawia, czasem się zakoleguje. To normalne, nie ma się co oburzać. Większym problemem niż alkohol czy imprezy są happeningi coraz częściej widoczne na sali plenarnej, które zastępują merytoryczną dyskusję. Ale w życiu politycznym coraz bardziej liczą się obrazki.

Happeningi?

Myślę, że czytelnicy „Sieci" regularnie to dostrzegają. Weźmy przykład z ostatnich dni, gdy Sławomir Nitras próbował wrzucić dziecięce buciki na pulpit Jarosława Kaczyńskiego. Do tego regularne przekrzykiwania się, naprawdę czasem niewiele brakuje, by granica została przekroczona i doszło do bijatyki, jakie znamy z parlamentów zza naszej wschodniej granicy.

Wyczuwam rozczarowanie. Nie ma pan poczucia zmarnowania tych kilku lat życia, w dodatku życia przed trzydziestką? Może po prostu nie było warto?

Warto. Choćby dla takich momentów jak ten, gdy udało mi się zablokować projekt ustawy podwyższającej ceny paliw. Co prawda skończyło się to wyrzuceniem z PiS, ale dla mnie ważniejsze było dotrzymanie słowa danego wyborcom. Może to naiwne, ale po prostu mam głębokie przekonanie, że w polityce musimy mówić to samo zarówno w kampanii, jak i wtedy, gdy jest się przy władzy.

Tak czy siak wyleciał pan z PiS, ale szybko odnalazł się pan u Pawła Kukiza.

Najważniejsze dla mnie było to, że w klubie Kukiz '15 nadal mogę być wierny swoim wyborcom, temu, co im deklarowałem w kampanii. Poglądów nie zmieniłem. Za to, że byłem wierny obietnicom złożonym moim wyborcom, zostałem wyrzucony.

Jak współpracuje się z Pawłem Kukizem? Po Sejmie krążą wręcz legendy, jeśli chodzi o spotkania waszego klubu.

Sporo w nich przesady. Kukiz '15 to przede wszystkim Paweł Kukiz: jego charyzma, zaangażowanie. W naszym klubie o wielu sprawach dyskutujemy, każdy ma prawo wyrazić swoje zdanie, nawet jeśli jest inne niż zdanie Pawła Kukiza.

eprasa.pl fcafcc1382



Mógłbym odpowiedzieć, że jest sporo luzu na posiedzeniach naszego klubu.

Na czym polega ten luz?

Paweł często opowiada anegdoty czy historie z jego życia, doświadczenia muzycznego, rockandrollowego, co pozwala spojrzeć na sprawy polityczne z innej perspektywy.

Jesteście rockandrollowcami polskiej polityki?

Tak. W dobrym tego słowa znaczeniu [śmiech]. Nigdy nie sprzeniewierzyliśmy się własnym ideałom, gramy czasem ostro...

Gorzej, że wasze polityczne koncerty przestają się cieszyć popularnością.

Nie odbieram tego w ten sposób. W 2015 r. Paweł Kukiz zebrał 20 proc. w wyborach prezydenckich, w wyborach parlamentarnych wynik był bardzo dobry.

Ale dziś macie 4–5 proc.

W trudnych dla nas wyborach samorządowych daliśmy sobie radę, i to mimo tego że nie pobieramy subwencji ani dotacji partyjnych jak inne ugrupowania. Nie wprowadziliśmy co prawda radnych do sejmików, ale mamy ciekawe osoby w radach gmin, w radach miast, u mnie w okręgu wyborczym mamy wójta.

O tym mówię – miał być rock and roll i reset w polskiej polityce, a macie wójta. Pogratulować.

Niech się pan nie wyzłośliwia, mówiłem o swoim okręgu wyborczym. W innych okręgach mamy burmistrzów, prezydentów jak w Przemyślu. Od czegoś trzeba zacząć. PiS czy Platforma są na scenie politycznej od 20 lat, my od pięciu, co roku dostają miliony z budżetu państwa. Nie od razu Kraków zbudowano.

Zostawmy to. Przepraszam za ton, ale czy dwudziestokilkulatek ma w ogóle szansę zapoznać się z materią, nad którą głosuje?

W klubie poselskim zazwyczaj dzień przed posiedzeniem Sejmu każdy poseł sprawozdawca mówi nam, czego dotyczy projekt, więc nie jest tak, że nie wiemy, nad czym głosujemy. Choć przyznaję, że zdarzają się sytuacje – i to niestety coraz częściej – gdy projekty wrzucane są na chybcika i wtedy jest trudniej.

Trudniej nadążyć?

Tak, nie ma co kryć. Najgorzej jest z poprawkami budżetowymi. Czasem musimy zdać się na wiarę w posła, który forsuje poprawkę, licząc, że nie będzie afery.

Kiepsko to brzmi, w końcu to duże publiczne pieniądze.

Ale ściemniał panu nie będę.

Dla pana te ostatnie lata to ciekawy czas: debiut w Sejmie, praca magisterska, ślub. Przydał się panu do czegoś parlament?

Mimo tych wszystkich obrazków z pasztetem i piosenkami podczas „puczu", mimo happeningów na sali sejmowej powiem trochę pompatycznie: te ostatnie lata naprawdę mocno mnie ukształtowały.

Myślałem, że powie pan, że w tym cyrku trudno wytrzymać.

Te cztery lata to dla mnie duży bagaż doświadczeń, ale i pokazanie, że nie tylko Sejmem czy polityką człowiek żyje.

Poleciłby pan tę pracę innym młodym?

Zdecydowanie tak. Nasza polityka jak kania dżdżu potrzebuje nowych twarzy, innego spojrzenia, młodszej perspektywy. Na scenie mamy polityków, którzy od 30 lat – albo i dłużej – nadają ton naszej debacie politycznej i myślę, że wystarczy.

Nawet jeśli pan kogoś przekonał, to przecież żeby 22-latek trafił do Sejmu trzeba niemal cudu.

Rzeczywiście miałem trochę szczęścia, wcześniej byłem radnym mojego rodzinnego Ozorkowa, następnie przez rok radnym w Łodzi, a później dzięki 9,3 tys. wyborcom udało się zdobyć mandat posła. Nie udałoby się to oczywiście bez pomocy ludzi mi przychylnych, jak Marcin Mastalerek, Krzysztof Łapiński czy Błażej Spychalski, ale naprawdę da się to zrobić.

I co dalej? Spodobało się panu na Wiejskiej na tyle, że chce tu zostać?

To nie kwestia podobania się lub nie, ale pracy dla kraju. Liczę, że wyborcy zaufają zarówno mi, jak i ruchowi Kukiz'15 i jesienią będę miał szansę na kontynuację tej pracy, bogatszy o doświadczenia z tych lat, o błędy, które pewnie popełniłem, ale i o lekcje, jakie wyniosłem.

A jeśli się nie uda?

Prawo skończone, radę sobie dam, politykiem się bywa, a człowiekiem się jest.

eprasa.pl fcafcc1382

Pokonać szkolną przemoc

Bullying to powtarzalna forma przemocy, która ma na celu wymuszenie podporządkowania się za pomocą zawstydzania. Z tą częstą formą szkolnej przemocy całkiem nieźle poradzili sobie Finowie dzięki opracowaniu specjalnej metody zwanej KiVa. Program zaadaptowało do swoich potrzeb kilka europejskich krajów. Warto, by zrobiła to również Polska



DOROTA ŁOSIEWICZ

„Znęca się nade mną kilku kolegów z klasy. Wyzywają mnie, rzucają we mnie różnymi przedmiotami, niszczą moje rzeczy i wszystko to nagrywają i wrzucają do sieci. Długo to ignorowałem, myślałem, że w końcu się ode mnie odczepią... Doszło do tego, że boję się iść do szkoły czy włączyć Facebooka. Wczoraj z nerwów wymiotowałem" – to relacja 16-letniego chłopca, pochodząca z Telefonu Zaufania dla Dzieci i Młodzieży (116 111), opublikowana w raporcie „Dzieci się liczą 2017" Fundacji „Dajemy Dzieciom Siłę". „Dłużej tego nie wytrzymam. W tym roku zaczęłam chodzić do nowej

Fot. Shutterstock



szkoły w dużym mieście. Codziennie dojeżdżam godzinę, ale zależy mi na dobrej szkole, żeby dostać się na studia. Problem w tym, że dziewczyny w mojej klasie są z bogatych domów. Na każdym kroku pokazują mi, że jestem od nich gorsza. Potrafią powiedzieć do mnie: »Co tam na wsi, wieśniaro?«. Ostatnio jedna powiedziała, że zapomniałam się przebrać po dojeniu krów. Chłopaki z klasy się z tego śmieją. Czuję się, jakby ktoś każdego dnia odbierał mi godność. Wychowawczyni czasem zwróci im uwagę, ale one sobie nic z tego nie robią" – to mail 15-latki opublikowany w tym samym raporcie.

To właśnie przejawy bullyingu. Definicję tej formy przemocy znajdziemy np. we wspomnianej publikacji „Dzieci się liczą 2017". Dochodzi do niej wtedy, gdy działanie ma na celu wyrządzenie przykrości lub krzywdy (intencjonalność), ma charakter systematyczny (powtarzalność), a ofiara jest słabsza od sprawcy bądź grupy sprawców (nierównowaga sił). Termin bullying bywa tłumaczony jako agresja w szkole, agresja rówieśnicza, przemoc w szkole, przemoc rówieśnicza, co nadaje mu bardzo szerokie znaczenie. W polskich badaniach określa się go również jako znęcanie się, dręczenie, nękanie, gnębienie czy prześladowanie. Instytut Badań Edukacyjnych wyróżnia: przemoc werbalną (np. przezywanie, dogadywanie, ośmieszanie), relacyjną (np. wykluczenie z grupy, ignorowanie, nastawianie innych przeciwko osobie), fizyczną (np. pobicie, kopanie, popychania, szarpanie), materialną (np. kradzież, niszczenie przedmiotów) oraz elektroniczną (złośliwe esemesy, e-maile, wpisy w serwisie społecznościowym, umieszczanie w internecie zdjęć lub filmów ośmieszających ofiarę).

– Niestety problem znęcania się jest obecny w szkole. Bardzo trudno wytropić agresora i ofiarę, gdyż dzieciaki nie chcą o tym mówić. Dziecko, które jest ofiarą, boi się, że konflikt będzie jeszcze bardziej zaostrzony, że grupa rówieśnicza go odrzuci. Przyczyn jest bardzo wiele. Brakuje też wsparcia ze strony rodziców. Usłyszałam kiedyś od ucznia, że ojciec określił go „niedorobem", bo nie potrafi poradzić sobie z kolegą. Często do agresji, znęcania się dochodzi poza murami szkoły, w drodze do szkoły, na placu zabaw i przede wszystkim w internecie. W szkole prowadzone są warsztaty, mówimy o tym podczas godziny wychowawczej. Jednak dzieciaki są świetne w teorii, ale później ciężko im zastosować się do tego, co usłyszały – mówi Agnieszka Olszacka, nauczycielka języka polskiego w jednej z warszawskich podstawówek.

> Metodę KiVa zastosowano w większości fińskich placówek oświatowych. Już w pierwszym roku jej stosowania zjawisko szkolnego bullyingu zostało zredukowane o 41 proc. W kolejnych latach szkolna przemoc zmalała o 80 proc.

BEZBRONNE OFIARY

Podczas badania prowadzonego przez Instytut Badań Edukacyjnych w 2015 r. wśród uczniów szkół podstawowych (IV–VI klasa), gimnazjalnych oraz ponadgimnazjalnych większość młodych ludzi przyznała, że w ostatnim czasie padła ofiarą agresywnych zachowań ze strony rówieśników i częściej była to agresja relacyjna i werbalna niż fizyczna. W okresie czterech tygodni poprzedzających badanie co dziesiąta osoba doświadczyła bullyingu.

– 5 proc. dzieci regularnie doświadcza przemocy w grupie rówieśniczej – mówiła podczas konferencji „Zdrowie psychiczne nastolatków" w Płocku prof. Barbara Remberk, ordynator Oddziału dla Dzieci i Młodzieży w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, konsultant krajowy w dziedzinie psychiatrii dzieci i młodzieży. – Także 5 proc. dzieci dokonuje samookaleczenia, nie radząc sobie z emocjami. Szczyt zachowań autoagresywnych występuje w wieku dojrzewania – nie ma wątpliwości prof. Remberk.

Według danych pochodzących z międzynarodowych badań Health Behaviour in School Aged Children, cytowanych także w opracowaniu „Dzieci się liczą 2017", prawie co trzeci uczeń w wieku 11–15 lat (30,3 proc.) co najmniej raz w ostatnich dwóch miesiącach poprzedzających badania padł ofiarą bullyingu. Do bycia sprawcami przemocy przyznało się 31,3 proc. badanych, a 13,6 proc. osób było w badanym okresie zarówno ofiarami, jak i dręczycielami. 12 proc. uczniów przyznało, że padło ofiarą przemocy co najmniej 2–3 razy w miesiącu. Częściej byli to chłopcy niż dziewczyny. Widoczny jest spadek rozpowszechnienia bullyingu wraz z wiekiem uczniów. Problem bullyingu dotyka częściej 11-latków niż 15-latków. Uczniowie nieco rzadziej przyznawali się do bycia sprawcami bullyingu (9,6 proc.). Ponownie częściej byli to chłopcy (13,4 proc.) niż dziewczyny (6 proc.) oraz starsi uczniowie (11 proc.) niż młodsi (7,3 proc.). Raport porównawczy z międzynarodowych badań HBSC z 2016 r. wskazuje na duże zróżnicowanie odsetka ofiar bullyingu w 42 badanych państwach. Biorąc pod uwagę doświadczenia 13-latków, Polska zajmuje w tym rankingu 16. miejsce. Problem bullyingu dotknął 14,9 proc. 13-letnich chłopców i 10,2 proc. 13-letnich dziewczyn przynajmniej 2–3 razy w miesiącu. Jest to lepsza sytuacja niż w krajach bałtyckich, lecz nieco gorsza niż na Węgrzech czy w Czechach.

– W Polsce nie ma niestety jednej ścieżki czy procedury reagowania w przypadku przemocy. W Finlandii działa ogólnokrajowy program KiVa. W jego ramach dzieci i nauczyciele uczeni są reagowania na przemoc. Uczeni są myślenia, że nie ma zgody na przemoc – mówi prof. Remberk. – W ramach programu nauczyciel dyżurny nosi odblaskową kamizelkę, jest wyraźnie widoczny, łatwo do niego podejść, a jednocześnie on wie, jak się zachować w sytuacjach, w których pojawia się przemoc. A agresja szkolna ma różne oblicza, wymaga więc różnych

eprasa.pl fcafcc1382

reakcji. Niekiedy wystarczy rozmowa i zwrócenie uwagi. Czasem potrzebna jest bardziej indywidualna opieka nad agresorem lub ofiarą. Szkoła współpracuje z rodzicami, jeśli pojawiają się kłopoty z dzieckiem. W Polsce nie ma jednej ścieżki. Od razu mamy działania dużego kalibru, czyli zawiadomienie sądu rodzinnego czy policji. Czasem to bywa konieczne, ale jest masa narzędzi mniejszego kalibru, po które można byłoby sięgnąć na wcześniejszym etapie – wyjaśnia prof. Remberk.

FIŃSKA ŚCIEŻKA

Kilka lat temu w Finlandii eksperci zdiagnozowali, że w niektórych szkołach problem bullyingu dotyczy aż 70 proc. uczniów. W związku z tym poproszono środowisko edukacyjne o uznanie tego faktu. Jednocześnie poproszono o podjęcie kroków, które miałyby ten stan uporządkować i ugasić go w zarodku. Resort edukacji, przy współpracy z ekspertami, opracował więc kompleksowy program zwalczania bullyingu. „Ze względu na utworzenie programu KiVa Finlandia stanowi przykład dla całego świata. Podjęte w tej sprawie działania wraz z wprowadzaniem programu w życie przynoszą obiecujące rezultaty. Ten skandynawski kraj podjął się wyzwania, by całkowicie wyeliminować problem powszechnego bullyingu. W ostatnich latach problem zmalał aż o 90 proc." – informuje portal pieknoumyslu.com.

„Program KiVa okazał się sukcesem w skali światowej, głównie dlatego, że skoncentrowany jest wyłącznie na bullyingu. Były wcześniej programy, które miały prowadzić do zwalczania przemocy w szkole, ale okazały się one zbyt szerokie" – mówi Ursula Perona, znana hiszpańska psycholog kliniczna, która metodzie KiVa poświęciła jedno z nagrań na swoim kanale na YouTubie.

Termin KiVa ukuto z połączenia początków dwóch słów, które z finlandzkiego znaczą „szkolne zastraszanie". Metodę KiVa zastosowano w większości placówek oświatowych, a na rezultaty nie trzeba było długo czekać. „Już w fazie próbnej program przyniósł zaskakująco dobre rezultaty. W pierwszym roku jego stosowania zjawisko szkolnego bullyingu zostało zredukowane o 41 proc. W kolejnych latach szkolna przemoc zmalała o 80 proc. Mniejszy stres spowodował polepszenie warunków szkolnych i lepsze wyniki uczniów. Wyniki te sprawiły, że programem zaczęły się interesować również inne kraje" – informuje portal pieknoumyslu.com

> W badaniach widoczny jest spadek rozpowszechnienia bullyingu wraz z wiekiem uczniów. Problem bullyingu dotyka częściej 11-latków niż 15-latków. Częściej ofiarami przemocy są chłopcy niż dziewczęta

NIE BĄDŹ OBOJĘTNY

„Sukces metody KiVa bierze się stąd, że nie skupiono się jedynie na relacji między zastraszającym i ofiarą, a na kręgu obserwatorów będących świadkami zdarzenia – tłumaczy Ursula Perona. – Przez uśmiech czy obojętność wobec dręczonej ofiary obserwatorzy poniekąd przyzwalali na dręczenie. Celem KiVa stało się więc uświadomienie widzom, żeby nie uczestniczyli biernie w bullyingu, żeby o nim informowali rodziców i nauczycieli. Poza tym KiVa to cała filozofia, nowy sposób zachowywania się w szkole".

Program adresowany jest do dzieci powyżej siódmego roku życia. W ramach projektu uczy się je rozpoznawać różne zachowania, które wchodzą w zakres bullyingu. Skoncentrowano się także na uczeniu dzieci empatii, szacunku do innych, metod rozwiązywania konfliktów. Od najmłodszych lat dzieci uczą się rozumieć, że są odpowiedzialne nie tylko za siebie, lecz także za innych, za ludzi, których mają wokół siebie. W tym celu przygotowano specjalne gry wideo, gry manualne, cykl dyskusji. Pracę z dziećmi wzmacnia program instruujący wychowawców i nauczycieli, których zadaniem jest nadzorowanie dzieci w czasie odpoczynku, a także dotrzymywanie im towarzystwa w projektach grupowych, czyli to, o czym mówiła prof. Remberk. Stworzono też specjalną skrzynkę na listy, dzięki której uczniowie mogli zgłaszać wszelkie przypadki nadużyć, jakich doznali lub zaobserwowali.

W szkołach, które uczestniczą w programie, dyrektor wybiera trzy osoby dorosłe, które odpowiadają za przebieg programu. Ich zadaniem jest wprowadzanie metody w życie i nauczenie posługiwania się narzędziami, które pozwalają badać pojawiające się w szkole formy bullyingu. Proces ten obejmuje m.in. dialog z ofiarami przemocy mający na celu ich uspokojenie. Rozmawia się też z prześladowcą, aby pozytywnie na niego wpłynąć i uwrażliwić go. Rozmawia się również z tymi, którzy byli biernymi widzami, których zachowanie ma największe znaczenie dla postępu programu. Takie kompleksowe działania przynoszą pozytywne zmiany. Sukces programu KiVa zwrócił uwagę świata na fińską ścieżkę. Implementowano go już w wielu szkołach w Ameryce Południowej i w Europie.

„Ważne, żebyśmy my, dorośli, nie przechodzili obojętnie obok problemów dzieci, mówiąc, że to nie nasza sprawa. To są bardzo poważne problemy, których nie wolno bagatelizować. KiVa to bardzo skuteczny projekt i bardzo łatwy do implementowania w kolejnych szkołach, ponieważ wszystko jest dokładnie przygotowane i opracowane. W placówkach, w których wprowadzono program KiVa, zaobserwowano, że dzieci mają większą motywację do nauki, chętniej chodzą do szkoły, są bardziej zadowolone" – tłumaczy Ursula Perona.

Sukces projektu doprowadził nie tylko do lepszego samopoczucia uczniów, lecz przyczynił się także do wzrostu jakości nauczania zarówno na poziomie podstawowym, jak i wyższym. Może teraz czas na Polskę?

eprasa.pl fcafcc1382



Po stronie frankowiczów

Fot. Shutterstock

Sąd nie może uznać umowy o kredyt frankowy za nieważną wbrew interesowi konsumenta

Rzecznik generalny Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej zaprezentował przed trybunałem opinię korzystną dla frankowiczów, która – z dużym prawdopodobieństwem – zostanie przyjęta i ułatwi życie ludziom zadłużonym w obcej walucie.

– Nareszcie Unia Europejska wyciągnęła dłoń do tych, którzy potrzebują jej wsparcia. Lata karygodnych zaniedbań ze strony organów państwa, w szczególności nadzoru finansowego kierowanego przez urzędników mianowanych za czasów Platformy Obywatelskiej, doprowadziły do dramatycznych sytuacji społecznych, wręcz do patologii, które dzisiaj należy krok po kroku zwalczyć – mówi Grzegorz Bierecki, przewodniczący senackiej komisji budżetu i finansów publicznych.

14 maja br. Giovanni Pitruzzella, rzecznik TSUE, przedstawił przed trybunałem opinię, w myśl której sąd nie może uznać umowy o kredyt frankowy za nieważną wbrew interesowi konsumenta. Zatem to konsumentowi w procesie przysługuje prawo wskazania tego, co leży w jego interesie, a sąd nie może uznawać klauzuli abuzywnej za obiektywnie korzystną i pozostawiać jej w mocy wbrew woli konsumenta.

WOLA KLIENTA MA CHARAKTER NADRZĘDNY

O decyzję unijnego Trybunału Sprawiedliwości wystąpił Sąd Okręgowy w Warszawie, usiłując ustalić, w jaki sposób należy oceniać umowę kredytu we franku szwajcarskim, gdy zawiera ona klauzule niedozwolone naruszające interesy konsumenta. „Wola konsumenta, który uważa, że stwierdzenie nieważności całej umowy jest dla niego niekorzystne, przeważa nad utrzymaniem umowy w mocy" – uznał rzecznik, wyliczając cztery kluczowe zasady, którymi powinny się kierować polskie sądy przy analizie kredytów w szwajcarskiej walucie.

Giovanni Pitruzzella podkreślił nadrzędny charakter woli konsumenta, potrzebę uwzględniania przez sąd aktualnych korzyści klienta, a nie tych z chwili zawarcia umowy kredytowej, rezygnowanie z nieuczciwych, choć pozornie korzystnych dla konsumenta, zapisów umowy oraz unikanie uzupełniania przez sądy luk w umowach kredytowych.

– Głos rzecznika generalnego Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej to w praktyce głos dający szansę na uporządkowanie tego bezładu i – powiedzmy wprost – bezprawia, które nagromadziło się wokół kredytów frankowych – ocenia senator Grzegorz Bierecki. – Nad kredytami frankowymi brakowało przez długi czas odpowiedniej kontroli. Dzisiaj naprawdę nie jest łatwo naprawić lata zaniedbań urzędników nominowanych na swoje stanowiska przez polityków Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego.

ZABRAKŁO KONTROLI NAD KREDYTAMI

Brak właściwej ochrony konsumentów w kwestii kredytów zaciąganych w obcych walutach wytknął raport Najwyższej Izby Kontroli opublikowany w sierpniu 2018 r. NIK oceniła negatywnie skuteczność systemu ochrony konsumentów wobec problemu kredytów objętych ryzykiem walutowym w latach, na które przypadła zasadnicza aktywność banków w udzielaniu tych pożyczek, czyli 2005–2013.

Zdaniem NIK skontrolowane podmioty administracji publicznej nie zapewniły właściwego egzekwowania praw kredytobiorców oraz zbyt późno lub w nieodpowiednim stopniu przeciwdziałały zagrożeniom wynikającym z charakteru tych kredytów oraz z nieuczciwych praktyk banków. Słabość systemu ochrony konsumentów była jednym z czynników, które umożliwiły wzrost wolumenu kredytów do skali, przy

eprasa.pl fcafcc1382

której obecnie wyeliminowanie ryzyk z nimi związanych wiązałoby się z poniesieniem znaczących kosztów przez banki lub zadłużonych obywateli.

– Wielokrotnie podkreślałem, że Komisja Nadzoru Finansowego kierowana przez Andrzeja Jakubiaka dała przykład niekompetencji i braku umiejętności zapanowania nad tym, co dzieje się w sektorze finansowym. Zobaczyliśmy to na przykładzie Amber Gold i kwitnących pod nosem KNF instytucji o niemal mafijnym charakterze. Zobaczyliśmy to przy okazji perfidnego lobbingu organizacji bankowych, które na pierwszym miejscu postawiły zyski korporacji, nie zaś dobro klienta. Dziś to rząd PiS usiłuje rozwiązać problemy, które generowane były w czasie sprawowania władzy przez koalicję PO-PSL – mówi Grzegorz Bierecki.

Podobne stanowisko prezentował premier Mateusz Morawiecki, wówczas sprawujący funkcję prezesa BZ WBK. „Nadzór powinien zabronić udzielania kredytów we frankach szwajcarskich. Tu i teraz, nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń. Nie ma sensu wypatrywać osłabienia franka, bo zarówno nadzór, jak i odpowiedzialny rząd nie powinien pozwalać gospodarstwom domowym na spekulacje walutowe. I to w interesie przede wszystkim właśnie gospodarstw domowych" – mówił Mateusz Morawiecki w 2009 r.

POSZKODOWANI ZADOWOLENI, ZBP NIEKONIECZNIE

Ze stanowiska rzecznika unijnego trybunału zadowoleni są reprezentanci konsumentów, w tym stowarzyszenie Stop Bankowemu Bezprawiu, którego przedstawiciele podkreślają, że wyrok, który – po uwzględnieniu stanowiska rzecznika – TSUE wyda za około dwa miesiące, będzie drogowskazem dla sądów w Polsce, jak mają orzekać w podobnych sprawach.

Odmienne zdanie prezentuje Związek Banków Polskich. „Liczymy na salomonowy wyrok, że Trybunał Sprawiedliwości wyważy racje, opowie się za modyfikowaniem umów, a nie ich unieważnianiem" – podkreślał na łamach mediów Jerzy Bańka, wiceprezes ZBP.

Nie po raz pierwszy Związek Banków Polskich opowiada się przeciwko rozwiązaniom korzystnym dla konsumentów i broni interesów potężnych bankowych korporacji. ZBP bez wahania krytykował kolejne projekty zmian mających ułatwić spłatę kredytów frankowych, wskazując na zagrożenia dla zysków sektora bankowego. Związek wyraził także – co szokujące – negatywne stanowisko na temat raportu Najwyższej Izby Kontroli, podkreślając m.in., że „NIK działała tutaj poza swoimi kompetencjami".

Stowarzyszenie Stop Bankowemu Bezprawiu odniosło się do polityki Związku Banków Polskich przy okazji wsparcia i poręczenia udzielanego przez ZBP byłemu szefowi Komisji Nadzoru Finansowego Andrzejowi Jakubiakowi oraz jego zastępcy Wojciechowi Kwaśniakowi.

„Sposób obrony urzędników KNF przez ZBP potwierdza, iż przenikanie się sektora bankowego z urzędami odpowiedzialnymi za nadzór nad bankami tworzy sytuacje patologiczne. Niedopuszczalne jest, by lobbyści bankowi udzielali poręczeń za urzędników sprawujących nadzór nad bankami. Rodzi to podejrzenia o brak obiektywizmu nadzoru wobec banków, za które lobbyści bankowi ZBP próbują się obecnie, w specyficzny dla siebie sposób, odwdzięczyć. Patologią jest też nagradzanie urzędników KNF intratnymi stanowiskami w sektorze bankowym" – pisali w specjalnie przygotowanym oświadczeniu przedstawiciele poszkodowanych.

PAŃSTWO CHCE BYĆ PO STRONIE KONSUMENTÓW

– Kolejne kłody rzucane pod nogi konsumentów przez Związek Banków Polskich z pewnością nie świadczą dobrze o sytuacji, jaką mamy w polskim sektorze bankowym. Proponowane rozwiązania, zajmowane stanowiska są wręcz torpedowane przez lobbystów zakorzenionych w sektorze bankowym od lat – mówi Grzegorz Bierecki, przewodniczący senackiej komisji budżetu i finansów publicznych. – Nie zmienia to jednak faktu, że jednym z priorytetów obecnej administracji państwowej z pewnością jest rozwiązanie kwestii frankowiczów.

> – Głos rzecznika Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej to w praktyce głos dający szansę na uporządkowanie tego bezładu i bezprawia, które nagromadziło się wokół kredytów frankowych – ocenia senator Bierecki

Opinia rzecznika TSUE jest zbieżna ze stanowiskiem polskiego rządu. Pełnomocnik Polski przed unijnym trybunałem również wskazywał, że nie jest możliwe uzupełnienie przez krajowy sąd luk w umowie między bankiem a konsumentem. Zaznaczał też, że ocena skutków upadku całej umowy jest dokonywana przez konsumenta i powinna ona zostać uwzględniona podczas rozstrzygania o skutkach niekorzystnych zapisów.

800 TYS. KREDYTOBIORCÓW CZEKA NA DECYZJĘ

Według danych Biura Informacji Kredytowej na koniec grudnia 2018 r. zadłużenie w kredytach frankowych w przeliczeniu na złotówki wynosiło 107,1 mld zł. 19,6 proc. obecnie czynnych kredytów mieszkaniowych jest nominowanych we franku. Według BIK we franku zadłużonych jest ponad 800 tys. Polaków.

Decyzja TSUE, do której nawiązuje stanowisko rzecznika trybunału, zapadnie za około dwa miesiące.

Kajetan Kutnowski

eprasa.pl fcafcc1382

Czym zasłużyliśmy na gorsze traktowanie?

*Z sędzią **Leszkiem Mazurem**, przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa, rozmawia Wojciech Biedroń*

Mówi się, że KRS ograła Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu. Uczestnictwo Rady w sprawie dotyczącej pytań prejudycjalnych przesłanych przez Sąd Najwyższy spowodowało potrzebę wyznaczenia kolejnej rozprawy, a rzecznik generalny TSUE musiał przesunąć wydanie swojej opinii o sprawie z maja na koniec czerwca. Wszyscy pamiętamy polityczne skutki opinii rzecznika Trybunału przed wyborami samorządowymi.

Leszek Mazur: W przypadku procesu sądowego zawsze istnieją pewne elementy taktyki i planowania działań, ale nie braliśmy pod uwagę polityki. Nasze wejście do gry wynikało z pewnej intuicji i planowania. Pamiętajmy, że jeśli nie trzeba, to nie warto kłaść przed sądem wszystkich argumentów w początkowej fazie postępowania. Chodziło też o jednolitość stanowiska, a państwo polskie jest reprezentowane przed Trybunałem przez kilka podmiotów. Ich stanowiska były bardzo obszerne, bo i argumenty są bardzo mocne.

Konsultowaliście stanowiska?

Kiedy napomknąłem, przy okazji postanowienia zabezpieczającego, że sprawa wymaga szerszego uzgodnienia, spadła na nas fala krytyki. Podnoszono, że organ czuwający nad niezależnością sądów będzie coś konsultował z władzą wykonawczą.

Konflikt interesów?

Przecież członek rządu zasiada jednocześnie w KRS. Nie widzę niczego nadzwyczajnego w rozmowie na ten temat między członkami rady.

Dlaczego nie uczestniczyliście w marcowej rozprawie przed TSUE?

Państwo miało zapewnioną profesjonalną reprezentację. Dzień przed marcową rozprawą wpłynęło do nas pismo z TSUE, z którego wynikało, że w ciągu kolejnych 15 dni możemy zgłosić udział naszego przedstawiciela w rozprawie. Było to związane ze zmianą składu TSUE, który zdecydował o rozpoznaniu pytań prejudycjalnych w tzw. Wielkiej Izbie.

Zauważam w tym pewną nonszalancję ze strony TSUE. Podobnie było z prokuratorem generalnym.

Rzeczywiście, gdyby zawiadomienie z TSUE dotarło do nas dwa tygodnie wcześniej, doprowadzenie do kolejnego posiedzenia w tej sprawie byłoby praktycznie niemożliwe.

Niezwykle ciekawa okazała się argumentacja sędzi Dagmary Pawełczyk-Woickiej, która była jednym z przedstawicieli KRS przed TSUE.

Sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka odwoływała się do szerszego kontekstu społecznego. Można ocenić, że jej występ wprowadził nieobecny dotychczas element emocjonalnego zaangażowania. Argumentacja sędziego Dudzicza sprowadzała się do tego, że podstawę oczekiwanego orzeczenia TSUE muszą stanowić fakty i chłodna analiza przepisów, a nie wrażenia obserwatorów życia publicznego. Nawiązywał do argumentacji przedstawiciela Komisji Europejskiej z marcowej rozprawy, która odwoływała się do wrażeń i odczuć.

Tymczasem TSUE zajmuje się kwestią nieaktualną. Sprawa przechodzenia sędziów w stan spoczynku po ukończeniu 65. roku życia została już przecież zmieniona nowelizacją.

Nowela ustawy o Sądzie Najwyższym i powrót sędziów SN do orzekania powinny już dawno skutkować zakończeniem procedury, w ramach której wystąpiono z pytaniami prejudycjalnymi. Nie ma więc również potrzeby kontynuowania postępowania przed TSUE. Odpowiedź na takie pytanie ma służyć wyjaśnieniu wątpliwości na kanwie sporu głównego, który w polskich warunkach został rozstrzygnięty jeszcze w zeszłym roku.

W jakim celu toczy się więc postępowanie?

Toczy się, ponieważ nikt nie jest w stanie fizycznie odebrać tej sprawy Trybunałowi. Trybunał może też je umorzyć.

A jak pan ocenia wystąpienia pana mecenasa Michała Wawrykiewicza i pełnomocnik Małgorzaty Gersdorf, pierwszej prezes SN? Wybrzmiewała w nich kwestia polityczna.

Byłem zaskoczony, że argumentacja była tak mało merytoryczna. W mojej ocenie szczególnie w przypadku pełnomocnik pierwszej prezes Sądu Najwyższego. Niczego nie wniosła do sprawy, ale ja byłem tylko na jednej rozprawie, może wcześniej było lepiej. Z kolei argumenty mecenasa Wawrykiewicza wydawały się mało wiarygodne ze względu na to, że on sam jest kandydatem do Parlamentu Europejskiego z ramienia jednej z partii opozycyjnych.

Doszło do paradoksu. Przedstawicielem części środowisk sędziow-

eprasa.pl fcafcc1382



Fot. Grzegorz Banaszak/REPORTER

skich przed TSUE jest czynny polityk, który wraz z sędziami zarzuca drugiej stronie rzekome upolitycznienie.

My dopatrujemy się upolitycznienia właśnie w takiej koincydencji. To nie sprzyja wiarygodności tej procedury ani tym bardziej strony, z którą się spieramy. W trakcie debaty padły ze strony przedstawiciela Prokuratora Generalnego słowa o nierównym traktowaniu różnych państw członkowskich. To nawiązanie do tezy o Europie „dwóch prędkości".

Jesteśmy dyskryminowani?

Ja tego nie odczułem przed Trybunałem, ale pamiętam wypowiedzi Jewgienija Tanczewa, rzecznika generalnego Trybunału, który stwierdził, że nie możemy porównywać sytuacji i standardów niemieckich z polskimi.

Taką samą opinię wydała Komisja Europejska, która panicznie boi się tych porównań.

To nieracjonalne, bo trudno unikać takich porównań, a z drugiej strony widzimy tu nawiązanie do złej koncepcji różnicowania krajów członkowskich. Powstaje więc pytanie, co takiego złego jest w naszych standardach i naszej tradycji ostatnich 30 lat? Czym zasłużyliśmy na gorsze traktowanie? Wydaje się, że Niemcy mają dużo więcej powodów do tłumaczenia się niż Polska.

W trakcie ostatniej rozprawy przed TSUE okazało się jednak, że jego sędziowie żywo interesują się tym, co dzieje się w polskim sądownictwie. Wskazują na to ich pytania. Czy to jest jakieś światełko nadziei dla strony rządowej?

Obraz wyłaniający się z pytań sędziów jest dla KRS pozytywny. Trybunał dochodzi do takiego etapu, w którym prosi przedstawiciela SN i pełnomocnika sędziów SN o konkrety, a pozostają tylko ich „odczucia" i „wrażenia". Jeśli nie zastąpią ich twarde fakty, to orzeczenie powinno być dla nas pozytywne. My te fakty znamy, dlatego jesteśmy spokojni.

A jeśli orzeczenie będzie negatywne? Jest „plan B"? Sędzia Pawełczyk-Woicka podnosiła przed Trybunałem, że w takim wypadku grozić może Polsce chaos w sądownictwie.

Powiedziała, że sobie nie wyobraża takiej sytuacji ani jej potencjalnych skutków. Jeżeli chodzi o drugą ewentualność, to planu B nie ma. To jest kwestia tego, czy państwo polskie, które będzie adresatem orzeczenia, jest przygotowane na taki rozwój wypadków. Samo orzeczenie nie rozwiąże wszystkich sporów. Każde poważne państwo ma przygotowaną odpowiedź, która się sprowadza do delimitowania granicy pomiędzy własnymi kompetencjami a kompetencjami innych podmiotów. To pytanie o państwową niezależność.

Ale to jest istota tej sprawy: niezależność polskiego sądownictwa.

Widzimy pewien trend polegający na poszerzaniu kompetencji instytucji unijnych, także w części nawiązującej do stosowania prawa. Ten mechanizm poszerzania kompetencji jest pozostawiony w gestii TSUE. Ta sprawa jest testowaniem granic kompetencyjnych. My jesteśmy gotowi respektować orzeczenia TSUE, ale muszą być pewne granice. Pamiętajmy, że są orzeczenia TSUE, których się w krajach unijnych nie wykonuje.

To podpowiedź dla rządu?

Nie ma takiej potrzeby. Niewykonane orzeczenia przez państwa, których dotyczą, są znane. Stan wiedzy i intencji polskiego państwa dobrze obrazuje ostatnia wypowiedź premiera Mateusza Morawieckiego, który przypomniał o zasadzie subsydiarności w relacjach pomiędzy instytucjami unijnymi a państwami członkowskimi. To może być traktowane jako wskazówka.

Minął rok od powołania KRS w obecnym składzie. Wchodząc do waszego gmachu, nie widziałem Obywateli RP ani KOD okupujących wejście.

Cieszę się, że ten rok minął i przebrnęliśmy przez niego. Członkowie rady oswoili się z nowymi zadaniami i opanowali procedury. Wykonaliśmy sporo pracy. Wybraliśmy blisko 550 kandydatów na stanowiska sędziowskie. To duża liczba. Ok. 170 osób odebrało już nominacje sędziowskie z rąk prezydenta, a 80 kandydatów przez nas rekomendowanych czeka na decyzję głowy państwa. To oznacza, że już rozpatrzyliśmy ok. 1,6 tys. zgłoszeń na wolne stanowiska sędziowskie, a we wszystkich konkursach, które się rozpoczęły w ciągu ostatniego roku, mamy do czynienia z 2,3 tys. zgłoszeniami kandydatów. Wpłynęliśmy w ten sposób na sprawność orzekania w sądach. To wymierny efekt naszej pracy.

eprasa.pl fcafcc1382



Sięgnąć po miliony przy plaży

Tutaj miliony leżą na ulicy, a ściślej mówiąc – przy plaży. Kto jest twardy i cierpliwy, może po nie sięgnąć. Chętnych nie brakuje, a pokusa jest ogromna: wystarczy doprowadzić do niewielkiej z pozoru zmiany w planie zagospodarowania przestrzennego, by zgarnąć niewyobrażalne pieniądze

Wracamy do Kołobrzegu, gdzie zupełnie nieoczekiwanie znów pojawił się temat zagęszczenia i podwyższenia zabudowy. Inwestorzy mogą zarobić nawet 200 mln zł., miasto – stracić status największego w Polsce uzdrowiska.

– To jest jakieś kuriozum. Nikt nie jest „za", wszyscy wstydzą się przyznać, że mają z tym coś wspólnego, a mimo tego uchwały trafiają na radę miasta – tak komentuje nowe uchwały dotyczące zagospodarowania przestrzennego wschodniej części miasta jeden z kołobrzeskich dziennikarzy.

– To element realizacji zobowiązań kampanijnych pani prezydent. Szkoda, że kosztem przyszłości miasta – mówi Maciej Bejnarowicz, szef klubu PiS w kołobrzeskiej radzie miasta.

– Ludzie spekulują, co ja na to poradzę. Spekulować nie chcę i nie powiem, że pani prezydent spłaca jakieś zobowiązania. Proponowane przez nią zmiany najzwyczajniej w świecie mi się nie podobają – to z kolei szef rady Jacek Woźniak.

BURZA W KOŁOBRZEGU

O tym, jak brutalna gra toczy się wokół 25 ha gruntów położonych tuż przy plaży w Kołobrzegu i wartych, wedle ostrożnych szacunków, około 0,5 mld zł, pisaliśmy w sierpniu 2017 r. Ustaliliśmy wówczas, że grupa lobbystów dąży – w sposób daleki od cywilizowanego – do zmian w planach zagospodarowania przestrzennego. Chodziło o umożliwienie zabudowania 45 proc. powierzchni działki (do tej pory było to 30 proc.) i zezwolenie na to, by nowe budynki miały 24 m wysokości, zamiast dotychczas obowiązujących 20 m (uchwała dla jednego z innych obszarów przewiduje nawet 27 m).

„Przedstawiciele zainteresowanych firm, lokalni biznesmeni i rozmaici »załatwiacze« mają szukać wszystkich dróg kontaktu z radnymi i miejskimi urzędnikami oraz samym prezydentem Januszem Gromkiem. Padają nazwiska miejscowych działaczy PO, którzy odnaleźli się w roli »lobbystów«. Padają kwoty i bardzo grube oskarżenia. – To jest całkowita partyzantka, trzeci świat. Spotkania przy wódce, w prywatnych domach, w sklepach. Jest dokładnie odwrotnie, niż być powinno – słyszymy od kolejnych osób […]. Zmiana planu zagospodarowania będzie oznaczać, że dotychczasowi właściciele i nowi inwestorzy, którzy już »zabezpieczyli« sobie tam ziemię, będą mogli wybudować ponad 500 dodatkowych pokoi hotelowych i apartamentów. Zyskają w sumie 200, a może nawet 250 mln zł" – pisaliśmy latem 2017 r.

Artykuł wywołał w Kołobrzegu burzę. Ówczesny prezydent Janusz Gromek z Platformy Obywatelskiej beształ nas na konferencjach prasowych i zarzucał polityczny atak. Posłowie PiS apelowali z kolei o otoczenie Kołobrzegu „tarczą antykorupcyjną". Naczelny lekarz uzdrowiska wprost mówił, że miasto może stracić swój wyjątkowy (i przynoszący mnóstwo pieniędzy) status, a miejscy radni nerwowo analizowali tekst, sprawdzając, czy przypadkiem nie piszemy o nich. Gromek wycofał się w końcu ze zmian, a niedługo potem ogłosił, że nie wystartuje w kolejnych wyborach prezydenckich. W międzyczasie zainteresowani tematem przeżyli kolejny wstrząs: do sprawy wrócił „Super Express",

eprasa.pl fcafcc1382

prezentując projekt jednego z hoteli, które miałyby stanąć w uzdrowisku, gdyby udało się zmienić plan zagospodarowania. Wrażenie było ogromne, bo tabloid pokazał wizualizację budynku – wielkiego, brzydkiego, przypominającego waszyngtoński Pentagon.

„Hotelowe monstrum tuż przy plaży w Kołobrzegu – władze chcą powiedzieć »tak«. To nieważne, że w sąsiedztwie są chronione przyrodnicze obszary i niewielkie obiekty turystyczne. W Kołobrzegu, w jednym z najpiękniejszych polskich uzdrowisk, tuż przy plaży ma powstać hotel o powierzchni ponad 20 tys. mkw." – streszczała historię bulwarówka.

– Sprawa wydawała się zamknięta, prezydent Gromek często działał bardzo bezczelnie, ale ten temat był nie do udźwignięcia nawet dla niego – mówi Krzysztof Plewko, radny PiS i kołobrzeski działacz ekologiczny.

NOWE ROZDANIE, STARE PLANY

W ostatnich miesiącach zmieniło się w Kołobrzegu wiele. Gorzkniejącego z kadencji na kadencję prezydenta Janusza Gromka zastąpiła młodsza i zdecydowanie bardziej sympatyczna Anna Mieczkowska. I choć pani prezydent jest związana, jak Gromek, z PO, to partia ta nie dominuje miejskiej polityki w tak dużym stopniu jak jeszcze niedawno. Wybory samorządowe przyniosły bardzo dobry wynik lokalnemu komitetowi dowodzonemu przez doświadczonego Jacka Woźniaka, swoje zgarnęło też PiS. Woźniak został przewodniczącym rady miasta, a Platformę zepchnięto do defensywy.

Dlaczego sprawa hektarów przy plaży wróciła bez żadnej zapowiedzi? Dlaczego uchwały dotyczące planu zagospodarowania w samym sercu strefy uzdrowiskowej mają być procedowane już na najbliższej sesji rad miasta? Z jakiego powodu tak samo daleko idące, jak powszechnie odrzucone i zdyskredytowane propozycje Gromka sprzed dwóch lat? W ciągu kilku dni poznaliśmy na ten temat co najmniej kilka teorii. Tak zwani dobrze zorientowani (co jakiś czas wysyłający do naszej redakcji maile z malowniczymi opisami rozgrywek biznesowo-politycznych na zachodnim Pomorzu) mówili o potężnej presji wywieranej przez jednego z najbogatszych Polaków, zainteresowanego rzekomo pilną zmianą planu zagospodarowania. Inni twierdzą, że to bez sensu, bo biznesmen właśnie się wycofuje z planowanej inwestycji. Oni twierdzili, że sprężynę nakręcił marszałek województwa zachodniopomorskiego Olgierd Geblewicz, do niedawna szef, a od dawna bliski kolega Mieczkowskiej. Niektóre rozwiązania zawarte w pakiecie uchwał mają być korzystne dla przedsiębiorstwa Uzdrowisko Kołobrzeg SA, znajdującego się w domenie marszałka. Jeszcze inni próbowali zwrócić naszą uwagę na przedsiębiorców łączonych w mediach ze zorganizowaną przestępczością – także oni mieliby rzekomo skorzystać ze zmian w planach.

Pierwszej teorii nie byliśmy w stanie zweryfikować, druga jest prawdopodobnie dość naciągana, trzecia (ta mafijna) prawie na pewno nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Swoimi opiniami dzielą się z nami radni, którzy – jako nieliczni ze sporego grona naszych rozmówców – nie proszą, by usunąć z tekstu ich nazwiska. Cytowani już działacze kołobrzeskiego PiS nie mają raczej wątpliwości, że prezydent Anna Mieczkowska, wrzucając nagle na agendę sprawę planów, realizuje zobowiązania, które zaciągnęła w czasie kampanii wyborczej. – Co jakiś czas pojawiają się dziwne projekty uchwał, wynikające moim zdaniem z takich zobowiązań – mówi Maciej Bejnarowicz. – Wydaje mi się, że prezydent jest naciskana, by je przedstawiać.

– Nagle, szybko, dziwnie. Będziemy się tej sprawie bacznie przyglądać – dodaje Krzysztof Plewko.

– Moje stanowisko jest niezmienne, jestem przeciw – to z kolei jeden z liderów radnych... Platformy Obywatelskiej, Dariusz Zawadzki. Rzeczywiście, mimo przynależności partyjnej, ostro sprzeciwiał się on swego czasu planom Gromka, znienacka wyciągniętych z szuflady przez Mieczkowską. – Ale w mieście rządzi druga koalicja i PiS, oni zdecydują – dodaje z nutką ironii w głosie.

Przewodniczący rady miasta i odwieczny rywal Mieczkowskiej Jacek Woźniak nie chce personalnie atakować prezydent ani zarzucać jej dwuznacznych działań. Nie boi się jednak stawiać mocnych tez. – Miała przygotowany ten projekt od kilku miesięcy – twierdzi. Dlaczego więc nie skierowała go od razu na sesję? – Nie wiem, może liczyła głosy. Na poprzedniej sesji przygotowałem uchwałę uchylającą całą procedurę planistyczną dla innego terenu w strefie uzdrowiskowej – chcieli go zabudować w 50 proc. Podejrzewam, że obawiali się, że tu zrobimy dokładnie tak samo, w związku z czym wrzucili plan pod obrady.

Woźniak obawia się, że gdy zmiany zostaną przeforsowane, to Kołobrzeg, dziś największe uzdrowisko w Polsce, straci ten niezwykły status. Powołuje się m.in. na stanowisko prof. Aleksandra Szwichtenberga, który w 2005 r. – gdy kołobrzeskiej zabudowie daleko było do dzisiejszej gigantomanii – opracował na zlecenie władz miasta dokument na temat pojemności turystycznej Kołobrzegu. Wybitny specjalista już wtedy oceniał, że uzdrowisko jest przeurbanizowane, a jego dalsza rozbudowa grozi katastrofą ekonomiczną i ekologiczną miasta.

– A ja na żadną katastrofę w Kołobrzegu nie pozwolę – kwituje przewodniczący Woźniak.

Anna Mieczkowska, ustami swojego rzecznika, odrzuca zarzuty związane z nagłym powrotem tematu zagęszczenia i podwyższenia zabudowy. Twierdzi, że procedura planistyczna trwała blisko pięć lat, a „Wydział Urbanistyki i Architektury zakończył procedowanie na początku maja 2019 r.". Podkreśla, że zmiany w planach „zostały przez radnych zainicjowane w 2014 r.", urząd zaś „jest zobligowany uchwałą do przedłożenia Radzie Miasta projektów zmian". Anna Mieczkowska nie obawia się także, że Kołobrzeg straci status uzdrowiska – jej zdaniem nie wskazują na to żadne analizy urbanistyczne.

– Gołym okiem widać, że znów zaczęła się u nas gorączka złota. Może na zewnątrz wygląda to trochę niepoważnie, jak jakieś dzikie biznesy robione przez facetów w białych skarpetach w latach 90., ale nam do śmiechu nie jest. Szkoda Kołobrzegu, pilnujcie tego tematu – mówi jeden z naszych rozmówców.

Pilnujemy. Kolejny rozdział tej historii już niebawem.

Piotr Filipczyk

Fot. FStockLuk/Shutterstock.com

eprasa.pl fcafcc1382

M jak majowe (nabożeństwo)



Dr Hanna Karp, medioznawca

Kończy się maj, a maj to niezwykłe nabożeństwo majowe. Modlitewne gromadzenie się, śpiewanie pieśni na cześć Matki Bożej było znane na Wschodzie już w V w. Dominikanin bł. Henryk Suzo, uczeń średniowiecznego mistyka Jana Eckharta, pisał, że jako chłopiec zbierał w maju kwiaty i zanosił do stóp Matki Bożej. Wił kwietne wieńce i stroił figury Bożej Rodzicielki. Od XVII w. w Europie stopniowo utrwalał się zwyczaj gromadzenia się w majowe dni przed wizerunkiem Najświętszej Maryi i czczenia Jej muzyką, śpiewem, modlitwą. W Polsce, w Tarnopolu, w XIX w. pierwsze nabożeństwo majowe wprowadzili jezuici. W Warszawie w 1852 r. pierwsi odprawiali je misjonarze w kościele św. Krzyża. Z czasem majowe stało się bardzo popularne i znane w całym kraju. Od połowy XIX w. przyjęło się w całym Kościele. Tworzy je „Litania loretańska do Najświętszej Maryi Panny", nauka kapłana oraz błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem.

Tegoroczne majowe odznaczają się wyjątkowym charakterem. Są przede wszystkim ekspiacją i wynagrodzeniem za liczne bluźnierstwa i profanacje jasnogórskiej ikony z początku maja. Napaściom towarzyszyła fala ataków na wiarę katolicką i jej symbole. A sami katolicy zostali znieważeni publicznie podczas święta 3 Maja – w dniu Uroczystości Maryi Królowej Polski. Dnia ustanowionego po cudownej obronie Jasnej Góry przed armią szwedzką, gdy król Jan Kazimierz złożył Maryi śluby. „Ja, Jan Kazimierz, król Polski, biorę Ciebie na Królową i Patronkę mego królestwa; oddaję Twej opiece moich poddanych i moją armię..." – słowa te wypowiadał 1 kwietnia 1656 r. w katedrze we Lwowie. W roku 1657 przybył jeszcze na Jasną Górę, by osobiście podziękować Królowej Polski za cudowne ocalenie kraju od szwedzkiej nawały.

Sanktuarium częstochowskie z obrazem Królowej Polski od wieków jest duchową stolicą narodu. Uważa się, że historia cudownego wizerunku sięga początków chrześcijaństwa. Zakłada się, że mógł zostać namalowany przez św. Łukasza na blacie stołu, w warsztacie św. Józefa. Wizerunek bez ramy ma wymiary: 48 na 33 cm, a jego grubość wynosi 13 mm. Wielokrotnie narażony był na niebezpieczeństwo, m.in. ze strony husytów i Tatarów. Gdy 14 sierpnia 1920 r. Rosjanie dotarli do Wisły, zagrażając Warszawie, Polacy, odpierając sowiecką nawałę, jednocześnie oddali się opiece Maryi Jasnogórskiej. Następnego dnia, w święto Wniebowzięcia, armia bolszewicka wycofała się w popłochu, obserwując w obłokach nad miastem postać Dziewicy Marii.

W czasie II wojny światowej jednym z rozkazów Hitlera po najeździe na Polskę był zakaz odbywania pielgrzymek. Dlatego pielgrzymki do tej, która „otrzymała od Boga moc i misję zmiażdżenia głowy Szatana", odbywały się w tajemnicy. Od jasnogórskiego tronu rozlega się i dziś nieustanne wezwanie do świętości życia. Czciciele Maryi odpowiadają w Apelu Jasnogórskim śpiewem: „Maryjo, Królowo Polski, jestem przy Tobie, pamiętam, czuwam". „Codziennie wieczorem następuje w narodzie polskim cisza i skupienie.

eprasa.pl fcafcc1382

Gdziekolwiek bije rycerskie serce polskie, w kraju czy za granicą, na lądzie, na morzu czy w powietrzu, przy pracy czy w spoczynku – wszędzie tryskają promienie ducha w stronę Jasnej Góry, sanktuarium narodu polskiego. Stawiamy się przed obliczem Królowej i Matki trzydziestomilionową armią serc, by złożyć Jej hołd czci i miłości" – pisał ks. Leon Cieślak w książeczce „Ofiarowanie Polski Niepokalanemu Sercu Maryi". W tym wizerunku i w dewizie Totus Tuus (Cały Twój) papież Jan Paweł II kilkakrotnie zawierzał w opiekę cały naród. Cytat, pochodzący z XVII-wiecznego „Traktatu o prawdziwym nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny" św. Ludwika Marii Grigniona de Montforta, św. Jan Paweł II kilkakrotnie powtórzył jeszcze w swoim testamencie.

Dlatego tak bolesne jest, gdy ta sama jasnogórska ikona zostaje wykorzystana w sposób tak niegodziwy przez agresywne ateistyczne środowiska jako instrument ich propagandy. Logotyp środowisk homoseksualnych wpisany w wizerunek jasnogórski był szeroko kolportowany i upowszechniany. Wydrukowany w różnych formatach i przerobiony umieszczany był na śmietnikach czy toaletach. Jako taki zmieniał się w jawną prowokację i akt bluźnierczy. Bezczelność, tupet, śmiałość i rodzaj symbolicznej przemocy obezwładniła i zaskoczyła tych, w których była wymierzona. Ikona jasnogórska – najświętszy symbol religii Polaków – okazała się bezbronna wobec barbarzyńców.

Po zniewadze dalsza agresja przerodziła się w fizyczne ataki na kościoły i miejsca kultu. Na murach wielu świątyń rozklejano prowokacyjne plakaty. W katedrze w Kwidzynie połamano i podeptano krzyż, do kropielnicy wlano alkohol. Przy grobie Chrystusa i monstrancji z Najświętszym Sakramentem w kościele pw. św. Dominika w Płocku umieszczono zaś sześciobarwne flagi – logotyp ruchu LGBT. Dla wielu Polaków był to szok, chwile bardzo bolesne i dotychczas niespotykane. Sprofanowanie wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej wokół podominikańskiego kościoła w Płocku dotychczas się nie zdarzyło.

Przeróbkę ikony umieszczono na murach klasztoru Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia przy ul. Żytniej w Warszawie. Jak zauważa mecenas Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris, odbyło się to w rocznicę dnia, gdy św. siostra Faustyna przekroczyła mury klasztoru. „Ten, kto to zrobił, celowo wybrał właśnie to miejsce, by spotęgować zniewagę dla tego, co święte" – pisze adwokat. I informuje o złożeniu w tej sprawie zawiadomienia do sądu. Zauważa, że drwina ze świętych symboli oburza nie tylko katolików, lecz wszystkich świadomych znaczenia wizerunku Czarnej Madonny w naszej wielowiekowej historii.

Po czarnej serii bluźnierstw 11 maja odbyła się internetowa premiera filmu dziennikarza śledczego Tomasza Sekielskiego o pedofilii. Dominikanin ojciec Paweł Krupa w jednym z wywiadów pyta wprost twórców filmu: „[...] na ile świadomie premierę tego filmu zaplanowali na sobotę – przed Niedzielą Dobrego Pasterza. W Kościele bowiem IV Niedziela Wielkanocna to Niedziela Dobrego Pasterza, kiedy tradycyjnie modlimy się o powołania kapłańskie". Duchowny namawia swoich współbraci, by uderzyć się także we własną pierś: „Może my od środka jesteśmy gryzieni jakimś straszliwym robalem i trzeba się wziąć za siebie?".

Jakkolwiek brzmi odpowiedź na to pytanie, nie możemy zapominać, że polskie prawo – wbrew pozorom – chroni uczucia religijne. Ale jest to praktycznie przepis martwy, przez lata prowokatorzy nie ponosili odpowiedzialności za swoje przestępstwa. Oswajano nas z tym, że najświętsze symbole są bezkarnie wystawiane na poniżenie i szyderstwo – choćby w imię wolności artystycznej. Przypomnijmy obrazoburczą sztukę „Klątwa", wystawianą w warszawskim Teatrze Powszechnym.

Prezes Ordo Iuris zauważa, iż nienawiść wobec ludzi wiary, w tym ataki na mienie kościelne, nierówne traktowanie duchownych i świeckich, coraz częstsze fizyczne akty agresji wobec księży, a przede wszystkim profanacje i bluźnierstwa, narastają. „Tylko w ostatnich miesiącach otrzymaliśmy 35 próśb o interwencję w związku ze sprawami ataku na wiarę i ludzi wierzących" – alarmuje mecenas.

Polskie prawo chroni uczucia religijne. Ale jest to praktycznie przepis martwy, przez lata prowokatorzy nie ponosili odpowiedzialności za swoje przestępstwa

Ojcowie paulini z Jasnej Góry, strażnicy Jasnogórskiej Pani, podkreślają, że nawet komuniści realizujący w latach 50. wielki program ateizacji narodu zgodzili się i uszanowali w 1957 r. peregrynację kopii Jasnogórskiego Obrazu po Polsce, która trwała 23 lata i zakończyła się uroczyście 12 października 1980 r.

28 maja obchodzimy kolejną rocznicę śmierci Prymasa Tysiąclecia – ks. kard. Stefana Wyszyńskiego, który już na łożu boleści przyjął peregrynujący wizerunek Czarnej Madonny. Prosił wtedy, by Królowa Polski nieustannie wędrowała po polskiej ziemi jako patronka i strażniczka narodu.

Sanktuarium Czarnej Madonny podczas pontyfikatu siedmiokrotnie nawiedził Jan Paweł II. Niewyobrażalne jest, by zamach na jej wizerunek mógł się odbyć za jego dni. Swoje ostatnie jasnogórskie przemówienie do pielgrzymów zakończył modlitwą, która dziś przypomniana w czasie tych wstrząsających napaści niech podniesie ducha i wesprze przede wszystkim nas samych: „Proszę Cię, Pani Jasnogórska, Matko i Królowo Polski, abyś cały mój naród ogarnęła Twoim macierzyńskim sercem. Dodawaj mu odwagi i siły ducha, aby mógł sprostać wielkiej odpowiedzialności, jaka przed nim stoi. [...] Matko Jasnogórska, módl się za nami i prowadź nas, abyśmy mogli dawać świadectwo Chrystusowi – Odkupicielowi człowieka".

eprasa.pl fcafcc1382

Pielgrzymowanie w stronę spraw najważniejszych





– Wyjazdy do Japonii uświadomiły mi, że sukces nie musi być imieniem chrześcijanina. Przykład Ukona Takayamy, który z dnia na dzień z wielkiego wodza stał się nikim, ponieważ odmówił wyrzeczenia się Chrystusa, pokazuje, że nie ma co się nad sobą użalać – przekonuje w rozmowie z Jaromirem Kwiatkowskim ***dr Tomasz Terlikowski***, publicysta, dziennikarz, filozof, a obecnie także przewodnik pielgrzymek

Ostatnio napisałeś, że wielu ludzi w ciągu swojego życia nie tylko zmienia pracę, lecz także jej charakter. I że obecnie przyszła kolej na ciebie. W pierwszej chwili zabrzmiało to jak rozbrat z dziennikarstwem, ale dalej wyjaśniłeś, że chodzi o poszerzenie działalności o pracę w charakterze przewodnika pielgrzymek. I to dalekich: do Ziemi Świętej, Libanu, Japonii... Kiedy to jednak przeczytałem, zacząłem się zastanawiać, czy jednak nie jesteś zmęczony dziennikarstwem.

Tomasz Terlikowski: Nie. Nie potrafię nie pisać, nie potrafię nie uprawiać publicystyki, nie komentować. Dużo piszę; w ubiegłym roku ukazało się pięć moich książek, nie licząc artykułów. Pisanie mam we krwi i z publicystyki – głównie religijnej, światopoglądowej, cywilizacyjnej – nie rezygnuję. Natomiast mam poczucie, że przychodzi taki moment w życiu, kiedy z niektórymi rzeczami trzeba zwolnić i zająć się także czymś innym. A poza tym pielgrzymowanie zmienia perspektywę. Niektóre z naszych debat na temat jakiegoś kraju nie wywołują w nim żadnej reakcji. Doskonałym przykładem jest Izrael. Byłem tam, kiedy w Polsce toczyła się bardzo ostra i poniekąd uprawniona dyskusja na temat wypowiedzi niektórych tamtejszych polityków. Ale tam mało kto w ogóle się tym interesował, w izraelskich gazetach pojawiały się na ten temat zaledwie małe wzmianki. Widziałem też miejsca, którymi polskie media w ogóle się nie interesują (np. Japonia), a w których dzieją się rzeczy z punktu widzenia przyszłości, także cywilizacyjnej, bardzo ważne.

Czy twoje nowe zajęcie oznacza, że będzie cię mniej w gazetach, radiu, telewizji?

Na pewno trochę mniej komentuję – w sposób naturalny, skoro czasami po prostu nie ma mnie w Polsce. Rzadziej też biorę udział w audycjach, których sam nie prowadzę. Także dlatego, że czasami mam wrażenie, iż po wszystkich stronach medialnych sporów te dyskusje są ustawkami: zaprasza

Fot. Shutterstock

31/0519/F

eprasa.pl fcafcc1382

się ludzi nie po to, by wysłuchać ich opinii czy żeby skonfrontować ich przekonania, lecz aby ich na siebie napuścić. Z tego się wycofuję. Wycofuję się również, i to widać już od dawna, z komentowania bieżącego życia politycznego.

Masz poczucie jałowości tych sporów?

Dokładnie. Polska polityka, debata publiczna za często jest skoncentrowana na argumentach ad personam. Nie dyskutujemy z sobą, tylko siebie atakujemy. Nie wysłuchujemy żadnych argumentów drugiej strony, a to nie jest przecież tak, że ona zupełnie nie ma racji.

Od dłuższego czasu odnoszę wrażenie, że zdroworozsądkowe argumenty zostały zastąpione przez emocje. Dobrym tego przykładem jest telewizja – uważa się, że tam, gdzie nie ma emocji, nie ma też oglądalności.

To wynika z tego, że współcześnie głównym przekaźnikiem treści nie jest już słowo, lecz obraz. A obraz zawsze niesie z sobą emocje. Nie posługujemy się rozumem, argumentacją, lecz emocjonalnością. Zamiast argumentować, sterujemy emocjami. Tak wyglądają współczesne media, bez względu na to, czy liberalne, czy konserwatywne. Emocje i obrazy są ważniejsze niż racje i słowa.

Wchodziłem do zawodowego dziennikarstwa w 1989 r. Pamiętam moje publicystyczne boje z kolegami, którzy rozpoczynali dziennikarską pracę w tym samym czasie – boje na argumenty, a nie inwektywy. Mogliśmy się z sobą głęboko nie zgadzać, ale to nie przeszkadzało nam lubić się wzajemnie i szanować. Dziś trudno wyobrazić sobie spokojną dyskusję pomiędzy różnymi stronami świata dziennikarskiego. Druga sprawa to sam przekaz: kiedy ogląda się dwie główne stacje telewizyjne, można odnieść wrażenie, że są to światy równoległe, pomiędzy którymi nie ma punktów stycznych.

Zaczęliśmy się poruszać w świecie symulakrów, czyli rzeczy, które tak naprawdę istnieją wyłącznie w mediach. Dobry przykład to niedawny strajk nauczycieli – ani w jednej, ani w drugiej głównej telewizji nie został przedstawiony prawdziwy obraz tego środowiska. Według jednej strony byli to w 100 proc. zwolennicy opozycji chcący obalić rząd. Nie było widać całego zróżnicowania ideowego tego środowiska. Druga strona przedstawiała ich jako herosów walki o jedynie słuszną edukację, którzy przyjadą na białych koniach i rozniosą PiS. To były symulakry stworzone na potrzeby bieżącej walki politycznej. Coraz częściej w mediach nie szukamy rzeczywistości, tylko posługujemy się kliszami, obrazami. To, o czym mówisz, to skutek procesu utożsamościowienia mediów i powstania baniek medialnych wewnątrz portali społecznościowych. Mamy tendencję do wyrzucania z grona znajomych tych, którzy mają inne poglądy, albo do ich blokowania. Dlaczego? Bo oni nam

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

zaburzają perspektywę. Nasza bańka ma być jednolita. Co więcej, prawie wszystkie media, z nielicznymi wyjątkami, ustawiły się jako media tożsamościowe.

Zaczynałem pracę w 1992 r. w Radiu Józef. W 1998 r., kiedy wchodziłem już na stałe bardzo mocno do mediów (Radio Plus, „Newsweek", „Ozon"), pracowali tam ludzie o bardzo różnych poglądach. Myśmy się bardzo często mocno spierali, także na kolegiach. Ale równocześnie znaliśmy się wzajemnie, znaliśmy swoje rodziny. Mogliśmy się bardzo ostro różnić, a jednocześnie prywatnie darzyć się sympatią. W tej chwili, gdy ktoś wchodzi do mediów, już nie ma takiego osobowego kontaktu z drugą stroną, która staje się dla niego wyłącznie przeciwnikiem; taki człowiek traci zdolność dostrzegania w niej ludzkich cech. Bo przecież – patrząc z naszej strony – lewak też ma ludzkie cechy: ma żonę albo partnerkę, dzieci, swoje życie, dokładnie takie same kłopoty jak my. Prawak – żeby odwrócić sytuację – dokładnie tak samo miewa kryzysy w małżeństwie i tak samo może nie radzić sobie z rzeczywistością. Ale żeby to wszystko wiedzieć, trzeba się przynajmniej spotkać.

> Na pielgrzymce razem się modlimy, ale też bardzo dużo z sobą rozmawiamy. Ludzie opowiadają historie, do których wcześniej nie mieli odwagi wracać, modlą się o rzeczy, które wyrastają z ich głębi, ale są też dla nich trudne. Z tej perspektywy pielgrzymowanie otwiera nas na zupełnie nową rzeczywistość

Czy jesteśmy już na te procesy skazani, czy jednak przyjdzie na środowisko dziennikarskie jakaś refleksja?

Kłopot jest taki, że pewne zmiany dokonały się na poziomie przekazu medialnego, czyli tego, że to emocje stały się głównym nośnikiem medialnym, i na płaszczyźnie życia politycznego. W debacie publicznej nastąpił proces zwany moralizacją.

To znaczy?

Jeszcze kilkanaście lat temu, jeśli się z kimś nie zgadzaliśmy, zakładaliśmy, że się myli. Ale w sformułowaniu „myli się" nie jest zawarta ocena moralna. Natomiast w tej chwili używamy – w Polsce, ale także w Stanach Zjednoczonych i wielu innych krajach – sformułowania „kłamie". A zatem jest niemoralny, bo jeżeli ktoś tak głęboko się myli, tak głęboko nie widzi naszych racji, to to oznacza, że odrzuca moralność. A z ludźmi niemoralnymi się nie rozmawia. Na ten proces nakłada się to, o czym wspominaliśmy: głęboka emocjonalizacja przekazu. Jeśli liczą się tylko emocje i sterowanie nimi, to bardzo trudno będzie nam z tego wyjść. Ale jest to możliwe, a nawet konieczne, jeśli nie chcemy pójść w kierunku pełnej defragmentacji społecznej, nie chcemy mieć jednego państwa dwóch plemion...

...do którego zbliżamy się coraz bardziej.

Pewnie tak, choć znajdują się też ludzie, którzy chcą iść w poprzek tych podziałów. Czasem można mieć w jednej sprawie takie poglądy, w drugiej – inne, nie ma obowiązku kupowania całego pakietu. To musi potrwać jeszcze trochę, by obie strony (a druga, liberalna, nie jest przyzwyczajona, że jest jakiś drugi głos) zrozumiały, że ważniejsze od tego, czy ten, który coś mówi, jest lewakiem czy prawakiem, jest to, czy ma rację. Bo może się zdarzyć, że Rafał Woś, Tomek Stawiszyński czy Grzegorz Sroczyński w jakichś kwestiach mają rację, nawet jeżeli w całości mylą się w opiniach. A lewica powinna przyjąć, że Michał Karnowski, Rafał Ziemkiewicz czy Tomasz Terlikowski też miewają rację. Czyli, że z samego faktu, iż ktoś ma inne poglądy, nie wynika, że jest niemoralny, kłamie i że we wszystkim się myli.

Teraz przeskoczyłbym na twoją działalność związaną z funkcją przewodnika pielgrzymek. Czy to dla ciebie odpoczynek od tego wszystkiego, o czym przed chwilą mówiliśmy?

To przede wszystkim okazja do tego, by wejść w przestrzeń rzeczy o wiele ważniejszych. Zachowując świadomość tego, że polityka, media, zmiany cywilizacyjne są kwestiami ważnymi, dla mnie, jako chrześcijanina, fundamentalną rzeczą jest odpowiedź na pytanie, czy będę zbawiony, czy nie. Czy znajdę przestrzeń do spotkania z Panem Bogiem, czy nie. Czasami traktujemy pielgrzymowanie tylko jako wizytę w jakimś miejscu. Bardzo często ważniejsze jest jednak to, kogo na pielgrzymkowym szlaku spotykamy. Nigdy nie zapomnę rozmowy z pewną panią w kościele Pater Noster w Jerozolimie, gdzie mam dłuższą refleksję na temat „Ojcze nasz". W tej modlitwie są słowa: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". Czyli odpuszczenie naszych win jest trochę uzależnione od tego, jak my odpuszczamy winy innym. Ta pani podeszła do mnie ze łzami w oczach i powiedziała: „Panie Tomku, dotknął pan bardzo ważnej struny we mnie, ponieważ dwoje członków najbliższej rodziny zginęło w wypadku samochodowym. Nasza mama już w dniu ich śmierci zaczęła nas prosić o odmawianie różańca w intencji osoby, która zabiła naszych bliskich, i naszego wybaczenia. Nigdy nie poszlibyśmy o krok dalej, gdyby nie ta prośba naszej mamy oraz to, że na kolanach wybłagaliśmy dla siebie łaskę przebaczenia temu człowiekowi". Powiem tak: Ziemia Święta jest przepiękna. Ale ta rozmowa i świadectwo tej kobiety jest czymś, co zostanie we mnie o wiele dłużej niż widoki. Takich rozmów i w Libanie, i w Japonii miałem

37/0519/F

eprasa.pl fcafcc1382

naprawdę dużo, dlatego, że wspólne pielgrzymowanie to nie jest turystyka. Na pielgrzymce razem się modlimy, ale też bardzo dużo z sobą rozmawiamy. Ludzie opowiadają historie, do których wcześniej nie mieli odwagi wracać, modlą się o rzeczy, które wyrastają z ich głębi, ale są też dla nich trudne. Z tej perspektywy pielgrzymowanie otwiera nas na zupełnie nową rzeczywistość.

W czasach zeświecczenia, kiedy coraz mniej rozumiemy sacrum, ruch pielgrzymkowy się rozwija. Kto w nim uczestniczy? Świadomi pielgrzymi czy turyści? A może ktoś zaczyna pielgrzymkę jako turysta, a kończy jako pielgrzym?

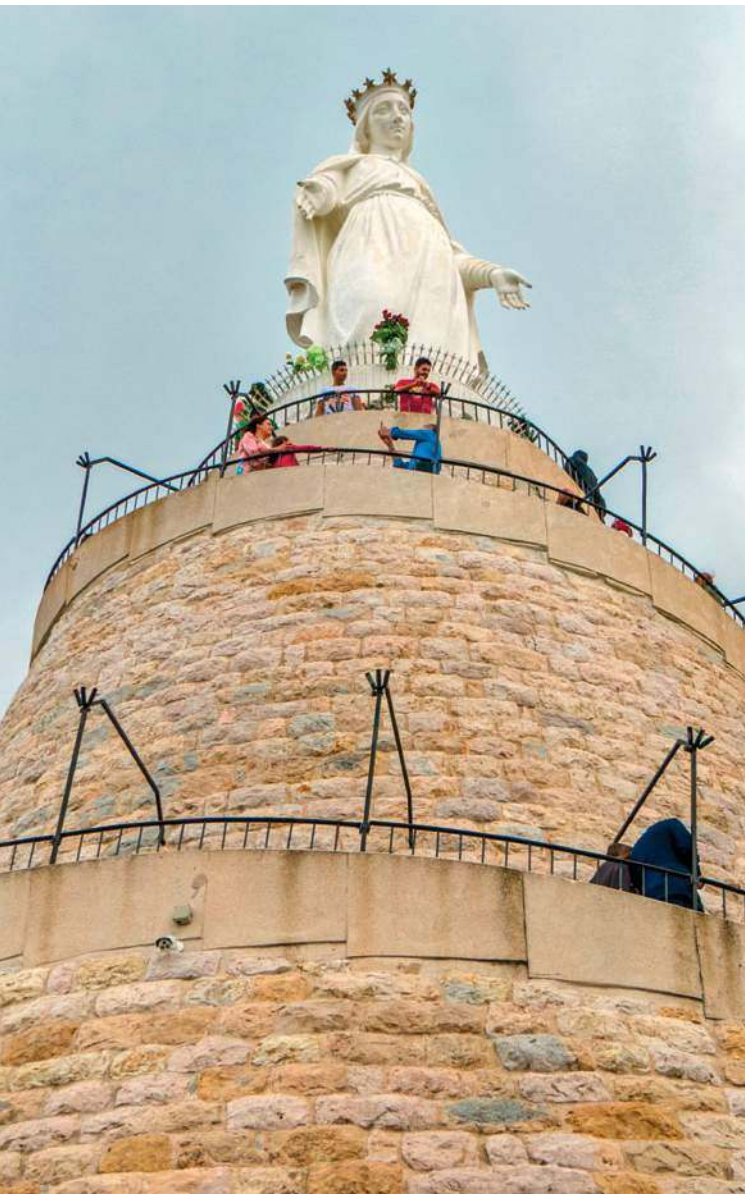
Rzeczywiście, ruch pielgrzymkowy rozwija się błyskawicznie. Jeżdżą na pielgrzymki bardzo różni ludzie, z bardzo różnymi problemami i intencjami. Są tacy, którzy jadą i wracają jako turyści, ale być może pobyt nad Jeziorem Galilejskim czy wizyta w Akicie kiedyś w nich zakiełkuje. Jeździłem z grupami, w których wszyscy byli skupieni wyłącznie na przeżyciu religijnym. To było niezwykłe doświadczenie, bo taka grupa „niesie" i przewodnika, i kierownika duchowego pielgrzymki. Miałem taką grupę podczas jednej z pierwszych pielgrzymek do Japonii. Kiedy szliśmy do miejsc związanych z historią tego kraju – do pałacu cesarskiego, Złotego Pawilonu w Kioto czy dzielnicy gejsz – mówili: „Po co tu idziemy, chodźmy do jakiegoś kościoła". Miałem też grupy, które po prostu chciały zobaczyć Japonię. Ci ludzie pytali: „Po co jedziemy do Akity?". Rzeczywiście, w porównaniu z Tokio czy Kioto, to daleka prowincja. Kiedy jednak weszliśmy do klasztoru Sióstr Służebnic Eucharystii, kiedy z księdzem opowiedzieliśmy im niezwykłą historię objawień w Akicie, kiedy uklękliśmy przed figurką Matki Bożej Uśmiechniętej i modliliśmy się przed Najświętszym Sakramentem, to oni później wyszli zapłakani i mówili: „Dobrze, że tu przyjechaliśmy". Spotykałem ludzi już po pielgrzymkach i słyszałem: „Panie Tomku, cały czas o tym wszystkim myślałam i postanowiłam coś zmienić w swoim życiu".

Zetknąłeś się z sytuacjami, kiedy ktoś zdziwił się, że ten oto Terlikowski, ostro polemizujący katol, okazał się sympatycznym człowiekiem, z ogromną wiedzą i takim samym poczuciem humoru?

To zdarza się bardzo często [śmiech]. Kiedyś podeszła do mnie kobieta i powiedziała: „Panie Tomku, kiedy dowiedziałam się, że to pan będzie przewodnikiem, byłam wściekła. Ale dziękuję, że to pan nas oprowadzał, bo to była superpielgrzymka i dużo na niej przeżyłam". Czasami ludzie podchodzą do mnie i mówią: „Gdybyś ty wiedział, co o tobie myśleliśmy, zanim cię poznaliśmy, to byłbyś na nas wściekły". To uświadamia, że pielgrzymowanie często pomaga nam odsłonić nasze prawdziwe oblicze.

REKLAMA





Fot. Diego Fiore/Shutterstock.com

Figura Matki Bożej w libańskiej Harrisie

Ziemia Święta jest, jak wiadomo, cudowna, jest nazywana „piątą Ewangelią", ale podobno jeszcze bardziej zachwycił cię Liban, ojczyzna św. Szarbela. Dlaczego?

Dlatego, że Liban to przedłużenie Ziemi Świętej. Bardzo często zapominamy, że Liban może nie występuje w Piśmie Świętym tak często jak Judea czy Galilea, ale jednak występuje: lasy Libanu, cedry Libanu to obrazy, które wracają w Biblii. Przypomnijmy, że pierwsza świątynia jerozolimska została zbudowana z drzewa cedrowego, które przypływało z Libanu. Tak więc Liban jest nadal krajem Biblii. Liban jest w 40 proc. krajem chrześcijańskim. Stoją tam gigantyczne figury Matki Bożej i Pana Jezusa, przy których Jezus w Świebodzinie jest maleńki. Na każdą z tych figur można wjechać i podziwiać przepiękne widoki. Wszędzie można spotkać młodych ludzi, także mężczyzn, którzy odmawiają różaniec. Mnóstwo ludzi, z którymi się spotkałem, ma ustawioną jako tapetę w telefonie komórkowym Matkę Bożą lub św. Szarbela. Tam wiara jest żywa i bardzo dynamiczna. Na comiesięczną pielgrzymkę do św. Szarbela w tak niewielkim kraju, jakim jest Liban, idzie 20–30 tys. ludzi. Chłopcy i dziewczęta, młode małżeństwa z czwórką, piątką dzieci, zasuwają z różańcami, śpiewając po drodze arabskie pieśni i powtarzając piękne wezwania modlitewne. Trzecia kwestia to widoki. Ziemia Święta jest cudowna, bardzo różnorodna i tego bym nie zamienił na Liban. Ale Liban ma jedną wspaniałą cechę: jest zielony, górzysty i z każdego prawie miejsca widać Morze Śródziemne. Ostatnia kwestia to jedzenie: jeszcze lepsze niż kuchnia żydowska i palestyńska, bardzo delikatne, no i oczywiście z pierwszorzędnym winem, które „rozwesela serce człowieka".

Po takiej zachęcie Liban pewnie częściej niż dotąd będzie celem pielgrzymek. Wspomniałeś, że pielgrzymka często motywuje człowieka do przemyślenia, przewartościowania życia. Co w tobie zmieniły te wyjazdy?

Po pierwsze to, że na całe wakacje zostaję w domu z rodziną. Dlaczego? Ponieważ uświadomiłem sobie, że mówienie innym ważnych rzeczy nie może oznaczać, iż ja sam zaniedbuję to, co najważniejsze. A najważniejsze w moim życiu jako mężczyzny jest bycie mężem i ojcem. Pielgrzymki bardzo głęboko mi to uświadomiły także dlatego, że jeździłem na nie z reguły sam. Po drugie, to głęboka zmiana lektury Pisma Świętego. Rzeczywiście, jak wspomniałeś, Ziemia Święta jest „piątą Ewangelią". Kiedy ją ktoś zobaczy, zupełnie inaczej czyta biblijne sceny, nieuchronnie kojarzą mu się one z miejscami, w których był. Trzecia sprawa to doświadczenie z Japonii – głębokie uświadomienie sobie, że nie ma chrześcijaństwa bez męczeństwa i że sukces nie musi być imieniem chrześcijanina. Kościół japoński to nie jest Kościół sukcesu – katolicy stanowią zaledwie 0,5 proc. Japończyków. To jest Kościół wymierający, a równocześnie, kiedy się chodzi po miejscach męczeństwa, kiedy się w nich modli, kiedy poznaje się błogosławionego Ukona Takayamę czy naszego ojca Wojciecha Męcińskiego, którzy żyli w XVI–XVII w., to trudno się w ich niezwykłym męczeństwie nie zakochać. My oczywiście stajemy przed innymi wyzwaniami, ale tak jak wtedy japońscy władcy żądali od chrześcijan całkowitego posłuszeństwa, tak i teraz współczesne liberalne państwo żąda od chrześcijan całkowitego i bezwzględnego podporządkowania się zasadom liberalizmu. A jeśli tego nie zrobimy, to wprawdzie nie jesteśmy wydawani na śmierć, ale jesteśmy bardzo często stygmatyzowani, odrzucani, traktowani jako ci gorsi. Spotkanie np. z Ukonem Takayamą uświadamia, że nie ma co się nad sobą użalać. Ukon Takayama z dnia na dzień z księcia, wielkiego wodza, stał się nikim, ponieważ odmówił wyrzeczenia się Chrystusa. Można mu zatem powiedzieć: „Ukon, nie radzę sobie z wieloma rzeczami, a ty radziłeś sobie z o wiele większymi, pomódl się za mnie do Pana Jezusa, a On cię na pewno wysłucha".

7/0519/F

eprasa.pl fcafcc1382

PERSPEKTYWA

IX KONGRES
POLSKA
WIELKI PROJEKT

7-9 CZERWCA 2019 r.
ARKADY KUBICKIEGO
WARSZAWA



Wśród panelistów: ANDRZEJ NOWAK | FABIO BIONDI | ÉRIC ZEMMOUR | ZBIGNIEW STAWROWSKI | MASSIMO VIGLIONE | ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI | GYÖRGY SCHÖPFLIN | RYSZARD LEGUTKO | GÉRARD-FRANÇOIS DUMONT | BRONISŁAW WILDSTEIN

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Organizator

Współorganizatorzy

Partnerzy

Patronat medialny

eprasa.pl fcafcc1382

Trzydzieści lat dla małolata



JAN ROKITA



Rys. Shutterstock

PiS, uchwalając w ciągu 48 godzin praktycznie nowy Kodeks karny, sprawiło sobie kilka potencjalnych kłopotów na przyszłość

Polski Kodeks karny ma wyjątkowego pecha do wyborów. Ten obowiązujący do tej pory, autorstwa krakowskiego profesora Andrzeja Zolla, został uchwalony przez rozpadający się Sejm II kadencji zdominowany przez SLD i PSL. Odbyło się to 20 marca i 6 czerwca 1997 r., czyli u progu wrześniowych wyborów wygranych przez AWS. Piszący te słowa parał się wtedy za młodu polityką parlamentarną, lecz w głosowaniach nad kodeksem pozostał niestety w znikomej (19-osobowej) mniejszości głosującej przeciw. W małej grupce ówczesnych posłów konserwatywnych (m.in. z Bronisławem Komorowskim i Wojciechem Arkuszewskim) bowiem uważaliśmy, iż nadmiernie liberalny Kodeks karny nie jest dobrym rozwiązaniem na czasy, w których kolejne rządy nie są w stanie przyhamować trendu rosnącej liczby przestępstw. Brak poczucia bezpieczeństwa w dużych i średnich miastach występuje zaś we wszystkich badaniach opinii publicznej nieodmiennie jako pierwsza albo druga (zaraz po bezrobociu) masowo odczuwana dolegliwość. Doskonale pamiętam zwłaszcza przykrość, jaką sprawiła mi wtedy międzypartyjna feta na cześć nowego kodeksu, która wydawała mi się świadectwem złej polityki, oderwanej od społecznych realiów i potrzeb tamtego czasu.

ODWRÓT OD LIBERALNEGO PRAWA

Potem kodeks z 1997 r. wielokrotnie nowelizowano, niemal za każdym razem zaostrzając na jakimś polu jego restrykcyjność. Zapewne stało się to jednym z powodów (choć zapewne nie jedynym) nie tylko stopniowej poprawy realnego bezpieczeństwa w Polsce, lecz – co w tej kwestii bywa nawet ważniejsze – skokowego wzrostu poczucia bezpieczeństwa mieszkańców naszego kraju. Nigdy nie byłem i nadal nie jestem admiratorem policyjnych statystyk, które mogą mocno deformować obraz rzeczywistości. Mimo to jednak trudno zlekceważyć trend, który widać z owych statystyk co najmniej od jakiejś dekady. Jest to trend wyraźnego spadku liczby popełnianych przestępstw oraz niebudzącej wątpliwości lepszej efektywności policji i prokuratury w ich zwalczaniu, na co wskazują nie tylko manipulowane czasami policyjne wskaźniki tzw. wykrywalności, lecz przede wszystkim obiektywne liczby spraw, w których wszczynane są jakiekolwiek procedury karne.

Co więcej, według rządowych danych z połowy 2018 r. aż 93 proc. mieszkańców Polski czuje się bezpiecznie w okolicy, w której zamieszkuje. To kluczowa informacja pozwalająca z przekonaniem twierdzić, iż poczucie bezpieczeństwa Polaków jest dziś duże, a dodatkowe i gwałtowne restrykcje karne nie są jakimś szczególnym społecznym oczekiwaniem. Na jednym z blogów prawniczych przeczytałem niedawno, iż „retoryka osób pragnących nadal zaostrzać sankcje zatrzymała się w realiach lat 90. XX w.". Trudno tej opinii odmówić waloru trafności.

W czwartek 16 maja 2019 r. Sejm uchwalił praktycznie nowe prawo karne, które jest przeciwieństwem tego z 1997 r. Zapewne obie te ustawy winny mieć dokładnie odwrotne następstwo czasowe. Twardy kodeks był potrzebny w połowie lat 90. ubiegłego wieku, gdy rozprzężenie społeczne po zmianie ustroju sięgało zenitu, rosła liczba zabójstw i rozbojów, w gospodarce i bankowości sukcesy odnosili złodzieje, a tu i ówdzie powstawały nawet zręby mafii (która potem ujawniła się przy oszustwach VAT-owskich). Policja i prokuratura zaś zbyt często bywały bezradne wobec nowych form przestępczości. Niestety, polityka roku 1997 nie stanęła na wysokości zadania,

67/0419/F

eprasa.pl fcafcc1382

a ci, którzy wówczas sprawowali władzę, błędnie rozpoznawali znaki czasu. Tu leży zresztą źródło sukcesu politycznego Lecha Kaczyńskiego jako ministra sprawiedliwości w rządzie AWS. Sukcesu, bez którego nigdy nie mogłaby się narodzić partia PiS. To wtedy nastąpił odwrót od liberalnego prawa karnego, trwający aż do dziś. Tyle tylko że apogeum owego odwrotu przypadło na rok 2019, czyli o wiele, wiele za późno. Podobnie jak w roku 1997, również dzisiaj nowe prawo karne rozmija się z realiami i potrzebami obecnego czasu. Tyle tylko że jest to dokładnie odwrotne rozminięcie się, od tego z 1997 r.

PROGRAMOWO ZAOSTRZAĆ

Obecny minister Zbigniew Ziobro ma swój duży wkład w trwający od lat proces odwrotu od liberalnego prawa karnego. I z tej też przyczyny zdobył sobie swoistą ludową popularność, mimo iż od wielu lat jest jednym z polityków najbrutalniej atakowanych przez media i politycznych przeciwników. Skądinąd zresztą swoim specyficznym stylem działania i radykalizmem publicznie wygłaszanych osądów Ziobro sam nie od dziś prowokuje skalę histerycznie wrogich wobec niego reakcji. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że Ziobro mentalnie „zaklinował się" na idei, wedle której panaceum na wszystkie problemy bezpieczeństwa jest zaostrzanie kar. Widać wyraźnie, że zarówno sam minister, jak i jego współpracownicy to ludzie mający w tej materii mocne poczucie misji. Być może jest ono zresztą zbyt mocne i właśnie z tego powodu nie biorą już oni pod uwagę zmian, jakie następują w polskiej rzeczywistości. Dlatego nie od dziś (jeśli można tak powiedzieć) „polują" na takie polityczne okazje, które pozwoliłyby uzasadnić kolejną porcję prawnokarnych restrykcji.

Taką okazją stało się niedawne zabójstwo prezydenta Gdańska, po którym premier spotkał się z politykami opozycji (przynajmniej niektórymi), aby wzmocnić przesłanie o potrzebie zaostrzenia prawa karnego. 25 stycznia Ziobro mógł więc po raz pierwszy pokazać publicznie de facto nowy Kodeks karny, nad którym jego resort pracował zapewne od długiego czasu. Tak więc od niemal pół roku koncept nowego prawa karnego jest publicznie znany. A kiedy 11 maja nastąpiła premiera sławnego już filmu Tomasza Sekielskiego o dewiantach seksualnych w Kościele, Ziobro miał tę przewagę nad opozycją, że podczas gdy ta zaczęła na gwałt zapowiadać nowe ustawy mające lepiej niż dotąd zwalczać tego rodzaju przestępstwa, on mógł natychmiast położyć na stole obszerny i całościowy projekt kodeksu.

Tymczasem PiS nagle atakowane przez Grzegorza Schetynę o to, iż miało „roztoczyć parasol ochronny nad pedofilami w Kościele", potrzebowało na gwałt czegokolwiek, co mogłoby dwa tygodnie przed wyborami wyraziście pokazać nie tylko bezzasadność tego zarzutu, lecz także dowieść determinacji i bezkompromisowości postawy partii. Nic więc dziwnego, że Morawiecki kazał ministrom natychmiast uchwalić projekt

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Na szczęście jest ubezpieczenie!

NOWOŚĆ

Ubezpieczenia mieszkaniowe

W ofercie dostępne również ubezpieczenia: podróżne, NNW, na życie oraz komunikacyjne.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl



eprasa.pl fcafcc1382

Ziobry we wtorek 14 maja, bez jakiegokolwiek poważnego zastanawiania się nad jego szczegółami. I – jak się zdaje – na gwałt poprawiono w nim tylko parę punktów dotyczących przestępstw na tle seksualnym, tak by całość dawała się przedstawić jako reakcja na rewelacje z filmu Sekielskiego. Sam premier popisywał się po posiedzeniu rządu najbardziej wyszukaną emocjonalnie retoryką na temat owych przestępstw: „zwyrodniałe, obrzydliwe, okrutne i bestialskie". Mocniejszych przymiotników polszczyzna już nie zna.

POŚPIECH ZA CENĘ TRYBUNAŁU

Cały proces prowadzący aż do tego punktu jest całkiem zrozumiały, zważywszy przede wszystkim na to, iż wszystko dzieje się na finiszu kampanii wyborczej. Ale od środy 15 maja zachowanie PiS w kwestii reformy prawa karnego przybiera odcień coraz bardziej irracjonalny. Najpierw marszałek Marek Kuchciński wydaje orzeczenie, iż owa całościowa i gruntowna zmiana Kodeksu karnego nie jest w ogóle „zmianą kodeksu" (czym więc jest?), po to, aby ominąć cały kompleks przepisów regulaminu Sejmu, wymagających odrębnego

> Podobnie jak w roku 1997, również dzisiaj nowe prawo karne rozmija się z realiami i potrzebami obecnego czasu

trybu uchwalania tego rodzaju praw. W szczególności regulamin wymaga, aby upłynęły co najmniej dwa tygodnie od chwili wydania druku sejmowego projektu do pierwszej nad nim debaty (tzw. pierwszego czytania) i taki sam czas w finale prac sejmowych, między drukiem sprawozdania i tzw. drugim czytaniem. Co więcej, regulamin zaleca (ale zwyczaj parlamentarny obliguje), aby do tak poważnych zmian Kodeksu karnego powoływać komisję nadzwyczajną, na którą prawo nakłada wiele proceduralnych obowiązków. A wszystko po to, aby uniknąć właśnie takich sytuacji, w których nagły rozgłos i sensacja wokół jakiegoś przestępstwa skutkują pospiesznymi i nieprzemyślanymi nowelami prawa karnego, czynionymi wyłącznie dla celów propagandowych.

Warto spojrzeć prawdzie w oczy. Orzekając, iż zmiana ponad stu przepisów kodeksu nie jest w ogóle zmianą kodeksu, Kuchciński ośmieszył się jako marszałek Sejmu. PiS zaś, uchwalając następnie w ciągu 48 godzin praktycznie nowy kodeks, z pogwałceniem procedur, sprawiło sobie kilka potencjalnych kłopotów na przyszłość.

Po pierwsze, trzeba założyć, że nowy kodeks zostanie zaskarżony do Trybunału Konstytucyjnego. I jeśli ów trybunał postanowi chronić i tak mocno nadwerężony swój autorytet, to bez wątpienia uzna procedurę uchwalenia kodeksu za wystarczająco naganną, aby go uchylić. Sędzia Julia Przyłębska, która przecież nie chciałaby zapewne robić nadmiernych kłopotów obecnej władzy, dostanie zatem twardy orzech do zgryzienia. Ale po wtóre, rozstrzygnięcie Kuchcińskiego i to, co się po nim wydarzyło w Sejmie z Kodeksem karnym, stanie się już rychło jednym z koronnych argumentów w polsko-unijnym sporze o praworządność.

Trudno pojąć, dlaczego PiS odbiera sobie samemu argumenty w tym sporze, i to w chwili, w której rzeczy nieoczekiwanie zaczęły się powoli przechylać, zarówno w Brukseli, jak i w Luksemburgu, na korzyść Polski i jej władz.

WYBORCZA TAKTYKA

Wszystko to każe postawić pytanie – kto i dlaczego zdecydował, iż rzeczą konieczną jest uchwalenie nowego kodeksu w ciągu 48 godzin? Co było aż tak niebezpiecznego w uruchomieniu normalnej sejmowej procedury zmian kodeksu, że PiS podjęło aż takie ryzyko? Co do osoby odpowiedzialnej za tę decyzję, to jest jasne, że musiała być ona wynikiem politycznej taktyki Jarosława Kaczyńskiego. Bez jego decyzji ani rząd w ciemno nie uchwaliłby projektów Ziobry, ani Kuchciński nie zrobiłby tego, co zrobił. Ale czemu Kaczyński wybrał taką właśnie, bardzo wątpliwą, taktykę? Nie sposób wyjaśnić tego z pewnością. Niemniej jednak rysują się tu trzy możliwe hipotezy. Jedna to ta, iż w PiS obawiano się fali reakcji przeciwko Ziobrze i sygnowanemu przezeń projektowi, tak silnej, że mogącej sparaliżować realną możliwość jego uchwalenia. Faktycznie bowiem nowy kodeks zawiera normy mocno prawniczo wątpliwe, jak choćby reguła pełnej odpowiedzialności 15-latków za zbrodnie (można więc będzie 15-latka skazać na 30 lat więzienia – art. 10 kk), albo forsowanie kary więzienia zamiast grzywny czy prac przymusowych w przypadku drobnych przestępstw (art. 37a kk). W dłużej trwającej debacie stosunkowo łatwo zatem podziurawić i rozmontować projekt Ziobry.

Inna hipoteza sugeruje, iż sensacyjne fakty z życia „elity księżowskiej" i sprowokowana następnie fala nienawiści do biskupów i Kościoła wywołały w PiS strach, iż takie podważenie religii w Polsce jest uderzeniem w sedno konserwatywnych zapatrywań wyborców PiS, a więc może podważyć także ich polityczne morale. Kaczyński uznał więc, że zapędzonym do narożnika wyborcom PiS należy się jakaś ideologiczna satysfakcja, swego rodzaju poczucie, iż konserwatywne ideały „prawa i porządku" są jednak w ofensywie, a nie w odwrocie. To z kolei prowadzi do hipotezy trzeciej i najbardziej oczywistej. Tej mianowicie, iż Kaczyński uznał, iż PiS musi dać popis przedwyborczej skuteczności, tak by propagandowy efekt filmu Sekielskiego wyszedł partii na dobre już w niedzielę 26 maja. „Patrzcie – mówi w ten sposób PiS do swoich wyborców – przecież tylko my bez pardonu potrafimy walczyć ze złem. Więc doceńcie tę naszą odwagę i determinację przy urnach w niedzielę". Jest w tym tylko jeden szkopuł. Czy aby na pewno wyborcy partii rządzącej wyczekują teraz z utęsknieniem na to, aby w ciągu 48 godzin wprowadzić w Polsce karę 30 lat więzienia i skazywać na nią nawet małoletnich opryszków? Czy zatem w PiS nie dokonano pochopnej, a może nawet błędnej diagnozy społecznej?

eprasa.pl fcafcc1382

SIECI

SUKCESY

XX-lecia międzywojennego

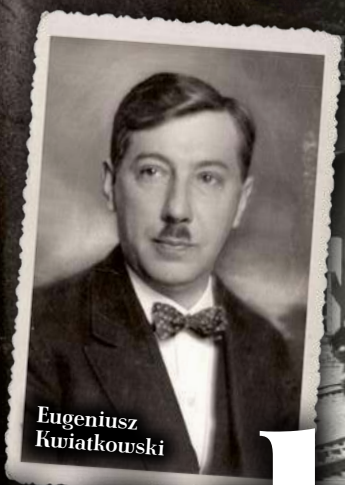
1918–1939



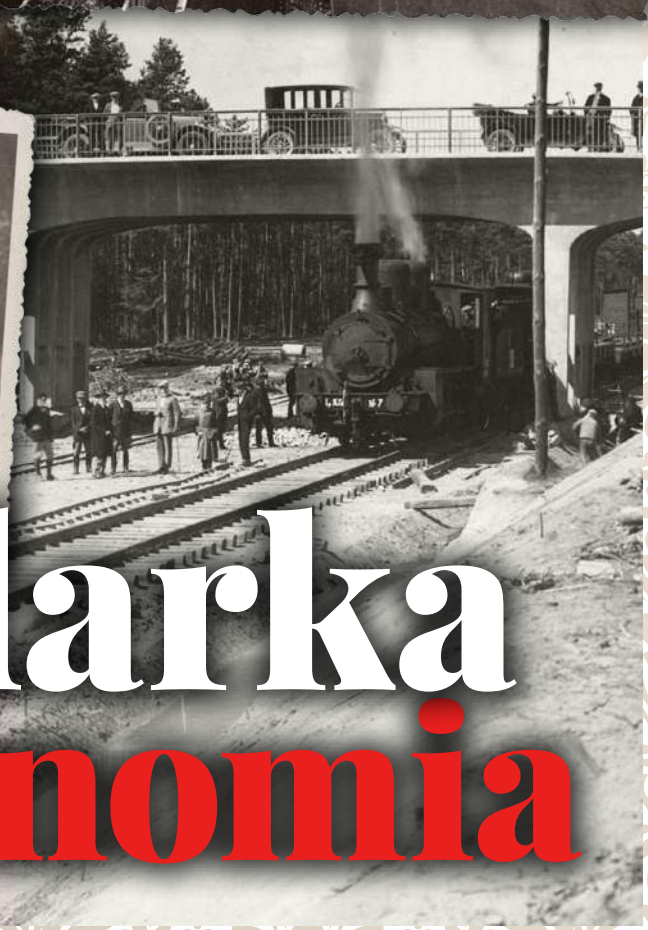
Władysław Grabski







Eugeniusz Kwiatkowski



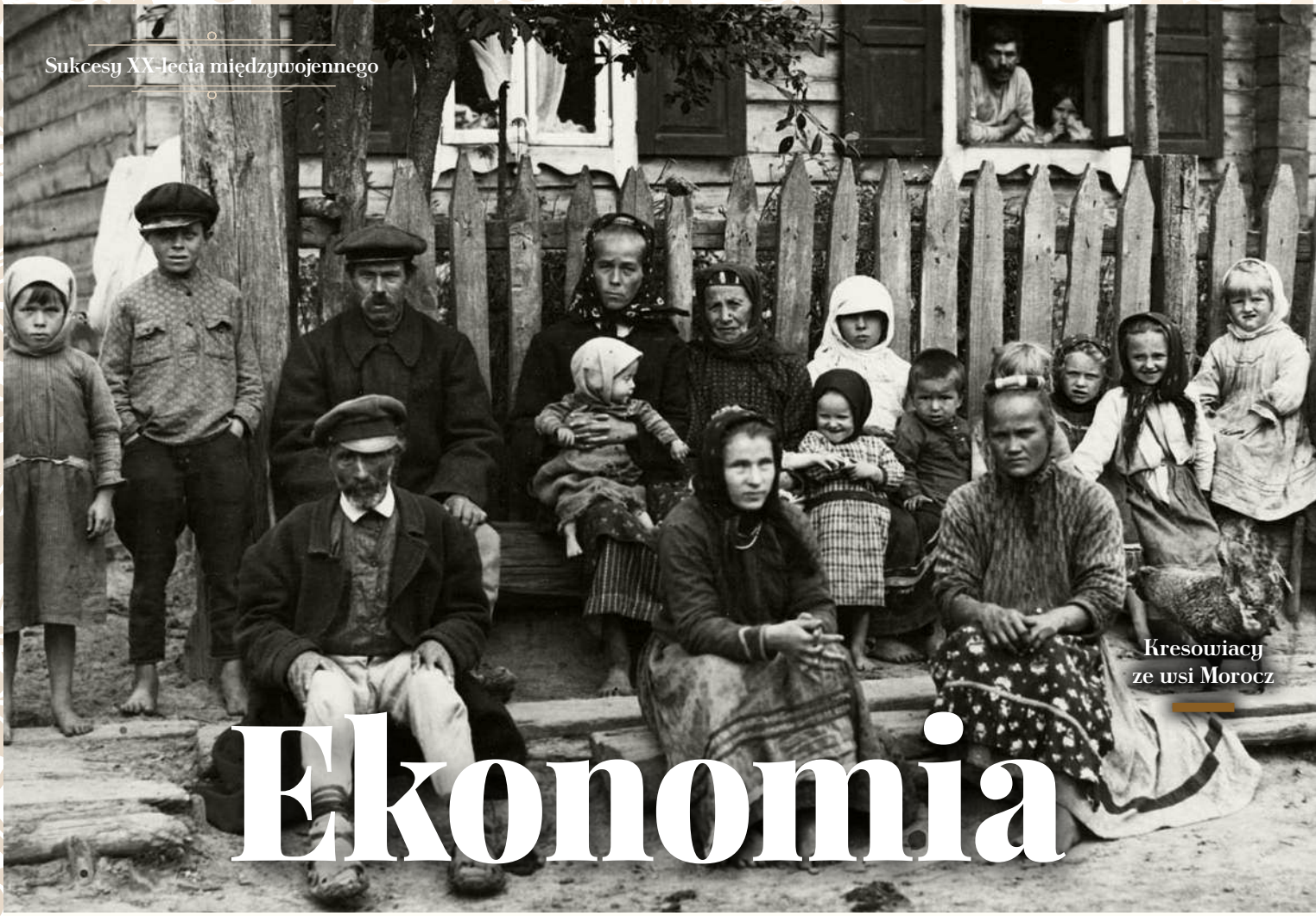
odc. 5

Gospodarka i ekonomia

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl/fcafcc1382



Kresowiacy ze wsi Morocz

Ekonomia trudnych czasów

Z prof. Jarosławem Kłaczkowem z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu rozmawia Maciej Wolny

Czy polska gospodarka międzywojenna była konkurencyjna?

Jarosław Kłaczkow: Polska gospodarka okresu międzywojennego wychodziła z wielkiej wojny przede wszystkim z bagażem ogromnych zniszczeń dokonanych przez walczące z sobą na naszych ziemiach państwa zaborcze. Dość wspomnieć, że tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w przemyśle z terenów dawnego zaboru rosyjskiego zatrudnionych było jedynie 13 proc. robotników z 1913 r.

Polska gospodarka trafiła także na jeden z mniej pomyślnych dla światowej gospodarki okresów w historii ludzkości. To czas inflacji, hiperinflacji, wielkiego kryzysu, dziewięcioletniej wojny celnej z Niemcami oraz przede wszystkim polityki wielu państw, mającej na celu chronienie własnych rynków przed napływem towarów z innych krajów. To ograniczało możliwości eksportowe takich wschodzących gospodarek, do jakich możemy zaliczyć ówczesną Polskę.

Starano się jednak podejmować działania i korzystano z każdej nadarzającej się koniunktury. Tak zdobyto dla polskiego węgla rynki skandynawskie, a w drugiej połowie lat 30. w krajach Europy Środkowej i na Bałkanach coraz chętniej kupowano produkty wytwarzane przez polski przemysł zbrojeniowy.

Jak bardzo zniszczenia wojenne cofnęły rozwój ziem polskich?

Wybitny polski historyk prof. Wojciech Roszkowski ocenił kie-

Fot. NAC x2

eprasa.pl/fca/cc1382



Zniszczona podczas I wojny światowej ul. Mariańska w Kaliszu

dyś w jednej ze swoich prac skalę strat polskiego przemysłu w latach 1914–1918 na 10 mld franków w złocie. Jest to kwota olbrzymia. Przypomnę porównawczo, że francuska kontrybucja, która decydująco wpłynęła na rozwój gospodarczy zjednoczonych Niemiec, wynosiła w latach 70. XIX w. 5 mld franków.

Ziemie polskie u progu wielkiej wojny i ich rozwój gospodarczy były pochodną procesów ekonomicznych zachodzących na terenach ówczesnych państw zaborczych. Na terenie zaboru rosyjskiego możemy wyodrębnić trzy obszary uprzemysłowione: Warszawa i okolice z przemysłem maszynowym i metalowym, Łódź z najbliższym otoczeniem, gdzie rozwinął się przemysł włókienniczy, oraz węglowe Zagłębie Dąbrowskie. Lokalny przemył występował jeszcze we Włocławku, Radomiu i poza terenem Królestwa w okręgu białostockim. Pozostałe tereny nie miały w zasadzie przemysłu i były nastawione głównie na produkcję rolną.

Z kolei w zaborze austriackim przemysł rozwinął się wyspowo. Miał on przede wszystkim charakter wydobywczy: soli kamiennej, soli potasowej, ropy i gazu.

Na najlepiej rozwiniętym pod względem cywilizacyjnym terenie zaboru pruskiego (Wielkopolska i Pomorze Gdańskie) dominowało dochodowe, nowoczesne rolnictwo wysyłające swoje produkty w głąb państwa niemieckiego.

Z ziem leżących poza granicami przedrozbiorowej Rzeczypospolitej do wysoko rozwiniętych możemy zaliczyć należący w tym czasie do Prus Górny Śląsk oraz Śląsk Austriacki. W obu tych regionach rozwinął się na wysoką skalę przemysł ciężki wydobywczy. Zagłębie Ostrawsko-Karwińskie należało do najlepiej rozwiniętych gospodarczo obszarów całej CK monarchii Habsburgów.

Ten duży potencjał rozwojowy został w bardzo znaczącym stopniu zniszczony podczas działań wojennych 1914–1915 oraz późniejszej polityki gospodarczej państw zaborczych, przede wszystkim Niemiec. Ci ostatni wykorzystali okupację centralnych ziem polskich do faktycznej likwidacji konkurencji dla swojego przemysłu. Różnego typu działania niekorzystne dla przyszłego funkcjonowania przemysłu objęły na terenach okupacji niemieckiej i austriackiej ok. 80 proc. infrastruktury. Jednak jeszcze przed początkiem ich okupacji wycofujący się Rosjanie wywieźli w głąb Rosji ponad 150 fabryk. Spalili także na terenie zaboru austriackiego ponad 300 szybów naftowych. Rosjanie deportowali w głąb swojego terytorium tysiące Polaków – głównie robotników – potrzebnych im w gospodarce oraz dużą część niemieckich kolonistów uprawiających ziemię.

Trzeba także pamiętać o zwykłych dla czasów wojennych zniszczeniach takich jak: niszczenie linii kolejowych, dworców, domów w miastach (vide zniszczenie Kalisza przez wojska niemieckie) i wsiach. Właściwie bez większych strat wyszły obronną ręką jedynie ziemie zaboru pruskiego. Tam po prostu działania wojenne praktycznie się nie toczyły.

Całościowo spoglądając, skala zniszczeń ziem polskich była olbrzymia i jej ślady były widoczne przez długą część okresu międzywojennego.

II RP składała się z regionów będących na bardzo różnym poziomie rozwoju. Czy w ciągu 20 lat niepodległości te dysproporcje zmniejszały się, czy pozostawały na niezmienionym poziomie?

Polska międzywojenna to był kraj wielkich kontrastów. Z jednej strony „okna wystawowe" II RP, tj. polska część Górnego Śląska, województwo poznańskie i pomorskie, a z drugiej strony bardzo ubogie Polesie.

Procesom modernizacyjnym nie sprzyjała światowa koniunktura, a właściwie jej brak. Okres międzywojenny nie sprzyjał szybkiemu rozwojowi gospodarczemu. Olbrzymie były straty demograficzne osób w wieku produkcyjnym. Brytyjczycy szacowali, że stracili w okopach I wojny całe pokolenie młodych ludzi. Podobnie było we Francji. Nie powrócono również do zasad liberalizmu gospodarczego, jaki panował na świecie do 1914 r. Z reguł światowej gry rynkowej wypadł olbrzymi rynek rosyjski mający do 1914 r. bardzo duży wpływ na rozwój gospodarczy w Europie. Poprzez powstanie wielu nowych państw zostały

eprasa.pl fca/cc1382

także przerwane dotychczasowe powiązania ekonomiczne i utracono rynki zbytu. Był to czas transformacji i tworzenia się nowych więzi. A jest to, jak wiadomo, proces bardzo długi i powolny. Ludzie jednak żyją tu i teraz i nie chcą czekać na polepszenie swojego losu lub ich potomków. Stąd bardzo szybko zaczęto się rozglądać za przywódcami, którzy zapewnią ład, porządek i przede wszystkim pracę, nawet kosztem wolności i demokracji. Nieprzypadkowo już w 1922 r. taki autorytarny reżim doszedł do władzy we Włoszech. W kolejnych latach, aż do końca lat 30., świat demokratyczny stale się kurczył.



Zabudowania gospodarcze na Górnym Śląsku

Społeczeństwo w okresie XX-lecia międzywojennego konsumowało niewiele. Chłopi niemal nie kupowali produktów przemysłowych. Czy podejmowano próby przełamania tak wielkiego ograniczenia ówczesnej gospodarki?

Sytuacja chłopów była faktycznie bardzo trudna i wynikała przede wszystkim z niedostatku ziemi, przeludnienia wsi i braku możliwości odpływu nadwyżek siły roboczej do miast bądź poza granice państwa. Kraje, które do 1914 r. przyjmowały każdą liczbę emigrantów, zamknęły swoje granice na masową emigrację. Na polskiej wsi panowało ukryte bezrobocie, a stosunki społeczne na terenach byłego zaboru rosyjskiego i austriackiego nie ulegały szybkiej zmianie. Podobnie było w miastach, zwłaszcza Kresów Wschodnich. Standardy zachodnie na wsi i w miastach (nowoczesne rolnictwo, dominacja Polaków we wszystkich grupach zawodowych) funkcjonowały przede wszystkim w Polsce zachodniej na terenie województw poznańskiego i pomorskiego. Również na terenie autonomicznego województwa śląskiego stale pogłębiał się proces modernizacji społecznej i zwiększania się polskiego stanu posiadania. Szczególnie to przyspieszyło po zamachu majowym, gdy wojewodą śląskim został Michał Grażyński.

Sytuacja zaczęła się zmieniać po 1935 r., gdy rozpoczął się boom gospodarczy związany z polityką ekonomiczną wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Polska zaczęła się szybko rozwijać, m.in. na podstawie planów gospodarczych przez niego przygotowanych: Czteroletniego Planu Inwestycyjnego (1936–1940) i nowego – niezrealizowanego 15-letniego (1939–1954). Trzeba jednak dodać, że ogromny wysiłek inwestycyjny, jaki państwo włożyło w tym czasie przede wszystkim w budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego i dalszą rozbudowę Gdyni, był zaledwie początkiem potrzebnych zmian w polskiej gospodarce. Problemów przeludnienia wsi i znacznego bezrobocia nie udało się rozwiązać do chwili wybuchu wojny.

Czy państwo polskie dbało o zachowanie równowagi budżetowej? Skąd pozyskiwano kapitał na inwestycje?

Do czasów wprowadzenia reformy walutowej Władysława Grabskiego trudno właściwie mówić o długofalowej polityce monetarnej mającej na celu równowagę budżetową. Był to przecież czas tworzenia państwa i jego struktur, odbudowy zniszczeń powojennych i walk o granice. Były to czynniki, które zawsze generują olbrzymie koszty budżetowe. Kapitał w tym czasie pochodził w głównej mierze z drukowania polskiej marki – waluty obowiązującej w Polsce do czasu zastąpienia jej przez reformę Grabskiego złotym polskim.

Po wprowadzeniu złotego i ustaleniu jego zbyt wysokiej wartości względem innych walut zaczęły się problemy z polskim eksportem.

Fot. NAC x2

eprasa.pl/fcafcc1382



Bezrobotni w lokalu Funduszu Bezrobocia w Krakowie w kolejce po zasiłek

Towar polski stał się po prostu za drogi. Zaczęło się to zmieniać pod koniec 1925 r., gdy w związku z deficytem doszło do lekkiego załamania się polskiej waluty. Pojawiła się tzw. premia eksportowa związana z ponowną inflacją. Na dobrą sprawę waluta ustabilizowała się dopiero w 1927 r., kiedy ostatecznie urealniono kurs złotego i wygaszono źródła potencjalnej inflacji. Złoty pozostał odporny na działania inflacyjne aż do 1939 r.

W jaki sposób II Rzeczpospolita starała się nadrobić dystans gospodarczy dzielący ją od bardziej rozwiniętych państw europejskich? Czy to się udało?

W ocenie możliwości rozwoju gospodarczego II RP trzeba pamiętać, jaki był punkt wyjścia. Polska w chwili odzyskania niepodległości należała do grupy uboższych krajów europejskich. Poziom życia był wyższy np. w sąsiedniej Czechosłowacji. Czynniki, które ograniczały możliwości nadrobienia zapóźnień, wymieniłem już wcześniej. Zabrakło także dobrego klimatu politycznego. Ówczesna Europa była zupełnie innym kontynentem niż dziś. Był to zbiór państw rywalizujących z sobą, nielubiących się i ograniczających możliwości wzajemnego rozwoju za pomocą polityki celnej czy wojen handlowych. Warto o tym współcześnie pamiętać, gdyż dzisiejszy kontynent pod względem gospodarczym trochę przypomina ten sprzed 1914 r.

W roku 1926 w błyskawicznym tempie ruszyła budowa gdyńskiego portu. Jakie miało to znaczenie dla międzywojennej Polski?

Budowa portu i potem miasta w Gdyni została wymuszona przez ówczesną sytuację polityczną. Otrzymaliśmy dostęp do Bałtyku, ale bez Gdańska. Kontakty z Wolnym Miastem nie były najlepsze, niemniej aż do końca okresu międzywojennego Polska korzystała również z portu gdańskiego. Port w Gdyni był dla Polski oknem na świat i był po prostu niezbędny. Udowodnił to jego szybki rozwój, pod koniec lat 30. był to przecież najnowocześniejszy port nad Bałtykiem. Polacy byli dumni z tego miasta, które zachwycało każdego przyjezdnego nowoczesną, modernistyczną architekturą.

Kolejną przeszkodą i wyzwaniem dla polskiej gospodarki był wielki kryzys ekonomiczny, który przyszedł w 1929 r. Czy Polska była przygotowana do poradzenia sobie z negatywnymi skutkami tego zjawiska?

Kryzysy ekonomiczne trudno przewidzieć. Wielki kryzys był jednak najpoważniejszym do tej pory kataklizmem gospodarczym. Gospodarki USA czy Niemiec po prostu stanęły, pojawiło się masowe – nieznane do tej pory – bezrobocie. I nikt nie wiedział, kiedy nastąpi kres tej dekoniunktury. To jest przecież czas czterech lat, w Polsce nawet dłużej – mówi się o sześciu latach. Władze sanacyjne nie miały również specjalnego pomysłu na walkę z kryzysem. Czekano po prostu na wyjście z depresji najważniejszych światowych gospodarek. Pilnowano także, prowadząc wręcz politykę deflacyjną, stabilności złotego. Dało to bez wątpienia Kwiatkowskiemu możliwość dużych inwestycji państwowych i miliardowych wydatków ze środków budżetowych bez obaw o powrót inflacji.

Czy wielki kryzys miał jakieś pozytywne aspekty? Jak wpłynął na rozwój myśli ekonomicznej w Polsce?

Wydaje się, że obalił raz na zawsze mit o niewidzialnej ręce rynku. Wielu ekonomistów uważa, że pomoc państwa była wówczas na świecie potrzebna. Może wówczas gospodarka niemiecka wyszłaby z kryzysu i do władzy nigdy by nie doszła NSDAP. To jest oczywiście gdybanie. Ale kryzys z 2008 r. pokazał, że nikt już nie chciał czekać na niewidzialną rękę, tylko od razu uruchomiono pieniądze, pompując je w największe światowe gospodarki.

Sztandarowym projektem II RP była budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego. Było to największe osiągnięcie gospodarcze okresu międzywojnia?

Podobnie jak w przypadku Gdyni decyzja o jego budowie miała charakter polityczny. Chodziło o zbudowanie nowego centrum przemysłowego państwa z daleka od granic państw nam wówczas wrogich. Czynnik społeczny, który był również brany pod uwagę, to, że panowało w tamtym regionie wysokie bezrobocie. Był to również region zdominowany przez ludność polską, co miało ze względów bezpieczeństwa duże znaczenie. Budowle wybudowane w ramach COP w większości służą do dziś – po blisko 80 latach – polskiej gospodarce. To chyba najlepsza ocena trafności decyzji ekonomicznych naszych przodków.

eprasa.pl/fca/cc1382

Gdynia – polski Nowy Jork

Gdy w 1926 r. Eugeniusz Kwiatkowski został ministrem przemysłu i handlu, w amerykańskim wydaniu magazynu „National Geographic" pojawiło się zdjęcie plaży podpisane: „To tutaj Polska buduje swój własny Nowy Jork". Zdjęcie plaży wykonano właśnie w Gdyni

NAJPIERW BYŁO BAGNO

Gdynia jako miejscowość nie narodziła się w XX w., lecz o wiele wcześniej, bo już w dokumencie z 1253 r. czytamy o wiosce Gdina, należącej do parafii w Oksywiu. Średniowieczne przekazy mówią nam o tym, iż była to wieś rolniczo-rybacka, którą w 1382 r. podarował zakonowi kartuzów Jan z Różęcina. Wiemy, że kilka lat po bitwie pod Grunwaldem – w 1414 r. – przy obecnej ulicy Portowej powstała pierwsza w dziejach miejscowości karczma. Z kolei w 1429 r. połączono wsie Gdynia i Grabówek (współcześnie Grabówek jest dzielnicą Gdyni, historycznie to tam właśnie mieszkało najwięcej budujących port robotników).

W Gdyni znajdował się wtedy skromniutki port rybacki, jednak warto wskazać, iż pierwsza inicjatywa na rzecz budowy dużej przystani w tych okolicach nie powstała w XX w., ale znacznie wcześniej! Już hetman Koniecpolski w 1634 r. zaproponował królowi Władysławowi IV Wazie konstrukcję portu wojennego, który miał być bazą dla marynarki wojennej podczas wojen ze Szwedami. Plan przerwała przedwczesna śmierć króla. Idea nowoczesnego portu musiała czekać kolejne 300 lat. W owym okresie budowa portu w Gdyni była uzasadniona strategicznie i gospodarczo – miejsce było sprzyjające, zaś doświadczenia z wojen z Krzyżakami pokazały, że okrążający wieś gdyńską bagnisty teren utrudniałby zdobycie portu od strony lądu.

MIASTO ZRODZONE Z HANDLOWEJ WOJNY

W 1920 r. Polska znajdowała się w niełatwej sytuacji – wciąż trwała wojna z bolszewikami, kraj zaś podnosił się gospodarczo ze zniszczeń I wojny światowej. Gospodarczo nasze państwo, mimo wysiłków ekonomistów i przedsiębiorców, pozostawało słabe. Blisko połowa wolumenu polskiego handlu zagranicznego obejmowała wymianę z Niemcami.

Niemcy wciąż uznawały powstanie naszego kraju za akt bezprawny, zaog-



eprasa.pl/fca/cc1382

niała się sytuacja, jeśli chodzi o przynależność terytorialną części Pomorza i Wolnego Miasta Gdańska. Gdy w 1925 r. wygasła nałożona na Niemcy klauzula najwyższego uprzywilejowania na towary z krajów ententy (a więc i z Polski), sytuacja stała się jeszcze bardziej gorąca. W czerwcu tego roku zakończyło się zwolnienie z cła produktów z województwa śląskiego, głównie węgla. W połowie 1925 r. strona niemiecka wystosowała zaś wobec naszego odrodzonego kraju wiele roszczeń terytorialnych, zdecydowanie odrzuconych przez ówczesnego premiera (i wybitnego ekonomistę) Władysława Grabskiego.

Niemcy takiego właśnie ruchu się spodziewały (warunki postawione Polsce były wszak zaporowe) i tym samym relacje między naszymi krajami znalazły się w punkcie zwrotnym. Strona niemiecka jednostronnie wstrzymała import polskiego węgla ze Śląska, przyczyniając się do znacznych strat ekonomicznych słabej, dopiero odradzającej się gospodarki. Nie był to jednak koniec agresywnych ekonomicznie działań zachodniego sąsiada – Niemcy podniosły cła na polskie produkty i ustanowiły embargo na część towarów.

Polski rząd oczywiście nie pozostał dłużny i szybko nałożył cła na towary z Niemiec, na wiele produktów z tego kraju nałożono zakaz importu. Tak rozpoczęła się polsko-niemiecka wojna celna. Wojna, która w znacznym stopniu przyczyniła się do rozbudowy Gdyni.

Gdynia była niezbędna Polsce jako nowe okno na świat po tym, jak nasz kraj nie otrzymał dostępu do Gdańska i tamtejszego portu. Gdańsk będący Wolnym Miastem realnie znajdował się w orbicie niemieckiej i to niemiecki żywioł narodowy dominował w metropolii. Z tego powodu nasz kraj musiał znaleźć alternatywę, wojna celna z Niemcami tylko ugruntowała naszych włodarzy w tym, iż Polska, by się rozwijać, musi handlować, a by handlować, musi dysponować nowoczesnym portem.

Dlatego już w 1919 r. wybrano pierwszego polskiego wójta Gdyni, legendarnego Jana Radtkego. Dzięki przyznanemu Polsce na mocy traktatu wersalskiego nabrzeżu długości 140 km (nastąpiło to 10 lutego – ważna i symboliczna data dla Gdyni i Polski) prace nad portem ruszyły pełną parą.

Głównym projektantem portu był inżynier Tadeusz Wenda. Ten wybitny specjalista nie tylko stworzył koncepcję nowoczesną i praktyczną, lecz też korzystną z punktu widzenia budżetu państwa. Dość powiedzieć, że projekt Wendy był najnowocześniejszym w ówczesnej Europie, a port w Gdyni korzystał z rozwiązań dopiero w owym okresie testowanych. Inną niezwykle ważną dla Gdyni postacią był Eugeniusz Kwiatkowski, który stał się prawdziwym architektem idei budowy i rozwoju Gdyni po tym, jak w 1926 r. został ministrem przemysłu i handlu.

Miasto rozwijało się błyskawicznie – o ile w 1921 r. spis powszechny wykazał w Gdyni 1268 mieszkańców, o tyle już w 1926 r., gdy miejscowość otrzymała prawa miejskie, zarejestrowano 12 tys. mieszkańców. Budujące się miasto przyciągało niczym magnes – pamiętajmy, że Polska w owym okresie była w trudnej sytuacji gospodarczej po latach rabunkowej polityki zaborców i w wyniku zniszczeń I wojny światowej. Budowa portu w Gdyni dawała szansę dla wielu ludzi na nowe otwarcie i zdobycie zatrudnienia. Do miasta zjeżdżali więc zarówno robotnicy, jak i inżynierowie, ekonomiści, handlowcy, marynarze i specjaliści z rozmaitych dziedzin.

Już w 1923 r. nastąpiło otwarcie portu tymczasowego, a w sierpniu tego samego roku do Gdyni przybył pierwszy statek pełnomorski SS „Kentucky", pod francuską banderą. Z czasem powstał już normalny port towarowy, rybacki i pasażerski, pracę rozpoczęła także stocznia. Przełomem był rok 1930, kiedy uruchomiono regularną linię pasażerską Gdynia–Nowy Jork. Transatlantyki stały się symbolem Gdyni, a samo miasto – synonimem dynamicznego rozwoju naszego kraju, innowacyjnej myśli polskich inżynierów, a także ofiarności polskich robotników. Rok 1934 przyniósł kolejną dobrą wiadomość – Gdynia stała się największym portem na Bałtyku, a w roku 1936 według spisu powszechnego w Gdyni mieszkało już 83 tys. mieszkańców.

MODERNIZM, OTWARCIE NA ŚWIAT I NOWE ŻYCIORYSY

Gdynia nie była jedynie projektem ekonomicznym – miała być prawdziwie nowoczesnym miastem. Planiści mieli realnie wolną rękę w zarządzaniu rozkładem i topografią metropolii, z tego powodu zdecydowano się, by miasto wyrastało wokół portu. Także architektura budowli miała oddawać nowoczesny wymiar nowego polskiego miasta. Chodzi oczywiście o styl nazywany modernizmem, charakteryzujący się szlachetną prostotą, funkcjonalizmem i innowacyjnymi rozwiązaniami konstrukcyjnymi. Nic dziwnego, że styl ten (symbolicznie łączący też założenia, które przyświecały idei budowy Gdyni) stał się głównym wykorzystywanym w konstrukcji miasta. W mieście szybko powstawały eleganckie wille, pensjonaty, kamienice, a nawet portowe magazyny. Wielkie przeszklone powierzchnie, fantazyjne krzywizny, jak również charakterystyczne ściśle dla Gdyni okrągłe okna (nawiązujące do okrętowych bulajów), obłe lub ostre bryły budynków przypominające kadłuby statków czy nadbudówki kojarzące się z mostkami kapitańskimi sprawiły, iż styl ten dziś nazywany jest gdyńskim modernizmem.

Gdynia pozwoliła się wykazać nie tylko ekonomistom i architektom, lecz i zwykłym Polakom, którzy w mieście odnaleźli nowe życie. Jednym z nich był chociażby mój pradziadek Karol Galaszik, który jako młody robotnik przybył do Gdyni ze Śląska. Z kolei mój dziadek Kazimierz Bilkiewicz już po wojnie miał zaszczyt pracować z Eugeniuszem Kwiatkowskim.

Gdynia była więc nie tylko projektem gospodarczym, lecz wręcz cywilizacyjnym, który trwale i korzystnie zmienił oblicze Polski. Miasto stało się symbolem sukcesów II RP i polskiej myśli ekonomicznej oraz technicznej jako takiej. Warto o tym pamiętać, gdy myślimy o wielkich dokonaniach okresu międzywojennego.

Arkady Saulski

Fot. NAC

eprasa.pl fca/cc1382

Niewidzialna ręka czy ręka państwa?

XX-lecie międzywojenne w Polsce to czas polityki gospodarczej określanej jako etatyzm. W ówczesnym świecie ścierały się różne, niekiedy całkowicie przeciwstawne idee dotyczące udziału państwa w funkcjonowaniu rynku: od liberalizmu zwanego leseferyzmem, który postulował brak jakiegokolwiek ingerowania systemu państwowego w wolny rynek, propagowanego przez austriackiego ekonomistę Ludwiga von Misesa, po silny interwencjonizm państwowy, głoszący konieczność szerokiej aktywności państwa wobec niedoskonałego działania niewidzialnej ręki rynku, którego teoretykiem był Anglik John Maynard Keynes. II Rzeczpospolita, jak zresztą większość państw, z różnych powodów wybrała tę drugą opcję



Członkowie komisji konkursowej zebrani w sali konferencyjnej Banku Polskiego podczas wybierania projektów rysunkowych nowych banknotów, 31 marca 1925 r.

eprasa.pl/fcafcc1382

Po pierwsze, wojna na polskich ziemiach trwała jeszcze długo po zakończeniu I wojny światowej. Tym samym młode niepodległe państwo już na samym początku swojego istnienia musiało działać w warunkach gospodarki wojennej. Do tego dochodziła konieczność scalenia ziem trzech zaborów, pod którymi obowiązywały niekiedy zupełnie inne przepisy prawne regulujące sferę gospodarki i ekonomii. Uprzątnięcie tego prawnego bałaganu nie mogło się odbyć bez szerokiej obecności państwa w sferze ekonomii. Struktura społeczna również nie ułatwiała sprawy: znaczną większość społeczeństwa stanowili chłopi cierpiący na chroniczny głód ziemi, a wieś była przeludniona. Po drugie, musi-



Fot. NAC x3



Władysław Grabski

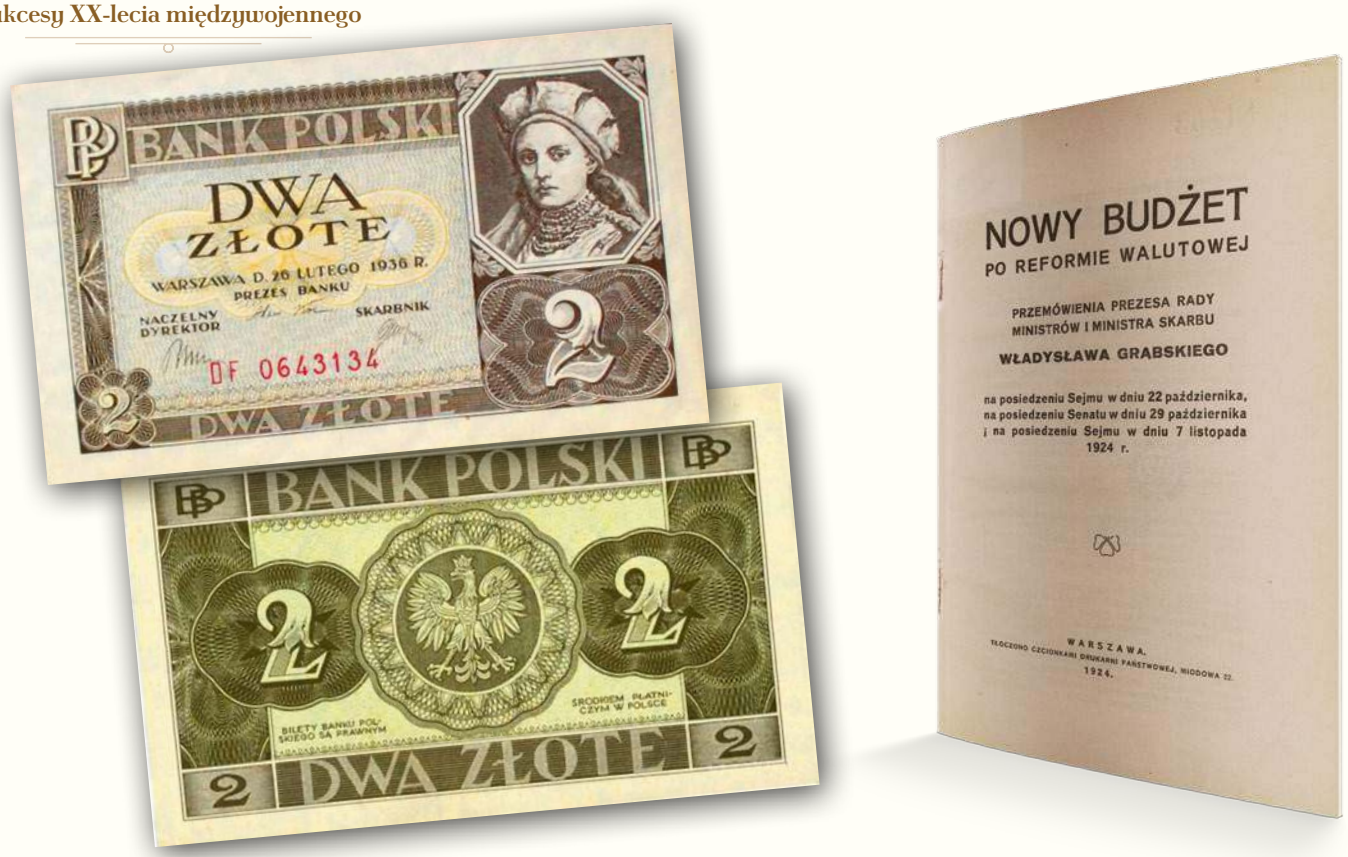
Potomek szlacheckiego rodu z Kujaw, otrzymał wszechstronne wykształcenie na francuskich uczelniach i prowadził szeroko zakrojoną działalność aktywizującą chłopów pod zaborem rosyjskim. Jako 30-latek wstąpił w szeregi endecji, w tym samym czasie trafił najpierw do rosyjskiego więzienia, a później jako poseł do Dumy. W czasie I wojny światowej działał w rozmaitych prorosyjsko zorientowanych komitetach narodowych, ostatecznie stracił złudzenia względem wschodniego sąsiada i został uwięziony w Modlinie przez Niemców. Po odzyskaniu niepodległości współtworzył Związek Ludowo-Narodowy i brał udział w konferencji pokojowej w Paryżu. Trafił do rządu jako minister skarbu, a przed Bitwą Warszawską przez miesiąc sam stał na czele gabinetu. Później był ministrem skarbu w rządzie Chjeno-Piasta, aż pod koniec 1923 r. utworzył rząd ekspertów i uzyskał od Sejmu pełnomocnictwa do naprawy finansów państwa na drodze dekretów. Do najważniejszych osiągnięć rządu Grabskiego należały reforma walutowa, położenie podwalin pod reformę rolną i podpisanie konkordatu z Watykanem. Polityczny chaos doprowadził do dymisji rządu w listopadzie 1925 r. Poświęcił się pracy naukowej i społecznej, nie tracił zainteresowania polepszeniem losu polskiej wsi. Zmarł na raka półtora roku przed wybuchem wojny.

Eugeniusz Kwiatkowski



Urodzony w Krakowie, młodość spędził we Lwowie, gdzie zapałał miłością do chemii i angażował się w patriotyczną działalność w organizacjach strzeleckich. Po okresie pracy na Politechnice Warszawskiej skierował swoje kroki do chemicznych zakładów w Chorzowie, gdzie poznał swego długoletniego współpracownika i późniejszego prezydenta Polski Ignacego Mościckiego. Sukcesy zawodowe doprowadziły go do stanowiska ministra przemysłu i handlu, które piastował do 1930 r. To właśnie on zdynamizował rozwój Gdyni jako polskiego okna na świat. Przez kolejne lata szefował jednemu z najnowocześniejszych zakładów w Europie – Państwowej Fabryce Związków Azotowych w Tarnowie-Mościcach. Po śmierci Józefa Piłsudskiego dołączył do obozu sanacyjnego i jako „człowiek prezydenta" Mościckiego był wicepremierem i ministrem skarbu. Jego sztandarowymi projektami były Centralny Okręg Przemysłowy i plan 15-letni na lata 1939–1954. Jako polityk należał do umiarkowanego skrzydła sanacji, jako ekonomista opowiadał się za interwencjonizmem państwowym. Wojnę spędził internowany w Rumunii, później współpracował z komunistycznymi władzami PRL, odbudowując gospodarkę morską. Po okresie przymusowej banicji na fali odwilży październikowej wrócił do pracy naukowej. Umarł w Krakowie, jego pogrzebowi przewodził kardynał Karol Wojtyła.

eprasa.pl fca/cc1382



my pamiętać, z jakich środowisk tworzyły się pierwsze niepodległe rządy i jaki był rodowód całego obozu piłsudczykowskiego – byli to wielcy patrioci, dla których państwo było wartością absolutnie nadrzędną, i jednocześnie dawni lub aktualni socjaliści, postulujący konieczność wspierania przez system całych grup społecznych. To połączenie nie mogło dać innego efektu niż właśnie etatyzm.

Po trzecie wreszcie, sytuacja ekonomiczna II RP była od początku co najmniej trudna, również ze względu na wojnę celną prowadzoną z Niemcami, a po wybuchu światowego wielkiego kryzysu w 1929 r., który w Polsce trwał dłużej niż gdzie indziej, stała się jeszcze cięższa. W trakcie globalnej recesji i po jej zakończeniu niemal na całym świecie państwa mocno ingerowały w gospodarkę, czego najgłośniejszym przykładem pozostaje amerykańska polityka New Deal prowadzona przez Franklina Delano Roosevelta. Nie inaczej radzono sobie z kryzysem w Polsce. W zasadzie jedynym krajem, którego ominęły skutki wielkiego kryzysu, był ZSRR. Ale tam aktywność państwa w sferze gospodarczej była przecież od czasów rewolucji bolszewickiej nieograniczona, a centralne planowanie i komunistyczny pragmatyzm w tym samym czasie, gdy cały świat zmagał się z gospodarczą zapaścią, doprowadzał do głodowej śmierci miliony Ukraińców.

II Rzeczpospolita nie była państwem, w którym łatwo było rozwijać własny biznes, a przerośnięty aparat biurokratyczny, zawiły system podatkowy i nadrzędna pozycja państwowych przedsiębiorstw zniechęcały do prowadzenia działalności gospodarczej. Ale musimy pamiętać, że kwestie te w dużej mierze uwarunkowane były obiektywnymi i zewnętrznymi czynnikami, z którymi przez całe dwie dekady międzywojenne musiały się mierzyć polskie władze. Był to czas trudny, ale jednocześnie pobudzający do wprowadzenia wielkich reform i podejmowania śmiałych wyzwań. Takim z pewnością była decyzja o budowie konkurencyjnego wobec Wolnego Miasta Gdańsk portu bałtyckiego, jakim miała się stać Gdynia za sprawą inżyniera Tadeusza Wendy. W kraju funkcjonowały wielkie spółki i fabryki – węglowy Skarboferm na Górnym Śląsku, paliwowy Polmin na południowych Kresach Wschodnich, włókiennicze zakłady Scheiblera i Grohmana w Łodzi, maszynowe zakłady Cegielskiego w Wielkopolsce, Państwowe Wytwórnie Uzbrojenia z siedzibą w Warszawie, lwowska gorzelnia Baczewskich czy ultranowoczesne chemiczne Zakłady Azotowe w Małopolsce.

Kolejnym przykładem światłej myśli ekonomicznej jest reforma skarbowa rządu Władysława Grabskiego z 1924 r., której głównym celem była walka z dewastującą gospodarkę hiperinflacją. Ceny rosły z dnia na dzień, pieniądze nie miały żadnej wartości, a ludzie nie mieli możliwości zakupu podstawowych produktów. Do najważniejszych elementów reformy Grabskiego należało wprowadzenie nowej waluty, złotego polskiego, oraz powołanie jedynego emitenta owego pieniądza, czyli Banku Polskiego. Jednocześnie powstał Bank Gospodarstwa Krajowego, którego głównym celem było wspieranie pożyczkami krajowych inwestorów. Na krótką metę reforma okazała się sukcesem, ale zaprzestanie importu węgla z Górnego Śląska przez Niem-

eprasa.pl fca/cc1382

Andrzej Wierzbicki



Młodość spędził w Warszawie, na studia wyjechał do prestiżowego Instytutu Technologicznego w Petersburgu. Działał w konspiracyjnym Związku Młodzieży Polskiej, ale jednocześnie dzięki swoim zdolnościom i pracowitości szybko zyskiwał zaufanie rosyjskich elit biznesowych. W przededniu I wojny światowej jako dyrektor Towarzystwa Przemysłowców Królestwa Polskiego wrócił do Warszawy, w trakcie wojny członek rad społecznych i gospodarczych, kojarzony z endecją. Przewodniczył polskiej delegacji ekonomicznej na konferencji pokojowej w Paryżu, przez lata był posłem na Sejm. Najbardziej znany jako założyciel pod koniec 1919 r. Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów „Lewiatan", którego nazwa przyjęła się z określenia grupy przedsiębiorców mianem biblijnego potwora przez socjalistyczny dziennik „Robotnik". Lewiatan i jego szef traktowani byli przez lewą stronę sceny politycznej jako wcielenie kapitalistycznego wyzysku, z kolei po śmierci Józefa Piłsudskiego obóz piłsudczykowski widział w organizacji agenturę światowej finansjery. Wierzbicki przez całe międzywojnie był przeciwnikiem etatyzmu i, szerzej, interwencjonizmu państwowego, samemu wierząc w gospodarczy liberalizm. Jako reprezentant polskiego biznesu walczył o jego wolność, zręcznie lobbując na jego rzecz wśród polityków. We wrześniu 1939 r. brał udział w obronie Warszawy, w czasie wojny dwukrotnie aresztowany przez Niemców. Po jej zakończeniu zajmował się gospodarką Ziem Odzyskanych, ale jako kapitalista szybko został usunięty w cień. Umarł w 1961 r.

Stefan Starzyński



Urodzony w Warszawie, szybko zaangażował się w patriotyczną działalność, za którą trafił do Cytadeli Warszawskiej. Później działał w Związku Strzeleckim. Podczas I wojny światowej żołnierz Legionów Polskich, następnie uczestnik wojny polsko-ukraińskiej i wojny polsko-bolszewickiej. Od 1924 r. działał w administracji gospodarczej. Po przewrocie majowym opublikował artykuł „Program rządu pracy w Polsce", uważany za ekonomiczny manifest obozu piłsudczykowskiego oparty na założeniach etatyzmu, i powołał do życia Pierwszą Brygadę Gospodarczą, która postulowała zwiększenie interwencjonizmu państwowego. Krytykowany przez ekonomicznych liberałów, pokładał gospodarcze nadzieje w czynnym udziale aparatu państwowego w rozwoju gospodarki. W 1934 r. mianowany prezydentem Warszawy i prezesem Związku Miast Polskich. Przez pięć lat w znacznym stopniu zmodernizował polską stolicę i stworzył ambitny plan dalszego rozwoju ekonomicznego Warszawy, przerwany wybuchem II wojny światowej. W obliczu niemieckiego natarcia nie opuścił miasta i mieszkańców, dodając im otuchy w swoich słynnych audycjach radiowych. Zamordowany przez Niemców najprawdopodobniej w przededniu świąt Bożego Narodzenia 1939 r.

cy, nieurodzaj i pustki w skarbie państwa sprawiły, że demony inflacji i bezrobocia szybko wróciły, a pośrednim efektem chaosu ekonomicznego i politycznego był późniejszy przewrót majowy.

Sukcesem była z pewnością budowa licznych połączeń kolejowych, w tym najważniejszego – magistrali węglowej powstałej pod okiem inżyniera Józefa Nowkuńskiego, łączącej Górny Śląsk z Gdynią, która pozwoliła na rozwój handlu zagranicznego, głównie w zakresie eksportu śląskiego węgla. Śląskie kopalnie działały wspólnie zrzeszone w Polskiej Konwencji Węglowej i korzystały z wydzielonych w Gdyni Basenów: Węglowego i Górniczego. W celu zwalczania skutków wielkiego kryzysu ówczesny wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski zainicjował pogłębienie państwowego interwencjonizmu poprzez utworzenie Centralnego Okręgu Przemysłowego. Na przedsięwzięcie, którego głównym celem był rozwój przemysłu ciężkiego w centralnej i południowej Polsce, państwo przeznaczało pod koniec lat 30. ponad połowę wydatków inwestycyjnych. Jeszcze pod koniec 1938 r. Kwiatkowski przedstawił 15-letni plan inwestycyjny, którego pierwszym etapem miało być intensywne rozbudowanie przemysłu obronnego. Jak wiemy, owe plany zostały obrócone w popiół.

II RP nie była krainą mlekiem i miodem płynącą. Życie i praca w warunkach międzywojennej Polski były wyzwaniem, a działania państwa nie zawsze to wyzwanie ułatwiały. Ciągła presja ekonomiczna ze strony sąsiadów i cykle koniunkturalne nie pozwalały krajowej gospodarce na rozwinięcie skrzydeł. Ale nawet jeśli wszystko zmierzałoby w lepszą stronę, II RP omijałyby światowe kryzysy, a politycy podejmowaliby same trafne decyzje ekonomiczne, nie pozwoliłoby to na uniknięcie największej traumy narodowej w dziejach. Mając z jednej strony III Rzeszę pod wodzą Adolfa Hitlera, a z drugiej Związek Radziecki rządzony przez Józefa Stalina, nawet najwyższy PKB nie pozwoliłby uniknąć katastrofy, jaką okazała się II wojna światowa. Być może Polacy broniliby się dłużej i skuteczniej, ale wobec nieokiełznanej przemocy z obu stron i braku pomocy ze strony sojuszników, rezultat nie mógł być pomyślny.

Michał Muzyczuk

Fot. NAC x4

50/0119/F

eprasa.pl fca/cc1382

Przystąp do Programu VITAY!



Do zgarnięcia:

KUPONY | RABATY | PREZENTY

Za paliwo i zakupy na stacji lub w Internecie!
Dla wszystkich z kartą lub aplikacją mobilną VITAY!
Sprawdź na vitay.pl

CLUB VITAY

ORLEN

eprasa.pl fcafcc1382

Czekoladowe rozmowy

W końcu fajny film zrobiłeś, tato – usłyszał trzy lata temu operator obrazu „Za niebieskimi drzwiami". Teraz do kin trafia „Dzień czekolady", kolejny polski tytuł, który zabiera dzieci i ich rodziców w fascynującą, ale też ważną podróż



„Dzień czekolady"

Fot. Mat. prasowe

eprasa.pl fcafcc1382



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Co zrobić w Dzień Dziecka? Wybrać się razem na „Dzień czekolady”, „Podróż za jeden uśmiech”, „Bliskie spotkania trzeciego stopnia”. Każda z tych opcji prowadzi do kina. Ale jeśli to kino robią tacy reżyserzy jak Jacek Piotr Bławut („Dzień czekolady”) czy Mariusz Palej („Za niebieskimi drzwiami”), to jest to przeżycie nie tylko filmowe. Pozwala na wspólny śmiech, niepokój, strach, nadzieję. Na podzielenie się radością i wyrażenie lęku. Na rozmowę lub przygotowanie pod nią gruntu. Na budowanie poczucia bezpieczeństwa i wzmacniane więzi. Nie tylko w ten jeden dzień w roku.

– „Dzień czekolady” to najmądrzejszy film, jaki możesz pokazać swojemu dziecku w tym roku – ocenia psycholog Maria Rotkiel. Czy jednak „najmądrzejszy” łączy się w tym przypadku także z określeniami: wciągający, fascynujący, intrygujący (i dla dzieci, i dla rodziców)? I czy polska produkcja, która trafi do kin tuż przed 1 czerwca, ma szansę konkurować z zagranicznymi realizacjami? A może konkurować nie musi?

Czekolada budzi dobre skojarzenia. Czasem przywołuje dziecięcą radość, niektórym może przypomina Juliette Binoche, a familijnie prowadzi np. do świata Willy'ego Wonki, który – zwłaszcza w Burtonowskiej wersji – daleki jest od czystej słodyczy. Podobnie jest w opowieści Jacka Piotra Bławuta, który swoim filmem chce wzbudzić refleksję, dać płaszczyznę do rozmowy: dziecku i dorosłemu. By jednak do nich dotrzeć, trzeba używać adekwatnych do dzisiejszego dnia środków wyrazu.

SENTYMENTALNIE

Zgadza się z tym Mariusz Palej, zauważając, że o ile dobra literatura się nie starzeje, o tyle najlepsze nawet kino starzeje się bardzo. Dawne filmy często okazują się zbyt archaiczne, by zainteresować młodego widza. Reżyser wspomina zaskoczenie, jakiego doświadczył, gdy podsunął synowi do obejrzenia „W pustyni i w puszczy”. Filmu – który tak pięknie zachował mu się w pamięci – nie dało się oglądać. Szybko go wyłączył, by nie zepsuć obrazu zapamiętanego dziecięcymi emocjami.

W miarę upływu lat dawne filmowe zauroczenia stają się coraz bardziej wyidealizowane. Na tworzonych listach najlepszych polskich filmów dla dzieci i młodzieży wciąż króluje „Akademia pana Kleksa” i „Podróż za jeden uśmiech”. Są też „Wakacje z duchami” i serie „Pan Samochodzik i templariusze”, filmy o Tolku Bananie, „Dziewczyna i chłopak”, „Niewiarygodne przygody Marka Piegusa” czy podwórkowi piłkarze z „Do przerwy 0:1”. Przypominają się emocje towarzyszące oglądaniu budzących strach „Przygód wesołego diabła” i ekranizacji „W pustyni i w puszczy” – tej z lat 70. ubiegłego wieku i z 2001 r. Starsze pokolenia wzruszają się na myśl o czarno-białych adaptacjach powieści Kornela Makuszyńskiego: „Awanturze o Basię”, „Szatanie z siódmej klasy”, ale też „Historii żółtej ciżemki”. Niektórym tkwią głęboko w pamięci „Szaleństwa Majki Skowron” czy sceny z „Motyli”. Młodsi pamiętają coraz częściej miażdżone przez krytykę ostatnie polskie produkcje, ale przede wszystkim hollywoodzkie przeboje.

WŁASNE HISTORIE

Obecność amerykańskiego kina jest też ważna w pokoleniowym doświadczeniu reżyserów, którzy od kilku lat próbują kręcić filmy dla młodego polskiego widza. Często przyznają, że wychowywali się na filmach Spielberga i Lucasa, opowieściach o japońskich potworach i na amerykańskiej animacji. Teraz czasem rozbijają głową mur, mierząc się w kinach z megaprodukcyjnymi superbohaterami i starając się opowiadać własne historie.

Tomasz Szafrański (rocznik 1977) przygodę z kinem dla młodego widza zaczynał od adaptacji książki Edmunda Niziurskiego „Klub Włóczykijów” (2015). Nie zachwycił krytyki, ale przyciągnął ponad 130 tys. osób, więc



„Za niebieskimi drzwiami”

w marcu tego roku mógł pokazać widzom kolejny film „Władcy przygód. Stąd do Oblivio". Szafrański uważa, że w kinie dziecięcym jest duży potencjał komercyjny. Może ono dostarczyć rozrywki na tym samym poziomie, co mocno reklamowane rodzime komedie, a bywa, że produkcje dla młodzieży są „bardziej wybuchowe, dynamiczne i zrobione z większą fantazją oraz poczuciem humoru".

Nie wszyscy są co do tego przekonani. Mariusz Palej (rocznik 1970) mówi: – Chcesz być niewidoczny, twórz kulturę dla dzieci.

Ale ten stan rzeczy powoli się zmienia. Także dzięki jego filmowi – „Za niebieskimi drzwiami" (2016). Ku zaskoczeniu kiniarzy i decydentów, wskutek szeptanej reklamy, obejrzało go 250 tys. osób. Spodobał się zarówno młodym widzom, jak i krytykom, pedagogom oraz psychologom. Sprzedał się też na wielu zagranicznych rynkach i zdobył 29 nagród na międzynarodowych festiwalach. Jego sukcesy otworzyły drogę następnym produkcjom (również kolejnemu filmowi Paleja – trwają właśnie zdjęcia do „Czarnego młyna").

Tymczasem rok 2017 przyniósł frekwencyjny sukces kryminalno-przygodowym „Tarapatom" Marty Karwowskiej (podniosły one poprzeczkę oglądalności do 319 tys.). W 2018 r. na festiwal do Gdyni zaproszony został „Dzień czekolady" Jacka Piotra Bławuta (rocznik 1978). Film zauważany też na innych festiwalach ma teraz okazję skonfrontować się z kinową widownią.

WARTOŚCI I EMOCJE

Wspomniana wcześniej psycholog Maria Rotkiel uważa, że „Dzień czekolady" to nie tylko „znakomita rozrywka, lecz także terapeutyczne kino, mówiące o wartościach i uwrażliwiające na emocje".

Co więc kryje się w baśniowej opowieści o Monice i Dawidzie, którzy trafiają do świata Pożeraczy Poniedziałków, Wtorków oraz kolejnych dni tygodnia, a ukrywający się w starym zegarze Skoczek Czasu chce od nich zapłaty w czekoladzie? W filmie, w którym ani razu nie pada słowo śmierć, a pewnych zdarzeń trzeba się domyślić, bohaterowie mierzą się z problem ostatecznego rozstania, pożegnania. Ich doświadczenie pozwala widzom na „przepracowanie" tego tematu.


„Aladyn"

Jacek P. Bławut podkreśla: – Rozmawianie o podobnych sprawach jest ważne, by nie doszło do tego, co zdarzyło się w „Dniu czekolady". Z braku kontaktu, nieumiejętności wsparcia dziecka, zwłaszcza gdy sami przeżywamy żałobę. Tymczasem naszym zadaniem jest wcześniejsze przygotowanie dzieci na to, co prędzej czy później przydarza się wszystkim. Każdy z nas traci bliskich ludzi.

Reżyser mówi, że ważne dla niego jest poruszanie w kinie trudnych tematów, ale podanych w sposób lekki i baśniowy. Używając języka młodego odbiorcy i sięgając do jego wyobraźni, wciąga widza w świat fantastyczny. – Wspaniałe, że można ten świat w kinie ożywić – mówi twórca, od czasów szkolnych (kiedy to odkrył literaturę iberoamerykańską) zafascynowany realizmem magicznym, „czymś, co jest na granicy dwóch światów, co się zaciera", ale też szeroko pojętą animacją, w tym japońską anime.

Bławut zwraca uwagę na dwa bardzo ważne dla niego aspekty: film powinien nieść w sobie refleksję, sprawiać, by widz (zarówno dziecięcy, jak i dorosły) mógł dzięki niemu coś poczuć, nad czymś się zastanowić. Jednocześnie, zamiast dawać odpowiedzi, film powinien prowokować do stawiania pytań. I pozostawać rozrywką dającą odbiorcy szansę na oderwanie się od rzeczywistości, zatopienie w inny świat.

BAWIĄC, UCZYĆ

W podobny sposób wydaje się myśleć o kinie twórca filmu „Za niebieskimi drzwiami", objętego patronatem przez fundację Ewy Błaszczyk AKogo?. – Z metodyki zuchowej (choć przygoda z harcerstwem z czasem rozwinęła się i na drużyny starszoharcerskie) przypomina mi się jedno hasło: bawiąc, uczyć. W filmowej recepturze alchemicznej z jednej strony widzę fantasy, plastykę, świat, który otwiera wyobraźnię, wychodzi poza realność, ale z drugiej strony tę część filmu traktuję jako pretekst do opowiedzenia czegoś ważnego. W taki sposób, by uruchamiało to i dzieci, i dorosłych (rodziców, dziadków, nauczycieli). By mieli o czym rozmawiać.

Palej, podobnie jak Bławut, odrzuca dosłowność. Wątek śpiączki pokazany na ekranie woli potraktować metaforycznie, jako stan oddzielenia – młodzi ludzie, dojrzewając, często czują się obcy, wyizolowani. Jednocześnie w warstwie dosłownej i przenośnej bardzo ważna w tym „stanie oddzielenia" jest obecność bliskich. – Chodzi o to, by dzieciaki poczuły, że jako rodzice zawsze będziemy je kochać, będziemy ich zapleczem – komentuje reżyser.

ZACZYTANI WIDZOWIE

„Za niebieskimi drzwiami", „Dzień czekolady" czy powstający właśnie „Czarny młyn" mają sporo atutów i szansę, by polskim produkcjom dla młodych

eprasa.pl fcafcc1382

widzów przywrócić znaczenie. Przypominając także, jak po drodze bywa literaturze i kinu.

Film Jacka Piotra Bławuta wchodzi co prawda na duże ekrany w niełatwym czasie i będzie musiał rywalizować m.in. z hollywoodzkim „Aladynem", ale ma coś w zanadrzu. Anna Onichimowska, do której książki (pod tym samym tytułem) sięgnął reżyser, to autorka kochana przez czytelników i doceniana przez krytyków. Magnesem są też zwiastuny filmu, zacierające granice realizmu i obiecujące ciekawe rozwiązania. Niejeden dorosły widz zauważy w nich imponującą obsadę epizodów: Tomasza Kota, Magdalenę Cielecką i obsypywanego aktorskimi nagrodami Dawida Ogrodnika, do którego stylizacji w nieoczekiwany sposób nawiązał... Will Smith, grający w „Aladynie" Dżina. W filmie grają też m.in. Katarzyny Zawadzka i Kwiatkowska oraz Witold Dębicki i Marek Bukowski. Rozpoznawalni dorośli partnerują głównym dziecięcym aktorom: Julii Odzimek i Leo Stubbsowi.

JASKÓŁKI NA EKRANIE

Książkowy „Dzień czekolady" został nagrodzony w I Konkursie Literackim im. Astrid Lindgren. „Za niebieskimi drzwiami" Mariusza Szczygielskiego wpisano na Listę Honorową IBBY, a „Czarny młyn" tego samego autora zdobył Grand Prix II Konkursu Literackiego im. Astrid Lindgren na książkę dla dzieci i młodzieży. W 2016 r. na podstawie skierowanych do młodszych dzieci książek: bestsellerowej „Kacperiady" Grzegorza Kasdepkego i znakomicie zgranych z warstwą plastyczną zabawnych „Wierszyków domowych" Michała Rusinka, powstały animowane serie.

Trochę to mało, gdy o potrzebnej, zarówno literaturze, jak i kinu, współpracy literackiej od tak dawna się mówi. I gdy polski rynek książki dziecięcej oraz młodzieżowej przeżywa boom, od dwóch dekad utrzymując znakomity poziom artystyczny. Efektów na dużą skalę wciąż jednak brak. Pozostają jaskółki, które – oby – uczyniły w końcu wiosnę. Nie tylko w sferze literatury.


„Władcy przygód. Stąd do Oblivio"

HISTORIE W REALIACH

Na razie – mimo priorytetowego programu w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej oraz przychylności widzów dla już zrealizowanych filmów – trwa w nurcie dla młodych wydłużony rozbieg.

Tymczasem suma doświadczeń – zarówno artystycznych, jak i produkcyjnych – zdobytych przy pierwszych filmach powinna ułatwić kolejne realizacje nie tylko wspomnianym wyżej reżyserom. Chociażby ich obecne portfolio z pewnością da im argumenty w rozmowach m.in. z zagranicznymi producentami. Takie rozmowy prowadzi już Jacek. P. Bławut.

Jednocześnie – na co zwraca uwagę Mariusz Palej – mimo szansy na producenckie wyjście w świat, warto osadzać kierowane do młodego widza produkcje w bliskich mu realiach. – Kiedyś słyszałem zdanie, że są dwa czynniki kulturowe, z którymi ludziom najłatwiej jest obcować: architektura i język, z którym na co dzień się stykamy. Język jest składową kina i jeśli ktoś ogląda wyłącznie produkcje anglojęzyczne, oswaja się z Timem Burtonem czy opowieściami o superbohaterach, i dopiero jako kilkunastolatek, dojrzewając do oferty skierowanej do dorosłej publiczności, spotyka się z filmem zanurzonym w naszą specyfikę kulturową, może się poczuć, jakby oglądał egzotyczną produkcję.

Dlatego „Czarny młyn" eksponuje polskie realia. Bynajmniej nie wielkomiejskie, ale osadzone w popegeerowskiej przestrzeni, do której przenika fantastyczny świat, by stać się tłem wielowarstwowej opowieści: o miłości łączącej rodzeństwo Iwa i Melę; o barierach wynikających z niepełnosprawności dziewczynki; o kluczu do czytania fantastycznego świata, który ma właśnie Mela, i o tym, jak pod wpływem różnych zdarzeń, zmienia się lokalna społeczność.

Sześciorgu młodym bohaterom partnerują w filmie: Magdalena Nieć, zarazem współautorka scenariusza, Marcin Dorociński i Janusz Chabior. Premiera zapowiadana jest na jesień 2020 r.

NOWE OPOWIEŚCI

Tymczasem w programie PISF, wspierającym produkcję dla dzieci i młodzieży, wśród projektów, którym przyznano dofinansowanie (nie jest to nigdy pełna kwota budżetu), znalazły się m.in. pełnometrażowe animacje: „Szlemiel" Macieja Wojtyszki i „Bazyliszek" Bartosza Kędzierskiego, oraz fabuły: „Skarbek" Tomasza Szafrańskiego, „Republika dzieci" Jana Jakuba Kolskiego, „Tarapaty 2" Marty Karwowskiej.

Jacek Piotr Bławut pracuje nad dwoma projektami według własnych scenariuszy. Spytany o literacko-filmowe marzenie, mówi o przeniesieniu na ekran „Oceanu na końcu drogi" Neila Gaimana. Jednej z najpiękniejszych, jego zdaniem, książek dla młodego czytelnika; z niezwykłym klimatem, choć chwilami przerażającej, wystawiającej odbiorcę na próbę. I zarazem bardzo filmowej. Takiej współczesnej alternatywy baśni braci Grimm. Niestety, prawa do książki zakupił już Tom Hanks.

– Mrok, tajemniczość i groza w książce czy na ekranie dzieciom się podobają i są im potrzebne do oswajania lęków – tłumaczy swój wybór Bławut. – Ale dzieci potrzebują w konfrontacji z tym mrokiem poczucia bezpieczeństwa, akceptacji, stabilności i przede wszystkim miłości, do której mogą się odwołać.

22/0419/F
eprasa.pl fcafcc1382

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



eprasa.pl fcafcc138

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Posłanie od Herlinga

Na stulecie urodzin Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (20 maja) TVP Kultura przywołała klejnot. Przedstawienie „Portret wenecki", według świeżo wtedy wydanego opowiadania pisarza, wystawiła w 1998 r. w Teatrze Telewizji Agnieszka Lipiec-Wróblewska. Reżyserka o dużej filologicznej wrażliwości znalazła idealny język teatralno-telewizyjny dla tej prozy. Po 21 latach ogląda się to na wstrzymanym oddechu.

Ale zacząć wypada od postaci autora, bardzo ważnego dla mojego pokolenia. Jego „Inny świat", o pobycie w łagrze sowieckim, to była lekcja nie tylko antykomunizmu, ale i człowieczeństwa. W latach 80. Herling, polityczny emigrant, uczył nas historycznej pamięci, ale też pryncypialnej postawy wobec aktualnego reżymu peerelowskiego. Trudno zapomnieć piękny, stanowczy język, jakim nawoływał nas, mnie, do sprzeciwu wobec Jaruzelskiego. W latach 90. upierał się przy pamięci nadal. Wbrew Michnikowi z jego pomysłem na relatywizację.

A zarazem po latach powinien być ciekawym przykładem dla obu stron plemiennej wojny w Polsce. Socjalista żydowskiego pochodzenia trwający przy najpiękniejszej wersji polskiego patriotyzmu to wyrzut sumienia dla upiększaczy Polski Ludowej. Ale też ta jego tożsamość, człowieka choćby krytycznego wobec polskiego Kościoła, powinna uczyć, że nie ma jednego modelu polskości.

Ta opowieść jest niesamowita. Żołnierz Andersa (czyli sam Gustaw) trafia po wojnie do Wenecji. Mieszka w zrujnowanym domku włoskiej hrabiny, która jest genialną kopistką tamtejszego malarstwa, a równocześnie matką czekającą na syna, który nie wrócił z wojny. Żołnierz zakochuje się w niej. O czym to jest? O miłości mężczyzny do kobiety, miłości beznadziejnej, ale też o miłości matczynej, jeszcze tragiczniejszej. O potędze malarstwa, ale nade wszystko o tajemnicy ludzkiej duszy, w której czai się wielkie zło.

Tak to przyrządziła Lipiec-Wróblewska, początkowo prawie leniwie, ze smakiem, z pięknymi widoczkami (na ile pozwala telewizyjny budżet), a potem z tragicznym spiętrzeniem akcji. Samo słowo jest tu równie ważne, jak dzianie się, ale może jeszcze ważniejsze stają się milczenie, cisza, niepokój.

A jest w tej kameralnej fabułce i lekcja historii. Przyzwyczailiśmy się lekceważyć Włochów z czasów II wojny światowej, Mussolini nie zrobił z nich wojowników, potem poddawali się całymi masami. Zapomnieliśmy, że były i inne Włochy, z lat 1943–1945 – okrutnej wojny domowej między faszystowską Republiką Salo zbudowaną pod protektoratem Niemców przez duce a antyfaszystowskimi partyzantami. Tam nie było operetkowych fryzjerów i śpiewaków, było za to dużo irracjonalnej zaciekłości. Herling nawiązuje do tych zdarzeń, patrząc na dokładkę z perspektywy człowieka przerażonego innymi okrucieństwami, tymi z jego własnych losów.

Pięknie to zostało opowiedziane, ale to nie jest piękno akademickie, ulizane. Jest w nim groza. Młodego Gustawa zagrał początkujący wtedy Piotr Adamczyk i zrobił to świetnie. Starego – Gustaw Holoubek. Mogła kogoś drażnić jego maniera naginania postaci do własnej osobowości, ale narratorem był przewybornym, mądrym.



Joanna Szczepkowska przestała już być młodziutką ślicznotką z dołeczkami. Stała się jako Contessa tragiczką pełną gębą. A poza tym Zofia Rysiówna, Mariusz Benoit, przez moment Bartosz Opania. Oglądałem ich wszystkich z podziwem, ale myślałem też o samym Herlingu. Zostawił nam ważne, choć niedopowiedziane posłanie.

Piotr Zaremba

Egzemplarz prasowy 1382

Konieczny z Moniuszką? Koniecznie!

Opromieniony entuzjastycznymi recenzjami po sukcesach w nowojorskiej Metropolitan Opera Tomasz Konieczny, światowej sławy bas-baryton, wykona w Warszawie pieśni Stanisława Moniuszki.

W Roku Moniuszki wydarzenie goni wydarzenie. Dopiero co skończył się X Międzynarodowy Konkurs Wokalny imienia ojca polskiej opery narodowej (wygrała rosyjska sopranistka Maria Motołygina), a już 8 czerwca w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej odbędzie się premiera „Halki" w wileńskiej dwuaktowej wersji z 1848 r. w reżyserii Agnieszki Glińskiej. Dwa dni wcześniej na tej samej scenie atrakcją będzie preludium: Moniuszki Śpiewnik Symfoniczny w interpretacji Tomasza Koniecznego z orkiestrą pod batutą Grzegorza Nowaka.



Adam Ciesielski

47-letni Konieczny karierę zaczynał od teatru i ekranu. Po studiach aktorskich w rodzinnej Łodzi zagrał m.in. w filmie Andrzeja Wajdy „Pierścionek z orłem w koronie". Studia wokalne w Warszawie i Dreźnie ujawniły jego talent śpiewaczy. Obdarzony energetycznym bas-barytonem debiutował w 1997 r. w Poznaniu. Dojrzewał w niemieckich teatrach operowych, by od lat błyszczeć na scenach Wiednia, Salzburga, Londynu, Chicago, Bayreuth. Tegoroczny debiut w nowojorskiej MET w partii Alberyka w „Złocie Renu" (role wagnerowskie należą do najwyżej cenionych w repertuarze Polaka) krytyka uznała za rewelację.

Artysta nie zapomina o krajowej publiczności, często można go słyszeć w stołecznym Teatrze Wielkim. W zeszłym roku m.in. podczas festiwalu Chopin i jego Europa dał tu recital, promujący album „Winterreise" z cyklem pieśni Franza Schuberta do wierszy Stanisława Barańczaka. Teraz będziemy oklaskiwać go znów – tym razem w pieśniach Stanisława Moniuszki w wersji symfonicznej.

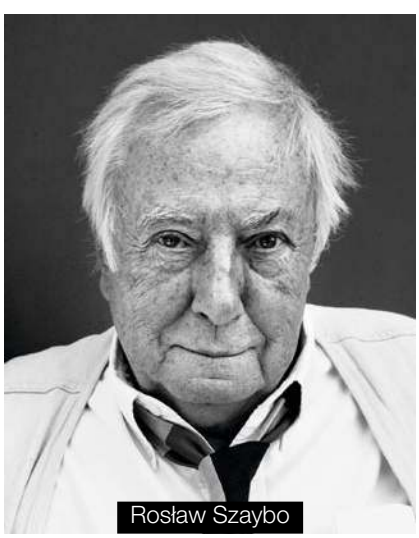
Moniuszki Śpiewnik Symfoniczny, Tomasz Konieczny, bas-baryton, Orkiestra Teatru Wielkiego – Opery Narodowej pod dyr. Grzegorza Nowaka, TW-ON, 6 czerwca 2019 r.

Odszedł geniusz okładek płytowych i plakatów

Żegnamy Rosława Szaybo – wybitnego grafika, międzynarodowej sławy autora okładek płytowych dla muzyków takich jak: Krzysztof Komeda, Elton John, Carlos Santana, Leonard Cohen, Janis Joplin, zespołów Judas Priest i The Clash.

Zmarł 21 maja 2019 r. w Warszawie w wieku 85 lat. Był jedną z najbardziej kreatywnych i barwnych postaci polskiej kultury ostatnich dziesięcioleci. Jego studia na stołecznej ASP (pracownie malarstwa Wojciecha Fangora i plakatu Henryka Tomaszewskiego) wypadły w czasach odwilży po koszmarze stalinizmu. Rosław – jak całe jego pokolenie – był fascynatem jazzu, uważanego za muzykę wolności. Nie tylko jej słuchał, ale też tworzył scenografię koncertów, okładki do serii „Polish Jazz". To on zaprojektował obwolutę legendarnego albumu kwintetu Krzysztofa Komedy „Astigmatic", wykorzystującą zdjęcie lidera wykonane przez Marka Karewicza.

Czołowy przedstawiciel polskiej szkoły plakatu doskonale radził sobie w filmie. Robił rewelacyjne afisze, był duszą towarzystwa, to jego skuter marki Lambretta zagrał w „Niewinnych czarodziejach" Andrzeja Wajdy. Ale młody zdolny szukał nowych wyzwań. W 1966 r. znalazł się w Londynie, gdzie nikt go nie znał. Zaczynał od malowania mieszkań, ale szybko się przebił: po dwóch latach został szefem graficznym wielkiej agencji reklamowej. Od 1972 do 1988 r. był dyrektorem kreatywnym w koncernie CBS. Zaprojektował kilkaset okładek, m.in. dla Boba Marleya, Fleetwood Mac, Simon & Garfunkel, The Clash. Także słynną obwolutę albumu „British Steel" zespołu Judas Priest, z palcami na żyletce.



Rosław Szaybo

Fot. Czesław Czapliński/FOTONOVA

W Anglii pracował też dla teatru, był cenionym wykładowcą uczelni artystycznych, gwiazdorem bohemy. W latach 90. wrócił do kraju, do 2015 r. prowadził pracownię na warszawskiej ASP. Jeszcze niedawno spotykaliśmy się na koncertach, imponował humorem i luzem. Niewielu już zostało dżentelmenów tej klasy.

Adam Ciesielski

eprasa.pl fcafcc1382



Skażenie

„Czarnobyl...” to pisany z tłumioną pasją raport o porzuceniu narodu przez przywódców, raport pełen zimnych, nieprzyjemnych rzeczowników w rodzaju „radionuklidów”, „dozymetrów” czy „milisiwertów”

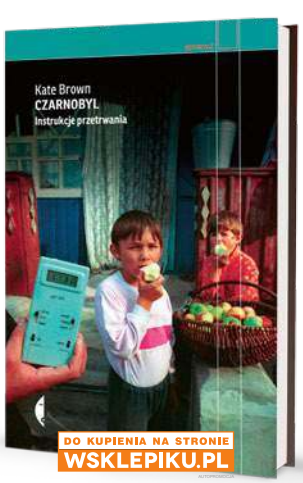
Wojciech Stanisławski

Ta katastrofa wstrząsnęła systemem, blokiem i światem, ale z polskiej perspektywy przeszła trochę bokiem, przynajmniej jeśli idzie o traumę zbiorową. Został słodkawy smak płynu Lugola w ustach i „Dzień gniewu” Kaczmarskiego z drażniącą jak katarynka melodią. Trucizn miejscowych było wszak pod dostatkiem, od azbestu po Hutę Siechnice. Sowietom i tak się nie wierzyło – ani ich propagandzie, ani pieriestrojce. Apokaliptyczne klimaty, żywe w pierwszych latach stanu wojennego, w 1986 r. wyraźnie już słabły, choć zdarzali się erudyci przypominający, że nazwa ukraińskiej elektrowni znaczy tyle, co piołun. Wspomnienie o wybuchu przydawało się jako poręczny wyrzut pod adresem ustroju, który wysyłał na pewną śmierć strażaków i skazywał wysyłane na pierwszomajowe pochody dzieci, czasem dodawało jeszcze jednej nuty goryczki wspomnieniom o dawnych, nieodwołalnie przemienionych Kresach. Tyle.

Zgroza Czarnobyla powraca pokolenie później: dla jednych zapalnikiem może być chwalony miniserial HBO, dla innych – narastające zagrożenie klimatyczne, któremu nie da się już tak po prostu zaprzeczyć. Lęk przed czymś wszechobecnym i niedostrzegalnym jest w końcu tej samej natury niezależnie od tego, czy nadciągają izotopy cezu i strontu, czy pospolity dwutlenek węgla. A jeśli dodać jeszcze scenografię pracującej dla HBO Karen Wakefield, z wszechobecną siwą mgłą i szarymi gumowymi płaszczami oddziałów ochrony radiologicznej – ni to feldgrau, ni to anioły śmierci o ciężkich, mokrych skrzydłach...

Kate Brown nie ima się podobnych chwytów: nawet jeśli opisuje proces umierania na chorobę popromienną, nie serwuje nam obrazów twarzy zalanych potem, strzępów skóry, rozpaczy małżonków. Jej opis brzmi jak fragment podręcznika („Namnażające się szybko komórki gruczołów jelitowych w układzie pokarmowym nie zastępowały komórek kosmków, tych małych, pędzelkowatych tworów w jelicie cienkim, które wchłaniają składniki odżywcze. Gdy starzejące się kosmki zaprzestawały działania, likwidatorzy cierpieli z niedożywienia”).

Takich fragmentów przyjdzie nam przeczytać więcej: podręczników anatomii patologicznej, fizyki jądrowej, agronomii i meteorologii. Lecz także budownictwa przemysłowego, zarządzania, ekonomiki przedsiębiorstwa i medycyny pracy. „Czarnobyl. Instrukcje przetrwania” to książka bez precedensu, jeśli idzie o rozmach badawczy, o gotowość autorki do przyswajania i przetwarzania wiedzy z różnych obszarów. To pisany z tłumioną pasją raport o porzuceniu narodu przez przywódców, raport pełen zimnych, nieprzyjemnych rzeczowników w rodzaju „radionuklidów”, „dozymetrów” czy „milisiwertów”, raport, w którym nie brakuje współczucia, ale więcej jest gniewu. I tylko czasem, rzadko błyśnie fraza („Samochody pomknęły ku ogarniętemu płomieniami blokowi, który roztaczał dziwny, lazurowy blask, i znalazły się na upiornie cichym miejscu katastrofy. Nie działały dzwonki alarmowe ani telefony. Rozsiane grudy płonącego grafitu były niczym konstelacje nieszczęścia”) dowodząca, że autorkę zajmowało kiedyś ładne pisanie, a potem postanowiła zwrócić się ku sprawom ważniejszym.



Kate Brown, „Czarnobyl. Instrukcje przetrwania”, przełożył Tomasz S. Gałązka, Wydawnictwo Czarne, 2019

Praca Brown to połączenie reportażu i raportu, wielopłaszczyznowy zapis reakcji na katastrofę w Czarnobylu, prób przeciwdziałania jej skutkom podejmowanych przez państwo i społeczeństwo radzieckie. Państwo? Historyczka z University of Maryland jakby mimochodem dowodzi prawdy, której nie udało się obronić żadnemu z utytułowanych wyznawców „szkoły rewizjonistycznej”: rzeczywiście, ZSRS w roku 1986 nie był państwem podręcznikowo totalitarnym. Był państwem głęboko represyjnym, centralnie sterowanym, skrępowanym obsesją tajności i rytualnym wzorami zachowań, o zerowej podmiotowości poszczególnych obywateli i znikomej zdolności do elastycznego reagowania na wydarze-

eprasa.pl fcafcc1382

nia wykraczające poza rutynę. Był przy tym, dodajmy, państwem zacofanym technicznie, niewydolnym i pozbawionym rezerw. A zarazem nie sposób mówić o „totalitaryzmie" w znaczeniu piramidy władzy, skoro Brown ukazuje konflikty interesów rozgrywające się na wielu szczeblach, z nieoczywistym wynikiem: uderzająca jest na przykład konsekwencja, z jaką przed bezsensownymi decyzjami Moskwy broniły mieszkańców władze sowieckiej Ukrainy, na czele z pierwszym sekretarzem partii, uważanym do dziś za uosobienie breżniewowskiej nomenklatury Wołodymyrem Szczerbyckim.

Brown potrafi ukazać tę złożoność zjawisk – interakcje służb medycznych i wywiadu, władz resortowych i centralnych – pracując na niesłychanie różnorodnym materiale źródłowym: aktach lekarskich i kołchozowych, danych statystycznych i stenogramach obrad, rozporządzeniach i listach, cudem wydobywanych z lokalnych archiwów. Gra, jaką podjęli działający w pojedynkę, ale dążący do tego samego fizycy, lekarze wiejscy i niepozbawieni sumienia aparatczycy, dawała szansę na lokalny sukces. Na większą skalę nie sposób było jednak wygrać z promieniowaniem, którego dalekosiężnych skutków wciąż nie potrafiono oszacować, i z równoczesną zapaścią państwa. W „Instrukcjach przetrwania" nie brakuje opisów decyzji zbrodniczych, jak wywołanie opadów, za których sprawą zabójczy pył opadł na wsie i miasta południowej Białorusi, nie dolatując do Moskwy. Inne posunięcia władz świadczą o skrajnym braku wyobraźni połączonym ze skąpstwem: po tym, jak zarządzono ubój 50 tys. chorych zwierząt, rozesłano je po licznych fabrykach z poleceniem dalszego przerobu: wełnę do Czernihowa, mięso do Żytomierza...

Mimo że „Instrukcje przetrwania" są tak precyzyjne i chłodne, zapis katastrofy ożywi w nas myślenie o Czarnobylu w kategoriach mitycznej opowieści o ukaranej pysze. Skaza promieniotwórcza w książce Brown jest jak okrutny dar króla Midasa: przenosi się wraz z dotykiem. Wszelkie, najbardziej desperackie próby oczyszczenia (zdejmowanie warstwy napromieniowanej ziemi, mycie skażonych aut i domów, spalanie chorych drzew) tylko rozprzestrzeniają zagrożenie. Otoczony lazurowym blaskiem anioł śmierci wędruje od drzwi do drzwi, dziesiątkując kraj, którego władcy ogarnięci zostali żądzą zysku (i realizacji planu) za wszelką cenę.

Świadek, posłaniec



Wojciech Chmielewski, „Magiczne światło miasta", Wydawnictwo Arcana, 2019

Gdyby zatrudnić do tej roboty policyjnego profilera (modny zawód!), od ręki wymieniłby charakterystyczne rysy bohatera tych opowiadań: wszedł już solidnie w wiek średni, życie mija mu w III RP, ale ukształtowały go lata 80.: tamte emocje, melodie, liceum ciągle potrafią go poruszyć, jakby położył dłoń na sterczącym gwoździu. Z tamtych czasów ma też kanciastą chłopackość: już nie kozak z Woli czy Pragi, jeszcze nie śmieszek ze Zbawixu. Raczej cytrynówka niż kreska, raczej dżinsy niż tatuaż. Ale niedużo w nim tej zadzierzystości zostało, bo niesie w sobie oścień pospolitego nieszczęścia czy niespełnienia: zdrady, pustego domu, nieudanej miłości. Krąży, niby niespiesznie, ale gorączkowo, jak zwierzę uciekające przed swoją raną, od Trzech Krzyży do Reja, kojąco, kołysząco opowiada sobie własne życie, a czasem kulawy chodnik, podmuch wiatru sprawi, że znów, jak od trzepnięcia prądem, odezwie się pamięć: to może być nuta Marsalisa, skarga Hioba, zapomniane płótno Gersona albo płótno starego transparentu, który nie przyda się już nawet na bandaż.

Czytelnicy „Kawy u Doroty" lub „Najlepszej dentystki w Londynie" już dawno rozpoznali: jasne, to opowiadania Wojciecha Chmielewskiego. Tymi trasami, od ronda ONZ do Stawek, będą kiedyś chodzić entuzjaści spacerowników literackich, ci bohaterowie posłużą kiedyś do opisu znużonego pokolenia budowniczych wolnorynkowej Polski. Ale policyjny profiler skrzywi się, bo ciągle zbyt wielu, zbyt wiele pasuje do opisu: żółty tramwaj, głodny pies, pociemniały od kurzu podwieszany sufit, wakacje w Chorwacji? Tak żyją dziś wszyscy.

No właśnie. Doświadczając kolejnych tomów Chmielewskiego, nie przestaję powtarzać, że wierne i pokorne opisanie świata jest jedną z zasług jego prozy, która kiedyś, kiedy dawno osypią się seriale i kryminały, ocali dla nas zbyt jaskrawo oświetlone rzeźby w ogrodzie Saskim, duchotę samochodu bez klimy, placek po zbójnicku, krój bluzki, gazetowy spór, włos, proch. Ocalą więcej: odwagę jednych, skargę drugich.

Bohaterowie „Magicznego światła miasta", choć sami tego nie wiedzą, są z ubiegłego wieku, bo nie zadowala ich wiązka doznań. Ciągle, rozpaczliwie potrzebują „linearności", tego, by przypadki ich życia ułożyły się w jakiś kształt, zyskały sens, którego nie ma w umieraniu i rozstaniach. Chmielewski staje obok nich: z butelką wody z kiosku obok, z reklamówką, do której zbierze wszystkie rozsypane drobiazgi, z kartką, na której nakreśli szlak, przez nich niedostrzegany. Świadek, posłaniec, któremu nie wolno powiedzieć zbytecznego słowa.

eprasa.pl fcafcc1382

Adamski



VOD

Piękny finał

Bałem się tego powrotu. 13 lat po ostatnim odcinku „Deadwood" pojawił się film, który kończy wszystkie wątki jednego z najlepszych seriali w historii telewizji. Mogło się zakończyć jak zjazd absolwentów i sentymentalne the best of trzech sezonów z lat 2004–2006. David Milch dał nam jednak rasowy western, godny przełomu, jakim był „Deadwood" dekadę temu.

Leżące w Dakocie Południowej miasteczko Deadwood jest jedną z ikon Dzikiego Zachodu. To tutaj został zamordowany Dziki Bill Hickok. W tym zamieszkanym przez 1,5 tys. osób miasteczku spoczywają zwłoki kobiety rewolwerowca Calamity Jane. Do dziś stoi w Deadwood hotel należący do jednego z najsłynniejszych szeryfów Dzikiego Zachodu – Setha Bullocka. Swoje machlojki robił tu George Hearst, ojciec słynnego magnata prasowego Williama Hearsta. W czasie gorączki złota miasteczko było eldorado dla typów spod ciemnej gwiazdy. Rewolwerowcy, złodzieje, prostytutki, ale też przedstawiciele elit finansowych ze Wschodniego Wybrzeża stworzyły specyficzny mikrokosmos symbolizujący całą Amerykę. Milch doskonale do wszystko uchwycił.

Akcja „Deadwood. Film" rozgrywa się w 1889 r. Południowa Dakota ma zostać 40. stanem USA. W mieścinie pojawiają się pierwsze linie telefoniczne, a dotychczasowi władcy Deadwood muszą się pogodzić z nadciągającymi zmianami. Al Swearengen (Ian McShane) choruje i jest cieniem dawnego potężnego władcy z najsłynniejszego saloonu. Szeryf i teraz też kapitalista Seth Bullock (Timothy Olyphant) jest wciąż rozdarty między miłość do rodziny i do bogatej wdowy Almy (Molly Parker). Matką zostaje wyrwana z saloonu Ala Trixie (Paula Malcomson), która musi ukrywać tożsamość z powodu udziału w nieudanym zamachu na krwiożerczego biznesmena, a teraz senatora George'a Hearsta (Gerald McRaney). Hearst powraca, by dokończyć przejmowanie miasta i ostatecznie zemścić się na tych, którzy stanęli mu na drodze. Ginie Charlie Utter (również



postać historyczna, tu grana przez Daytona Callie), który nie chce mu sprzedać ziemi, co jednoczy całe miasto przeciwko mającemu immunitet senatorowi. Liczne retrospekcje, skumulowane, kultowe już powiedzonka Swearengena i powrót na dobrze znane nam ulice. Wszystko jest na swoim miejscu, ale istota filmu jest o wiele głębsza.

74-letni David Milch ogłosił niedługo przed premierą filmu wieńczącego dzieło jego życia, że cierpi na alzheimera. Czy stąd tyle w finale rozważań o kresie i potrzebie pogodzenia się z nieuniknionymi zmianami? Ten aspekt finału najmocniej porusza. Choroba powala ukochanego bohatera fanów serii. Postać Swearengena dała wielką sławę wybitnemu przecież, ale znanemu tylko w Wielkiej Brytanii, aktorowi Ianowi McShane'owi. Stworzył on wielowarstwową postać bandziora na miarę „The Sopranos", która w finale nabiera wyjątkowej głębi. „Deadwood" zawsze był opowieścią o Ameryce i uderzeniem w mitologię Dzikiego Zachodu. Bez cynizmu braci Coen, przewrotności Tarantino, ideologizacji westernu lat 70. i szaleństwa twórców spaghetti westernów. „Deadwood" to kawałek historii Ameryki, zrodzonej w grzechu i odkupieniu.

FILM I SERIAL DOSTĘPNE NA HBO GO

Książka

Zanussi prywatnie

W „Takim pięknym życiu. Portrecie Wojciecha Kilara" Barbara Gruszka-Zych w przenikliwy i piękny sposób pokazała twarz genialnego kompozytora. Tego samego, który napisał muzykę do prawie wszystkich filmów Krzysztofa Zanussiego. Ta pozycja jest więc swoistym sequelem. Równie szczerym, poruszającym i mądrym. Krzysztof Zanussi to jeden z ostatnich wielkich polskiego kina. Ikona i ostatni europejski apologeta chrześcijański w kinie. Kim byłby bez swojej żony Elżbiety? Jaki jest prywatnie? Co myśli na temat zachodniego świata pogrążonego w laicyzmie i zapominającego o swojej tożsamości, czym jest dla niego miłość i poświęcenie w związku? Ta książka to również zbiór mądrości pani Elżbiety, będącej podporą ikony polskiego kina. Tej części historii życia Zanussich nie znacie. Warto ją poznać.



„ŻYCIE RODZINNE ZANUSSICH. ROZMOWY Z ELŻBIETĄ I KRZYSZTOFEM"
BARBARA GRUSZKA-ZYCH, WYD. DZIAŁANIA WIZUALNE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl fcafcc1382

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



Kino

Zabili Babę Jagę i uciekła

Chad Stahelski stworzył arcydziełko kina akcji. Trylogia o Johnie Wicku, nazwanym przez rosyjskich mocodawców Babą Jagą, z każdą częścią jest lepsza, co jest fenomenem również w tak specyficznym gatunku kina jak action movie.

Chciał się John Wick (Keanu Reeves) wycofać z fachu najlepszego na rynku seryjnego mordercy. Udało mu się na krótko. Na raka umarła mu żona, a pazerny na jego mustanga synalek z rosyjskiej mafii (nieświadomy, z kim ma do czynienia) w napadzie zabił mu ukochanego psa. John Wick wyrżnął więc Rosjan panoszących się w Nowym Jorku. Z właściwą sobie gracją i umiłowaniem do gargantuicznej rozpierduchy. W „dwójce" Baba Jaga złamała jedną z zasad międzynarodowej korporacji morderców. Teraz jest więc ścigana przez wszystkich topowych zabójców świata. „John Wick przeciw wszystkim? Szanse są z grubsza wyrównane" – mówi grany przez zawsze fantastycznie zdystansowanego Iana McShane'a menedżer hotelu dla zabójców. Cytat godny złotej ery kopanego kina.

Prosta, przejrzysta akcja skupiona na archetypicznej, komiksowej postaci oraz przyciągające do ekranu mordobicie i strzelaniny to przepis na dobry film akcji. Ta trylogia ma to wszystko i wiele więcej. Rola Wicka jest doskonale skrojona pod Keanu Reevesa, umiejącego wykorzystywać urodę i uroczo drewniane aktorstwo do budowania kultowych postaci. Neo z „Matrixa" i Jonathan Wick to role, dzięki którym zapisze się w historii popkultury.

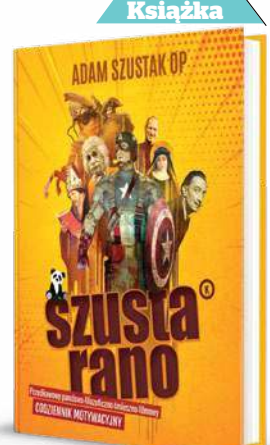
Chad Stahelski stworzył coś więcej niż kino akcji z wymyślną choreografią walk. On każdą scenę naparzanki z pietyzmem wymuskał. Pojedynek jadącego na koniu Wicka z motocyklistami, strzelanina pod wodą, nożowy pojedynek w muzeum białej broni czy mordobicie w nowojorskiej bibliotece publicznej z pomocą grubaśnych książek poderwały mnie z fotela i dały na facjacie (choć może w dziś w Polsce to słabe wyrażenie) banana. Neonowa dżungla odbijająca się w szklanych wieżowcach przełamana jest zupełnie odjechaną bitką na ulicach Casablanki (Halle Berry z zabójczymi psami to postać na miarę kina „Sin City" Millera/Rodrigueza), a potem zostaje podlana autoparodystyczną sceną na marokańskiej pustyni. Wszystko zakończone kolejnymi pomysłami na pokazanie najlepszych headshotów w historii kina.

Twórcy „Johna Wicka 3" inspirują się nie tylko baletem śmierci Johna Woo, lecz puszczają oko do fanów dolarowej trylogii Sergia Leone. Do tego składają hołd całej tradycji kina kung-fu. Nie jest już „John Wick" absurdalnie prostą opowieścią o wendecie jak „jedynka". Widać, że twórcy budują uniwersum, rozszerzając macki korporacji zabójców i pchając postać biegającego z prawosławnym krzyżem Wicka na filozoficzne tory. Nie zapominają jednak, że w tym filmie chodzi przede wszystkim o zabawę i choreograficzne popisy krwawego baletu. W końcu wyrażenie „zabili go i uciekł" wraca w wielkim stylu. Dzięki białoruskiej Babie Jadze.

„JOHN WICK 3" REŻ. CHAD STAHELSKI, DYSTR. MONOLITH

Katolicyzm i popkultura

Książka



Skoro jestem przy popkulturze, to muszę wspomnieć nową książkę polskiego duchownego, który w ewangelizacji nie boi się sięgać po kulturę popularną. Jego motywacyjny codziennik można oglądać na bijącym rekordy popularności kanale YouTube. Warto jednak wędrownego kaznodzieję i twórcę „Langusty na palmie" też poczytać. „Szusta rano" Adama Szustaka to codzienne porady dla chrześcijan zmagających się z pozoru przyziemnymi pytaniami. Szczęście, strach przed jutrem, odwaga, heroizm każdego dnia i posiadanie własnego zdania, miłosierdzie w codziennym życiu – banalne pytania i niebanalne odpowiedzi dominikanina są zamknięte w pięknie wydanej i mającej kapitalną okładkę (Kapitan Ameryka z Salvadorem Dalim!) książce. 365 kazań, gdzie obok Einsteina i Tomasza à Kempis pojawia się Dwayne „The Rock" Johnson i Rocky Balboa. Jednak to nie oni są tutaj bohaterami. Jest nim największy z herosów, przed którym w Dzień Sądu pokłonią się wszyscy Avengersi. To Jezus Chrystus.

O. ADAM SZUSTAK, „SZUSTA RANO. PRZEDKAWOWY PANDOWO-FILOZOFICZNO-ŚMIESZNO-FILMOWY CODZIENNIK MOTYWACYJNY", WYD. STACJA 7

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl fcafcc1382

Dwaj papieże w czasie próby



Z włoskim watykanistą ***Saverio Gaetą*** *rozmawia Grzegorz Górny*

Czarny scenariusz może zostać całkowicie lub częściowo przekreślony dzięki modlitwie czy pokucie. Nie wydaje się jednak, aby dziś ludzie, przynajmniej w świecie zachodnim, modlili się więcej niż kiedyś i mogli w ten sposób zapobiec nieszczęściom

Ostatnio opublikował pan książkę pt. „Proroctwa o dwóch papieżach". Skąd wziął się pomysł na napisanie tej pracy?

Saverio Gaeta: Od wielu lat studiuję wszystko, co dotyczy objawień świętych i mistyków katolickich zwłaszcza w ostatnim tysiącleciu, poczynając od św. Hildegardy z Bingen, a kończąc na czasach współczesnych. Kościół, uznając objawienia prywatne, zastrzega, że nie dodają one nic nowego do ewangelii, lecz raczej pomagają lepiej odczytywać przesłanie chrześcijańskie w kontekście otaczającej nas rzeczywistości. Objawienia, w których Maryja ostrzega nas przed różnymi problemami, to – zdaniem teologów – wyraz tego, jak czuła i kochająca matka chce nam pomóc w przezwyciężeniu trudności, które mogą nas spotkać, a co gorsza, mogą nas pokonać. Tak można rozumieć np. orędzie z Fatimy.

Wszystkie mistyczne wizje na przestrzeni wieków tworzą swoistą mozaikę składającą się z licznych elementów. Każdy kamyczek w tym panoramicznym fresku jest niezwykle istotny. Żeby jednak odczytać cały obraz, należy zebrać wszystkie jego części składowe. Na tym właśnie polega założenie mojej książki: na zestawieniu treści wielu objawień, które łączy jedno – wszystkie one dotyczą przyszłości Kościoła. Tytuł swej publikacji zaczerpnąłem z wizji niemieckiej mistyczki bł. Katarzyny Anny Emmerich, która żyła w latach 1774–1824. W nocy z 12 na 13 maja 1820 r. miała ona wizję, w której ujrzała „obraz dwóch kościołów i dwóch papieży". Dotarłem także do innych objawień prywatnych, w których pojawia się ten sam motyw: współistnienia w jednym czasie bezkonfliktowo dwóch namiestników Chrystusa. Dzisiaj, gdy mamy taką właśnie sytuację w Kościele, proroctwa te wydały mi się szczególnie aktualne.

Czy jednak rzeczywiście Benedykta XVI możemy obecnie traktować jako papieża?

Nie ma wątpliwości, że formalnie papieżem jest Franciszek. Jednak sposób rezygnacji Benedykta XVI oraz jego obecność w Watykanie stwarzają sytuację wyjątkową. Zauważmy, że Joseph Ratzinger postąpił inaczej niż Celestyn V, który abdykował ze Stolicy Apostolskiej w 1294 r. W odróżnieniu od tamtego Benedykt XVI pozostawił przy sobie swój herb papieski oraz strój pontyfikalny, czyli białą szatę. Nie opuścił też Rzymu. Nie powrócił do swego świeckiego imienia ani do godności kardynała, lecz nadal nosi tytuł papieża, co prawda papieża emeryta, ale nadal papieża. Wszyscy zwracają się zresztą do niego „Jego Świątobliwość", a więc w sposób przysługujący jedynie Ojcu Świę-

eprasa.pl fcafcc1382



Fot. Shutterstock

temu. Na pomniku św. Michała Archanioła odsłoniętym w 2013 r. w Ogrodach Watykańskich umieszczono napis: „W pierwszym roku pontyfikatu Franciszka, w ósmym roku pontyfikatu Benedykta XVI". W rocie ślubów Gwardii Szwajcarskiej jest napisane, że do zadań tej formacji należy ochrona jednego papieża. Podczas zaprzysiężenia gwardzistów eksponowane są jednak dwa herby papieskie. Co ciekawe, sam Franciszek na co dzień nosi pierścień biskupi, a nie pierścień papieski (pierścień Rybaka), który zakłada na rzadkie okazje. Częściej mówi też o sobie jak o biskupie Rzymu niż jak o papieżu. Sam – jak przyznaje – odnosi się do Benedykta jak do mądrego dziadka, do którego zawsze można zwrócić się o radę. To wszystko stwarza sytuację niespotykaną dotychczas w dziejach Kościoła. Do tej pory jeśli istniało naraz dwóch papieży, to zawsze się oni zwalczali, a z czasem tylko jeden z nich zostawał uznany za prawowitego, zaś drugi za antypapieża. Obecnie mamy natomiast do czynienia z dwoma papieżami, którzy żyją zgodnie w jednej zagrodzie Piotrowej. Przyznajmy, że to wszystko wygląda bardzo dziwnie. Prawdę mówiąc, nikt nie jest w stanie określić dziś znaczenia i roli, jaką odgrywa obecnie Benedykt XVI.

Mówi pan, że w dziejach mistycyzmu pojawiały się już objawienia dotyczące dwóch papieży. Które z nich jest najbardziej znane?

Najbardziej znana jest trzecia tajemnica fatimska, choć z drugiej strony pozostaje ona stosunkowo nieznana w tym aspekcie, ponieważ do tej pory nie zwracano należytej uwagi na obecny w niej motyw dwóch papieży.

To znaczy?

Opisując trzecią tajemnicę fatimską, siostra Łucja relacjonuje, że najpierw pastuszkowie widzieli papieża, potem zaś – jak wspomina – ujrzeli „coś przypominającego ludzi odbitych w lustrze, gdy przed nim przechodzą. Był to biskup ubrany na biało. Wydawało nam się, że chodzi o Ojca Świętego". Nie mamy co do tego absolutnej pewności, ale wydaje się, że chodzi tu o dwie różne osoby. Jest to zastanawiające, ponieważ mali wizjonerzy z Fatimy nigdy wcześniej w życiu nie widzieli biskupa, zaś biskupi nigdy nie chodzili ubrani na biało. Skąd więc dzieci wiedziały, że duchowny w bieli jest biskupem, a zarazem wydawało im się, choć nie były tego pewne, że może być papieżem? Jest bardzo zastanawiające, że w 2017 r. w drodze do Fatimy Franciszek powiedział, iż przybywa tam jako „biskup w bieli". Nawiązał tym samym – nie wiadomo, na ile świadomie, na ile nie – do trzeciej tajemnicy. Tego jednak, jakie jest rzeczywiście znaczenie tych dwóch postaci, nie wiemy jeszcze. Myślę, że przyszłość przyniesienie nam rozwiązanie tej zagadki.

Czyli mimo ujawnienia w 2000 r. trzeciej tajemnicy fatimskiej nadal pozostaje ona tajemnicą?

Czym innym jest treść tajemnicy, a czym innym jej interpretacja. Najbardziej rozpowszechnione wyjaśnienie mówi, że papieżem, którego widzieli pastuszkowie w swojej wizji, był Jan Paweł II. W 1981 r. padł on ofiarą zamachu, w którym omal nie zginął, ale został uratowany – jak sam wierzył – dzięki opiece Matki Bożej. Tymczasem w trzeciej tajemnicy fatimskiej mamy wyraźnie powiedziane, że papież zostanie zabity, a nie ranny, tak jak Karol Wojtyła. Istnieje natomiast inne uznane objawienie maryjne – z roku 1846 z La Salette – gdzie jest mowa o papieżu, który zostanie ciężko zraniony. Jeżeli mamy więc traktować przesłania Matki Bożej poważnie, to nie możemy ich interpretować dowolnie. Moim zdaniem chodzi więc o dwa różne wydarzenia: o zranienie papieża, co spotkało Jana Pawła II w 1981 r., oraz o zamordowanie papieża, co jeszcze nie nastąpiło. Dla wielu jest to perspektywa przerażająca, ale nie powinna ona nas lękać. Do tej pory w dziejach Kościoła było 18 papieży, którzy zostali zamordowani. Wizja zabicia Ojca Świętego to wyraźna wskazówka, że Kościół będzie w przyszłości prześladowany, co zresztą zgadza się z bardzo wieloma prywatnymi proroctwami. W licznych objawieniach Matka Boża zapowiada, że chrześcijan czeka męczeństwo. Intencją autentycznych przekazów mistycznych nie jest straszenie wyznawców Chrystusa, lecz raczej przygotowanie ich do nadchodzących wyzwań, dodanie odwagi oraz pomoc w wytrwaniu w wierze w obliczu trudnych doświadczeń.

Mówi pan, że interpretacja trzeciej tajemnicy fatimskiej, widząca w zabitym papieżu Jana Pawła II, jest nieprawdziwa. Ale autorem tej interpretacji był w 2000 r. w imieniu Stolicy Apostolskiej sam kard. Joseph Ratzinger.

Mamy dwa różne podejścia do tej sprawy kard. Ratzingera: jedno z roku 2000, a drugie z 2010. Kiedy jako papież przybył on do Portugalii, powiedział: „Łudziłby się ten, kto sądziłby,

eprasa.pl fcafcc1382

że prorocka misja Fatimy została zakończona". Widać więc, że w ciągu dziesięciu lat zmienił zdanie. Jeszcze w 2000 r. sprawa wydawała mu się zamknięta, potem jednak uznał, że objawienie fatimskie pozostaje nadal aktualne i nie kończy się na zamachu na Jana Pawła II oraz upadku komunizmu. Dlaczego Benedykt zmienił zdanie? Nie wiemy. Może jako papież zrozumiał coś, czego nie wiedział wcześniej? Możemy tylko snuć domysły.

Czy oznacza to, że Kościół ukrywa coś w sprawie trzeciej tajemnicy fatimskiej?

Moje wieloletnie studia upoważniają mnie do stwierdzenia, że Watykan ujawnił w całości trzecią tajemnicę fatimską. Wiadomo jednak, że siostra Łucja pozostawiła po sobie wiele innych pism, w tym zapiski z treścią objawień, jakich doświadczała podczas swego życia. Część z nich dotyczy przyszłości świata i Kościoła. Po śmierci mistyczki zakonnice z karmelu w Coimbrze opublikowały kilka listów siostry Łucji, w których jest mowa o kataklizmach, jakie dotkną świat: powodziach, trzęsieniach ziemi, wybuchach wulkanów, ogniu spadającym z nieba, którym może być np. jakaś asteroida itd. Cała pisemna spuścizna po niej jest badana w ramach trwającego właśnie procesu beatyfikacyjnego. Dopiero kiedy te zapiski zostaną opublikowane, będziemy mogli poznać jej inne wizje.

Czy oprócz tajemnicy fatimskiej są jeszcze inne objawienia, które mówią o dwóch papieżach?

Tak. Na pierwszy plan wysuwają się zwłaszcza dwa: wspomniana już wizja bł. Katarzyny Anny Emmerich z 1820 r. oraz współczesne objawienia Pedro Regisa z Anguery w Brazylii. W obu pojawia się obraz nie tylko dwóch papieży, lecz wręcz dwóch Kościołów oraz związanego z tym niebezpieczeństwa rozłamu. Do tej pory nie mieliśmy w Watykanie dwóch papieży, więc trudno było zinterpretować to proroctwo. Po roku 2013 stało się to łatwiejsze. Nie twierdzę, że trzecia tajemnica fatimska mówi o Benedykcie XVI i Franciszku. Nie twierdzę też, że groźba rozłamu, o której wspomiali Katarzyna Anna Emmerich i Pedro Regis, dotyczy Josepha Ratzingera i Jorge Maria Bergoglia. Prawdopodobnie obraz ten przedstawia wizję czekającej nas przyszłości, ale dziś staje się on dla nas bardziej zrozumiały niż kiedyś.

Czy jest coś, co łączy zebrane przez pana objawienia dotyczące Kościoła w przyszłości?

Jest kilka takich motywów. Pierwszy to walka wewnątrz Kościoła pomiędzy kardynałami i biskupami. Ten wątek pojawia się m.in. w wizjach Teresy Musco z lat 50. XX w. oraz w objawieniach maryjnych z 1973 r. z Akita w Japonii, które zostały oficjalnie uznane przez tamtejszego ordynariusza. Można powiedzieć, że z taką walką mamy już do czynienia w Kościele przynajmniej od roku 2014, gdy hierarchowie zaczęli publicznie występować jedni przeciwko drugim w sprawach rozumienia prawd wiary i moralności. Drugi motyw to ataki demoniczne na naturalną rodzinę, małżeństwo i macierzyństwo – to obserwujemy już od dawna. Trzeci wątek to apostazja na szczytach Kościoła. Nie wiadomo, jak wysoko sięgnie odstępstwo i herezja, ale na pewno dotyczyć będzie książąt Kościoła. Tego na szczęście dziś jeszcze w zauważalny sposób nie obserwujemy. W niektórych proroctwach powtarza się też niebezpieczeństwo pojawienia się w przyszłości papieża heretyka. Włoski mistyk Bruno Cornacchiola w 1988 r. miał wizję, po której zapisał: „Oby się to nigdy nie spełniło. To nazbyt bolesne i ufam, że Bóg nigdy nie dopuści, aby papież wyparł się wszystkich prawd wiary i postawił się w miejscu Boga".



Fot. PATRICK HERTZOG/AFP

W tych słowach nie ma pewności, lecz raczej zasygnalizowanie realnej groźby. Cechą autentycznych proroctw jest bowiem ich otwarty i warunkowy charakter. Czarny scenariusz może zostać całkowicie lub częściowo przekreślony dzięki modlitwie czy pokucie. Mówi o tym np. biblijna historia o mieszkańcach Niniwy, którzy posłuchali proroka Jonasza, nawrócili się i dzięki temu zapobiegli zniszczeniu swego miasta. Nie wydaje się jednak, aby dziś ludzie – przynajmniej w świecie zachodnim – modlili się więcej niż kiedyś i mogli w ten sposób zapobiec nieszczęściom.

Czy wspomniane proroctwa można nazwać apokaliptycznymi?

Z relacji widzących wynika, że ich objawienia dotyczą nie tyle czasów ostatecznych, ile czasu wielkiej próby, przez którą Kościół musi przejść. Wyznawcy Chrystusa doświadczą wyjątkowo wyrafinowanych ataków i zwiedzeń demonicznych, aby przez to wypróbowana została ich wiara. Wielu chrześcijan, nawet kapłanów, porzuci Kościół. Zarazem jednak będzie to czas oczyszczenia i odrodzenia wiary. Na końcu mamy obietnicę, że zwycięży Niepokalane Serce Maryi.

Proroctwa, które przestrzegają przed niebezpieczeństwami, nie są to po, by odsunąć te zagrożenia o kolejny rok, a więc dam jeszcze rok życia, ale po to, byśmy zwrócili się ku Bogu. Nie chodzi o to, by uniknąć problemów, ale o to, by mieć nieustanną świadomość Bożej obecności. Ostatecznym celem jest bowiem osiągnięcie zbawienia, a nie bezkonfliktowe życie. Kiedy więc słyszymy objawienia o prześladowaniach i powszechnej apostazji, nie powinniśmy się bać. Ich celem nie jest wzbudzenie w nas strachu, lecz przygotowanie nas do trudnych doświadczeń. Nie chodzi o to, byśmy ulegali lękowi, lecz rozpoznawali znaki czasów. Naszym zadaniem jest bowiem zachowanie wiary w czasach ucisku.

eprasa.pl fcafcc1382



Niemieckie sny o Europie 2019

Program Manfreda Webera, typowanego na nowego szefa Komisji Europejskiej, jest dla Polski skrajnie niebezpieczny



JAN PARYS

Historycy w różny sposób patrzą na dzieje naszego kontynentu w czasie ostatnich kilku pokoleń. Wielu historię Europy postrzega jako próbę zdominowania jej przez Niemcy. Okres po II wojnie światowej jest czasem pokoju, lecz w rzeczywistości prowadzi do tego samego. Pozycja Niemiec w Europie jest coraz silniejsza. Europa jest w tej chwili jak nigdy poddana wpływom niemieckim. Lecz to nie wszystko. Polityka RFN od paru lat jest coraz bardziej prorosyjska i coraz bardziej zdystansowana wobec USA. Niemcy stały się adwokatem Gazpromu, czyli przedsiębiorstwa będącego najważniejszym rosyjskim źródłem dewiz. W ub.r. to postawa Berlina wobec oskarżenia Gazpromu o praktyki monopolistyczne zdecydowała, że kraje środkowej Europy przegrały spór, a Gazprom wygrał kilka miliardów euro.

PLAN WEBERA

Obecnie Niemcy poprzez Europejską Partię Ludową proponują, by nowym szefem Komisji Europejskiej został Manfred Weber. Kandydat ten niedawno ogłosił swój program. Są tam m.in. punkty, które demaskują niemieckie zamiary. Jeden mówi o dążeniu do szybkiego wprowadzenia procedury głosowania większościowego w sprawach polityki zagranicznej, drugi mówi o wzmocnieniu mechanizmów kontroli praworządności. Warto się zastanowić, co to tak naprawdę oznacza? Bo same słowa to nie wszystko. Za nimi kryje się pewien polityczny plan urządzenia Europy przez polityków niemieckich na najbliższe kilkadziesiąt lat.

Na początku warto przypomnieć, że traktat nie przewiduje, by państwa członkowskie miały oddać swoje kompetencje w dziedzinie bezpieczeństwa, a ta dziedzina jest bez wątpienia częścią polityki zagranicznej. Pan Weber proponuje zatem, by naruszyć traktat i pozbawić państwa ich podstawowej kompetencji. Chce, by o bezpieczeństwie poszczególnych państw decydowali urzędnicy w Brukseli, którzy – jak pokazuje praktyka ostatnich lat – służą interesom Berlina. Co to oznacza dla Polski? To jest nie tylko ograbienie państwa polskiego z jego podstawowej funkcji. To oznacza, że Polska ma zależeć od niemieckiej polityki zagranicznej, która od lat jest po prostu prorosyjska. Tę prorosyjskość widać nie tylko na przykładzie wspierania Gazpromu, lecz także kiedy popatrzymy na niemieckie pomysły na obronność. Obrona Niemiec polega na redukcji ich potencjału wojskowego i lekceważeniu zagrożenia ze Wschodu. Dla Polski plan Webera oznacza, to, że będziemy jako państwo podporządkowani niemieckiej grze z Rosją. W tej dziedzinie, jak wiadomo mamy jak najgorsze doświadczenia od ponad 100 lat. Nigdy ze współpracy niemiecko-rosyjskiej dla nas nie wynikło nic dobrego. Zatem przeciwstawienie się wizji Webera i kandydaturze Webera to polska racja stanu, która powinna być ważniejsza niż partyjne sympatie.

Weber, jak większość polityków niemieckich, nie rozumie, że Europa potrzebuje elastyczności w postępowaniu Komisji. Przegłosowywanie państw członkowskich to bardzo groźny pomysł. Referendum, podczas którego przystępowaliśmy do UE, nie przewidywało niczego takiego. Weber proponuje procedurę, która ma służyć budowie federalnego superpaństwa, co szybko doprowadzi Unię do kryzysu. Nie ma mowy o tym, by np. Polska oddała urzędnikom z Brukseli prawo decyzji o uruchomieniu obrony własnego terytorium, o własnych zbrojeniach, o tym, jakie wojska sojusznicze w Polsce stacjonują i w co mają być wyposażone itp.

Tymczasem marzeniem Niemiec jest kontrolowanie Polski pod każdym względem. To pan Weber zimą tego roku przyjechał do naszego kraju i jako polityk niemiecki jawnie okazywał wsparcie dla konkretnej partii politycznej, co oznacza, że ingerował w proces wyborczy. Zatem należy on do tych bezczelnych polityków, którym się wydaje, że im wolno wszystko z tej racji, że są Niemcami. Czy to ma coś wspólnego z przestrzeganiem traktatu lub dobrych obyczajów? To są sygnały, których w Polsce nie możemy lekceważyć.

Po kilku latach władzy PiS Niemcy nadal nie chcą się pogodzić z tym, że społeczeństwo polskie wybiera nie tego, kogo sobie życzą politycy w Berlinie. Jak pokazały ostatnie lata, Niemcy chętnie wykorzystują mechanizmy unijne, by ingerować w nasz ustrój, np. w system sądownictwa. Nie mają żadnych zahamowań, by naginać traktat i pod pretekstem ochrony praworządności wspierać partie opozycyjne w Polsce. Zapowiadając kontrolowanie praworządności, Weber proponuje de facto, by ograniczać suwerenność państw Unii. Postawa TSUE wobec Polski w ostatnich latach jest przykładem zachowania niemerytorycznego i politycznego. Zatem nie można już wierzyć w bezstronność którejkolwiek unijnej instytucji. W tej sytuacji nie ma wyjścia, trzeba wykastrować biurokratów z ich ambicji do budowania imperium. Już obserwowaliśmy próby wypowiadania się przez urzędników Unii na temat tego, jak mamy rozumieć własną konstytucję i jak jej przestrzegać. Obserwowaliśmy, jak urzędnicy UE z powodów politycznych próbują złamać trójpodział władzy w Polsce i uczynić ze skorumpowanej władzy sądowniczej nadrzędną kastę kontrolującą system polityczny. Ze strony pana Webera nie usłyszeliśmy, że będzie przestrzegał litery traktatu. Mamy natomiast zapowiedź, że będzie ją łamał, naginał i wykorzystywał dla niemieckich interesów.

Jest oczywiście skrajną bezczelnością, by polityk z Niemiec obiecywał mieszkańcom Europy, że będzie im gwarantował praworządność. Gdyby Weber miał trochę przyzwoitości, to po prostu by na ten temat milczał. Bo państwo, które odpowiada za dwie wojny światowe i za ludobójstwo, nie powinno proponować, że odbierze innym krajom politykę zagraniczną lub że będzie chronić ich praworządność. Jest faktem, że wiele państw Unii już zgodziło się na niemiecki dyktat w Europie. Jednak nam w Polsce niemieckie porządki źle się kojarzą. A wspieranie interesów Rosji, co realizują politycy z Berlina, w najwyższym stopniu zagraża istnieniu naszej państwowości.

eprasa.pl fcafcc1382

Weber chce, by o bezpieczeństwie poszczególnych państw UE decydowali urzędnicy w Brukseli, którzy – jak pokazuje praktyka ostatnich lat – służą interesom Berlina

ALTERNATYWA

W Polsce jest wiele osób przekonanych, że nie ma dla niej lepszego miejsca na świecie niż Unia Europejska. I wypada zgodzić się z taką opinią. Lecz to nie oznacza, że mamy popierać kandydaturę pana Webera i jego program. Ten program jest dla Polski skrajnie niebezpieczny. Oznacza pozbawienie naszego państwa podstawowych atrybutów państwowości i naraża nasze międzynarodowe bezpieczeństwo. Polska może w UE wspierać innych, bardziej pragmatycznych kandydatów, którym obce są niemieckie egoizm i dążenia do hegemonii. Nie możemy się godzić na kandydatów, których program de facto przewiduje likwidację polskiej państwowości. Możliwa jest inna koncepcja UE, niż to przewiduje program Webera. Aby nikt nie twierdził, iż rzucam słowa bez pokrycia, przypomnę, jaką politykę zagraniczną w ostatnich latach prowadziła Polska. Moim zdaniem ani Polska, ani Europa nie są skazane na program Webera, bo jest alternatywa. Unia Europejska to dobry projekt, lecz bez pana Webera, bo ten nie rozumie współczesnych wyzwań, ignoruje bunt mieszkańców kontynentu i chce kontynuować linię Junckera i Timmermansa.

Naszą politykę międzynarodową warto przedstawiać, bo może ona być przykładem dla innych państw i dla samej UE. Zacząć należy od podkreślenia nowego etapu w naszej polityce zagranicznej, jaki mamy od końca 2015 r., od chwili kiedy PiS zaczęło odpowiadać za państwo, w tym politykę zagraniczną. Przypomnę, że polska polityka zagraniczna od ponad 100 lat, czyli od chwili opublikowania przez Romana Dmowskiego książki „Rosja Niemcy i kwestia polska", była więźniem zarysowanego wtedy dylematu. Mamy dwóch silniejszych sąsiadów i musimy wybrać, czyli sprzymierzyć się z jednym, by bronić się przed drugim, groźniejszym. Problem polega na tym, że każdy z tych sąsiadów pragnął państwo polskie albo zlikwidować, albo sobie podporządkować. Nie będę tu wymieniał nazwisk polityków, którzy próbowali oprzeć rozwój Polski na Związku Radzieckim lub Niemczech. Istotne jest to, że dyplomacja PiS odrzuciła ten przeklęty dylemat, bo postanowiła budować bezpieczeństwo kraju na sojuszu z USA. Przy czym dyplomacji polskiej w 2016 r. udało się nie tylko podpisać stosowne porozumienia, ale najważniejsze, że to, co zostało podpisane, wcielono w życie.

W 2017 r. zaczęli w Polsce stacjonować żołnierze NATO, w tym z USA, w liczbie ok. 5 tys. Takiej sytuacji nigdy dotychczas nie było. Te wojska nie tylko bronią nas przed rosyjskim



Kandydat Niemiec z ramienia Europejskiej Partii Ludowej na nowego szefa Komisji Europejskiej Manfred Weber

Fot. Shutterstock (×2)

zagrożeniem. Ich stacjonowanie w RP umacnia naszą pozycję w Europie, zwłaszcza wobec Niemiec i Francji. Jest to wielki sukces polskiej polityki zagranicznej, sukces na miarę historyczną, który umacnia bezpieczeństwo Polski. To jest wielka zasługa PiS, a osobiście ministra Witolda Waszczykowskiego, który był odpowiedzialny w imieniu rządu za negocjowanie dokumentów na szczyt NATO w Warszawie. W tej chwili trzeba jedynie rozwijać zapoczątkowaną z USA współpracę militarną i przekształcać ją we współpracę gospodarczą i polityczną.

POLSKA W EUROPIE

Warto także wskazać na proeuropejski charakter naszej polityki zagranicznej z okresu władzy PiS w MSZ. Opinie, jakoby nasza polityka była pasywna wobec Europy lub antyeuropejska, nie mają nic wspólnego z faktami. Polska nie stosowała weta w UE. Przypomnę, co się działo w ostatnich latach: nastąpiła rewitalizacja Grupy Wyszehradzkiej, powstało Trójmorze i pozyskano wsparcie USA dla tej idei, zbudowano grupę B9, czyli bukareszteńską dziewiątkę zainteresowaną obroną flanki wschodniej, Polska uczestniczy w formacie 16+1. To oznacza, że nasza dyplomacja jest bardzo aktywna na odcinku europejskim. W każdym z tych formatów nasz kraj ma najsilniejszy potencjał, w żadnym nie ma hegemona niemieckiego. Regularna kooperacja to ważne narzędzie naszej polityki w regionie, które umacnia także naszą pozycję w relacjach bilateralnych w Europie.

Polska w Radzie Europejskiej zawsze dążyła do budowania kompromisu i przestrzegania zapisów traktatu. Była natomiast często ofiarą urzędników Unii, którzy jawnie naruszali traktat. Ostatnie lata to spór z biurokratami UE o zachowanie przez Polskę suwerenności. Nie możemy dopuścić, by kolejna Komisja Europejska kontynuowała takie praktyki. I dlatego na kandydaturę Webera i jego program Polska zgodzić się nie może.

eprasa.pl fcafcc1382



Dyskusyjna biografia „Burego”

Fot. IPN



PIOTR GONTARCZYK

Kpt. Romuald Rajs ps. Bury to jedna z najgłośniejszych postaci powojennego podziemia. Dobrze więc, że powstała jego solidna biografia pióra Michała Ostapiuka. Szkoda tylko, że opis najbardziej kontrowersyjnych elementów tej historii budzi tyle wątpliwości

Zrekonstruowana w książce „Komendant »Bury«. Biografia kpt. Romualda Rajsa »Burego« 1913–1949” wojskowa droga bohatera budzi uznanie i szacunek. Przed wojną zawodowy podoficer Wojska Polskiego, który walczył we wrześniu 1939 r. do czasu rozbicia macierzystego pułku pod Tomaszowem Lubelskim. Znamienne, że jemu i jego żołnierzom broń odbierali nie czerwonoarmiści, tylko białoruska banda, jedna z wielu, które wystąpiły przeciwko Polsce i jej obrońcom. Nie uprzedzając wypadków, trzeba pamiętać, że ten uraz mógł w bohaterze pozostać.

Po kampanii wrześniowej Rajs przedostał się do Wilna, gdzie natychmiast przystąpił do konspiracji. Od 1943 r. walczył w partyzantce, rok później wziął udział w operacji „Ostra Brama”, w której Armia Krajowa wspólnie z Sowietami walczyły o Wilno. Wkrótce jednak sowiecki „sojusznik” zaczął aresztowania kadry oficerskiej AK i rozbroił jej oddziały. „Bury” rozpuścił żołnierzy, a sam przedostał się do nowej Polski i pod nazwiskiem Jerzy Góral wstąpił do WP. Ostatecznie trafił do Hajnówki, gdzie dowodził oddziałem ochrony lasów.

Wiosną 1945 r. w Białostockiem rozpoczęła działalność reaktywowana 5. Wileńska Brygada Armii Krajowej rtm. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Rajs i jego żołnierze zdezerterowali z ludowego WP i jako 2. szwadron weszli w skład reaktywowanej brygady, przystępując do walki z komunistami. Jednak po kilku miesiącach „Łupaszka” dostał rozkaz demobilizacji.

Ppor. „Bury” i jego żołnierze byli rozgoryczeni, bo przecież wcześniej byli „zalegalizowani” w ludowym WP, potem zeszli do podziemia, a teraz nie dostali istotnej pomocy, choć dla komunistów byli przecież poszukiwanymi dezerterami i „bandytami”. „Bury” zdecydował się na przejście w szeregi Narodowego

eprasa.pl fcafcc1382

Zjednoczenia Wojskowego (NZW), by walczyć dalej. Od 16 września 1946 r. pełnił funkcję szefa partyzantki Okręgu NZW Białystok. Jego oddział, nazywany 3. Wileńską Brygadą NZW (ponad 100 żołnierzy), był największym ugrupowaniem NZW na Białostocczyźnie i stoczył wiele walk z grupami operacyjnymi UB i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ale najbardziej znanym elementem działalności kpt. „Burego" była przeprowadzona w początkach 1946 r. pacyfikacja białoruskich wiosek.

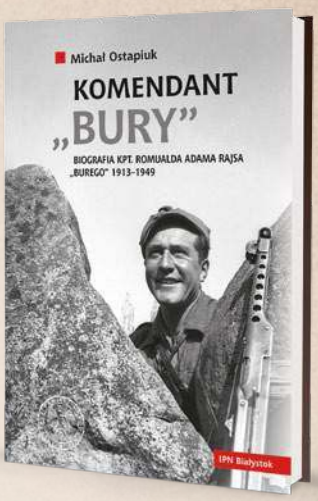
„SKOMUNIZOWANE" WSIE

Michał Ostapiuk dobrze zrekonstruował sytuację polityczną w powiecie bielskim po wojnie. W zachodniej części dominowała ludność katolicka i polska, po części szlachta zagrodowa. Ta wspierała polskie podziemie. „Komunizowała" wschodnia część powiatu – białoruska i prawosławna. Jeszcze w latach II Rzeczypospolitej stąd rekrutowali się działacze Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, tu nieraz z bronią w ręku występowano przeciwko II RP. W czasie okupacji sowieckiej znaczna część miejscowych wspierała okupanta, a i po wojnie polska partyzantka napotykała niechęć, niekiedy zbrojny opór. Stąd też rekrutowało się zaplecze kadrowe dla partii komunistycznej i bezpieki.

Jeszcze jesienią 1945 r. od lokalnego kierownictwa narodowego podziemia kpt. „Bury" otrzymał rozkaz dokonania pacyfikacji we wsiach wspierających komunistów. Do akcji przystąpił w końcu stycznia 1946 r.

W Łozicach zaczęły się zjeżdżać furmanki, których właściciele zostali wyznaczeni do odrobienia tzw. szarwarku. „Bury" zabrał ok. 40 najlepszych z nich i przez kilka następnych dni woziły one po okolicy członków jego oddziału (część z nich po drodze wymieniono). Przytłaczająca większość wozaków była Białorusinami.

Wedle wersji przedstawionej w książce żołnierze „Burego" mieli w tym czasie przedstawiać się wozakom jako oddział komunistycznego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, toteż ci nie orientowali się, że mają do czynienia z polskim podziemiem. Kpt. „Bury" zaczął przeprowadzać akcję przeciwko



„skomunizowanym" wsiom białoruskim, które miały zostać ukarane spaleniem dobytku. 29 stycznia 1946 r. z dymem poszła znaczna część wsi Zaleszany i Wólka Wygonowska. Zginęło kilkanaście osób, z czego część miała być kolaborantami. Kilka innych nie wykonało polecenia zebrania się w jednej z chałup i, ukrywając się w zakamarkach swoich gospodarstw, zginęło w pożarze. Już w lutym żołnierze kpt. „Burego" spacyfikowali Szpaki, Zanie i Końcowiznę. Szczególnie dramatyczny przebieg miały wydarzenia w Zaniach, gdzie powitani strzałami żołnierze NZW otworzyli ogień do kogo popadnie, zabijając 24 osoby, głównie kobiety i dzieci, i raniąc innych.

Wcześniej, 31 stycznia 1946 r., kpt. „Bury" wydał rozkaz rozstrzelania większości białoruskich furmanów, którzy do tej pory wozili jego żołnierzy po okolicy. W miejscowości Puchały Stare zastrzelono 30 mężczyzn, cywilów, którzy nie zostali pojmani w walce, jak na przykład funkcjonariusze UB czy MO. Łącznie cała akcja pochłonęła ponad 70 ofiar.

Sprawa pacyfikacji była ważnym elementem aktu oskarżenia przeciwko kpt. „Buremu", którego w 1949 r. skazano na karę śmierci. Wyrok wykonano.

PYTANIA I WĄTPLIWOŚCI

Opisy i interpretacje powyższych wydarzeń pióra Michała Ostapiuka budzą liczne wątpliwości. Wspomniany uzasadnia pacyfikacje znanym faktem, że wśród mieszkańców tych wsi byli komuniści i ludzie wrogo nastawieni do podziemia. Ale czy środki były adekwatne do zarzutów, zwłaszcza że zimą bez dachu nad głową i dobytku zostało wiele kobiet i dzieci? A czy wśród dorosłych, którym spalono dorobek życia, wszyscy na pewno popierali komunistów i gotowi byli zwalczać podziemie? Po tej akcji na pewno już tak.

Autor zdejmuje z kpt. „Burego" odpowiedzialność za śmierć kobiet i dzieci w Zaleszanach, wspomniani mieli bowiem nie wykonać rozkazów polskich partyzantów i ukryć się we własnych gospodarstwach przed ich podpaleniem. Tylko że jak się pali wieś, to trzeba brać pod uwagę, że takie rzeczy mogą się zdarzyć. O pacyfikacji w Zaniach autor pisze, że zginęli tam „także niewinni ludzie" (s. 233). Także? A może przede wszystkim?

Najwięcej wątpliwości budzi sprawa rozstrzelania 30 białoruskich wozaków. Tu funkcjonują w książce różne wątpliwe, czasem sprzeczne informacje. Najważniejsze jest twierdzenie autora, że przez cały ten czas 3. Wileńska Brygada NZW udawała oddział komunistycznego wojska, toteż furmani nie mieli oporów z wyznawaniem swoich poglądów: „Między wozakami a udającymi żołnierzy KBW partyzantami nastąpiło nawiązanie pewnych relacji. Furmani nie mieli powodu zatajać swoją ewentualną komunistyczną działalność" (s. 221). „Ewentualną". Dowodów brak. Autor wskazuje nieco dalej: „Bardzo ciekawe zeznanie – przed prokuratorem IPN – złożył Antoni Michalczuk „Szpak" (żołnierz 3. Brygady NZW) (ktoś mu to powiedział:) „»Bury« przeprowadził śledztwo, w wyniku którego dowiedział się, że wszyscy zatrzymani furmani współpracowali z komunistami i zostali za tę współpracę skazani na kary śmierci" (s. 222). Aż 30 komunistów i agentów opowiadających o swojej działalności? Wątpię. A świadek, który zrelacjonował tę historię jakieś 60 lat po wojnie, zna ją z drugiej ręki i nie jest osobą niezainteresowaną w sprawie (żołnierz podziemia). Drugą, podobną, relację Ostapiuk umieścił w książce za artykułem zasłużonych badaczy polskiego podziemia dr. Kazimierza Krajewskiego i Grzegorza Wąsowskiego z „Glaukopisu" (nr 33/2016). Ale znowu: ktoś coś gdzieś słyszał i opowiedział w rozmowie z autorami i to całkiem niedawno. Mało to wszystko wiarygodne. Niestety, używanie tak słabych źródeł do uzasadniania daleko idących hipotez zawsze może spotkać zarzut naginania historii.

eprasa.pl fcafcc1382

PARADA WĄTPLIWOŚCI

Sprawa jest poważna i nasuwa wiele wątpliwości. Czy rzeczywiście wozacy mogli przez te kilka dni nie domyślać się, że mają do czynienia z żołnierzami podziemia, a nie KBW, i chwalić się komunistycznymi poglądami? Wątpię, bo chłopi byli ostrożni, zwłaszcza w tak niepewnych czasach. Na marginesie dodam tylko, że w czasie wspomnianego rajdu żołnierze NZW walczyli z sowieckimi oddziałami w Hajnówce, spacyfikowali pierwsze wsie, a tak w ogóle to wozy ukryli w stodołach w obawie przez wykryciem przez samoloty (dlaczego tak miałaby postępować KBW?). Żaden z wozaków nie zorientował się, że to maskarada?

Niestety, w książce są dowody, że było przeciwnie. Jeden z wypuszczonych wozaków, Teodor Roszczenko, zeznał potem: „Bandyci w drodze nalegali na mnie, by wydać im partyjne osoby zamieszkałe we wsi Łozice. Na ich żądanie nikogo ze wsi Łozice nie wydałem". To czytamy na stronie 220 książki. Dwie strony dalej autor pisze: „Furmani byli wypytywani przez partyzantów między innymi na temat znanych im osób, które są nieprzychylnie ustosunkowane do władzy komunistycznej. Niektórzy z furmanów udzielali partyzantom takich informacji" (s. 222). Na jednej stronie partyzanci NZW udają komunistów i chłopi donoszą im na przeciwników władzy, a dwie strony wcześniej jest źródło wskazujące, że NZW-owcy jednak pytali o komunistów. Tu są oczywiste sprzeczności.

Książka Ostapiuka jest cenna i ważna. Podzielam na przykład opinię autora w sprawie orzeczenia końcowego prowadzonego w sprawie wspomnianych pacyfikacji przez prokuratorów IPN do 2005 r., iż mamy do czynienia z „akcją zmierzającą do wyniszczenia części tej grupy narodowej i religijnej, a zatem należące do zbrodni ludobójstwa". Nikt tu nikogo nie zamierzał „wyniszczać" – takie słowa prokuratorów to niedorzeczności, dalekie echo komunistycznej propagandy. Ale z drugiej strony trudno wszystko usprawiedliwiać walką o wolną Polskę. Szczególnie palenie wsi na zasadzie zbiorowej odpowiedzialności, kiedy padają dziesiątki niewinnych ofiar.

Jeszcze więcej wątpliwości budzi sprawa 30 wozaków, trochę zaplątanych w tę historię mężów i ojców, którzy 60 lat po wojnie zostali zdemaskowani jako – wedle różnych wersji – kolaboranci, donosiciele lub gotowi do kolaboracji. A kontekst wzajemnej wrogości Polaków i Białorusinów naprawdę nie odegrał tu żadnej roli? Bez znaczenia były opisane doświadczenia kpt. Rajsa z września 1939 r.? Szacunek budzi to, że wśród dziesiątków osób zabitych przez NZW Ostapiuk znalazł jednego „nieprawosławnego" (adwentystę). Byłby bardziej przekonujący, gdyby wśród ofiar wskazał choć jednego Polaka.

> Kpt. Romuald Rajs ps. Bury był patriotą i dzielnym żołnierzem. Ale w bardzo trudnej sytuacji w 1946 r. zrobił rzeczy trudne do obrony

BŁĄD TROCHĘ SYSTEMOWY

W zakończeniu książki Michał Ostapiuk próbuje narzucić interpretację działalności kpt. „Burego", powołując się na wyrok polskiego sądu, który w 1995 r. uniewinnił go od wszelkich zarzutów: „Wyrok Sądu Wojskowego należy traktować jako oficjalne stanowisko państwa polskiego" (s. 325). To mocno wybiórczy szacunek do systemu prawnego Polski, jeśli się drugą ręką kwestionuje prawomocne orzeczenie prokuratury IPN z 2005 r. Nadto przywołany wyrok traktuje o żołnierzach NZW, którzy: „W ich przekonaniu [...] dobra, które poświęcili, przedstawiały mniejszą wartość od dobra ratowanego, tj. niepodległości i niezależności kraju" (s. 324–325). „W ich przekonaniu" – niech będzie zgoda. Ale jak sprawę może dziś ocenić dysponujący większym dystansem do historii i szerszą perspektywą naukowiec? Czy „wybicie" 30 wozaków w Puchałach Starych rzeczywiście było „wybijaniem" nas na niepodległość?

Trochę zasłużenie książkę Ostapiuka spotkała krytyka. Inna rzecz, że jednostronna i na słabym poziomie. Doszło nawet do niepotrzebnego spięcia w dyplomatycznych stosunkach polsko-białoruskich. Biografię kpt. „Burego" wykorzystano też do rytualnych ataków na IPN po bezzasadnym, na skutek splotu niefortunnych wydarzeń, uznaniu książki za oficjalne stanowisko Instytutu. Ale takie ataki wydają się nieuniknione i wynikają z dwoistej natury tej instytucji: z jednej strony jest to urząd państwowy, z drugiej placówka naukowa, respektująca zasadę wolności badań i publikująca także te prace, które nie muszą być zgodne ze stanowiskiem IPN. Alternatywą byłaby cenzura i urzędowe regulowanie wizji historii.

Sądzę jednak, że w przypadku biografii kpt. „Burego" popełniono błąd polegający na nieprzemyślanym doborze recenzentów: dr. hab. Piotra Niwińskiego i Grzegorza Wąsowskiego. Obaj wprawdzie dysponują dużą wiedzą i dorobkiem, ale to jednak to samo środowisko badawcze i zbliżona wizja podziemia. W tym drugim wypadku mamy dodatkowo do czynienia z recenzentem kontrolującym trochę sam siebie, bo jak wspomniałem wcześniej, to współautor artykułu, w którym (powielił to potem Ostapiuk) wysunięto daleko idące wnioski na podstawie wątpliwego źródła. Dla własnego dobra Ostapiuk powinien był sięgnąć także po bardziej zdystansowane opinie, choćby znanych krytyków kpt. „Burego".

Kpt. Romuald Rajs „Bury" był patriotą i dzielnym żołnierzem. Ale w bardzo trudnej sytuacji w 1946 r. zrobił rzeczy trudne do obrony. Szacunek dla żołnierzy wyklętych to polski obowiązek, ale nie może on uzasadniać wątpliwych prób racjonalizacji – myślę o całej opisanej wyżej akcji podziemia narodowego z początków 1946 r. – katastrofalnych błędów i objawów daleko posuniętej politycznej krótkowzroczności.

Autor jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej

eprasa.pl fcafcc1382

Wygoda i prostota kluczem do rozwoju e-commerce

Coraz szybsze tempo życia powoduje, że szukamy rozwiązań, które ułatwią nam codzienność. Zamiast stać w kolejkach, fatygować się do sklepu i szukać miejsca parkingowego, wybieramy proste i wygodne rozwiązania

Korzystając z wolnej chwili, odpalamy smartfon, komputer czy tablet i w poszukiwaniu potrzebnej rzeczy przeglądamy wirtualną sieć handlową. Wzrost popularności zakupów w internecie stał się faktem, teraz przyszła pora na rewolucję w sferze usług kurierskich

Z raportu Interaktywnie.com wynika, że w tym roku Polacy wydadzą w e-sklepach 50 mld zł. Jak podają Ecommerce Europe i SAP, już 49 proc. Polaków robi zakupy on-line. W internecie kupujemy wszystko: od artykułów do wyposażenia domu, przez części zamienne do samochodów, po artykuły spożywcze, odzież, kosmetyki, książki czy zabawki. Większość Polaków kupuje w sieci nie sporadycznie, ale regularnie. Taka sytuacja powoduje, że Polska uplasowała się na 13. miejscu w zestawieniu najszybciej rosnących rynków e-commerce na świecie.

WYZWANIE DLA FIRM KURIERSKICH

Rozwój e-commerce to wyzwanie dla firm kurierskich. Coraz częściej nie mamy możliwości, by czekać cały dzień, aż do naszych drzwi zapuka kurier z przesyłką. Wolimy sami decydować, gdzie i o której odbierzemy swoje zakupy. Tendencję tę potwierdza dynamiczny rozwój sieci Poczty Polskiej click & collect.

W grudniu ubiegłego roku klienci spółki korzystali z usługi Odbiór w Punkcie dwa razy częściej niż jeszcze w 2017 r. Co piąta paczka była odbierana właśnie w sieci click & collect. Dziś sieć obejmuje już ponad 11,5 tys. punktów, w tym placówki Poczty, automaty pocztowe, stacje Orlen, sklepy Żabka i Freshmarket oraz kioski i saloniki Ruchu. W roku 2018 liczba przesyłek odebranych w punkcie była o prawie 60 proc. większa niż w roku 2017. W samym grudniu wolumen był nawet dwukrotnie wyższy niż w tym samym okresie rok wcześniej.

Wszystko wskazuje na to, że w bieżącym roku dynamika przesyłek odbieranych w punktach wyniesie co najmniej 150 proc. W samej tylko sieci sklepów Żabka od początku roku odebrano ponad 1 mln przesyłek, czyli więcej niż w całym 2018 r. Prognozowany wynik na 2019 r. wynosi ponad 6 mln przesyłek odebranych w sklepach z tym szyldem.

Na uwagę zasługuje to, że spora część Polaków decyduje się na odbiór przesyłki w placówkach pocztowych. Liczba paczek odebranych na poczcie w pierwszym kwartale 2019 r. wzrosła o 50 proc. w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego.



49/0419/F

AUTOMATY USPRAWNIĄ ODBIÓR PRZESYŁEK

Teraz przyszedł czas na kolejne rozwiązania. Wkrótce w placówkach pocztowych i sklepach Biedronka pojawią się pocztowe automaty do odbioru przesyłek. Do końca III kwartału br. zostanie oddanych do użytku 200 automatów, część z nich będzie udostępniona klientom jeszcze przed wakacjami. W pierwszym etapie znajdą się one w największych aglomeracjach miejskich, w tym w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Katowicach, Wrocławiu, Trójmieście oraz Poznaniu.

Urządzenia dostarczy spółka SwipBox. Lokalizacje automatów pocztowych zostaną dobrane z uwzględnieniem preferencji i stylu życia klientów sklepów internetowych i platform sprzedażowych. Dodatkowymi atutami będzie bezpieczeństwo zawartości przesyłek, które zapewnia umieszczenie automatów wewnątrz sklepów Biedronka. Będą one dostępne w godzinach otwarcia sklepów. Natomiast te automaty, które staną w wyodrębnionych strefach placówek pocztowych, będą dostępne 24 godziny na dobę. Możliwość odebrania przesyłki w automacie samoobsługowym jest trzecią najchętniej wybieraną formą odbioru po dostawie przez kuriera i odbiorze osobistym. Dane te potwierdza raport Gemius 2018 „Ecommerce w Polsce", z którego wynika, że grupa osób aktywnie robiących zakupy on-line mieści się w przedziale wiekowym 15–49 lat, z czego ponad połowa wskazuje automat samoobsługowy jako formę dostawy motywującą do robienia zakupów przez internet.

Narodowy operator liczy na to, że stworzenie wielu kanałów dostaw przesyłek poprawi pozycję konkurencyjną względem innych firm świadczących usługi tego typu, a mających wsparcie zagranicznych przedsiębiorstw działających na rynkach międzynarodowych.

eprasa.pl fcafcc1382

Trzęsienie ziemi w Wiedniu



ALEKSANDRA RYBIŃSKA



24 marca 2017 r. Johann Gudenus, wtedy wiceburmistrz Wiednia, później szef frakcji Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ) w parlamencie, oraz jego żona Tajana siedzą w luksusowej wiedeńskiej restauracji Le Ciel. Czekają na spotkanie z siostrzenicą rosyjskiego oligarchy Igora Makarowa. Spotkanie zaaranżował wiedeński adwokat dr Ramin Mirfakhrai. Gudenus chce sprzedać zalesioną działkę oddziedziczoną po ojcu, a Aljona Makarowa chce ją kupić. Kobieta podjeżdża pod restaurację w maybachu z szoferem i w towarzystwie mężczyzny, który przedstawia się jako Julian Thaler. Spotkanie odbywa się w miłej atmosferze, a ponieważ Makarowa sugeruje, że ma poważne problemy z wujkiem i rozważa dłuższy pobyt w Austrii, po pierwszym spotkaniu dochodzi do kolejnych, równie przyjemnych. Makarowa ma problemy, a Gudenus chce jej pomóc.

PODEJRZANE POSTACIE

Latem Gudenus, jego żona i wicekanclerz Austrii z ramienia FPÖ Heinz-Christian Strache udają się na wakacje na Ibizę, gdzie w tym samym czasie – jak pisze portal oe24 – pojawiają się także Makarowa i Thaler. Zapraszają panów do wynajętej willi Makarowej. Podczas suto zakrapianego wieczoru siostrzenica oligarchy proponuje inwestycje w Austrii w wysokości „kilkuset milionów euro" w zamian za protekcję. Deklaruje też chęć finansowego wsparcia FPÖ oraz nabycia udziałów w największej austriackiej gazecie bulwarowej „Kronen Zeitung", znanej z niechęci do „populistów". Strache proponuje jej w zamian m.in. zaprzestanie współpracy rządu z koncernem budowlanym Strabag i przeniesienie rządowych zamówień „po zawyżonych cenach" na firmę donatorki. Jest także mowa o ewentualnej licencji na gry hazardowe.

Jak podkreśla portal oe24, na rozmowach się skończyło. Makarowa nagle znika, podobnie jak nagranie, które krąży następnie po mediach, zarówno austriackich, jak i niemieckich. Proponowano je nawet niemieckiemu satyrykowi Janowi Böhmermannowi do zakupu. W końcu niemal dwa lata później, 17 maja, publikują je niemiecki tygodnik „Der Spiegel" oraz dziennik „Süddeutsche Zeitung". Tuż przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Wybucha afera, która doprowadza do rozpadu austriackiej koalicji rządzącej. Strache podaje się do dymisji, Gudenus rezygnuje z mandatu, a FPÖ opuszcza rząd. Kanclerz Sebastian Kurz rozpisuje przyspieszone wybory, które odbędą się we wrześniu. Egzotyczna i trudna do zaakceptowania dla partnerów Austrii, szczególnie Niemiec, koalicja między chadecją a tzw. skrajną prawicą trwała zaledwie 18 miesięcy.

UDANA PUŁAPKA

Lewicowo-liberalne media triumfują. Nareszcie – radują się – populiści pokazali swoją prawdziwą twarz. Przestępczą i prorosyjską. Swoją gotowość do zdrady ojczyzny. Do sprzedania jej pierwszemu lepszemu oligarsze, a nawet jego siostrzenicy. Mało kto, z wyjątkiem austriackich mediów, zwraca uwagę na okoliczności powstania nagrania lub zastanawia się, kim są jego zleceniodawcy. Wykonawców ujawnił portal oe24. Według portalu Julian Thaler to tak naprawdę Julian H., prywatny detektyw i właściciel agencji detektywistycznej w Monachium o nazwie Konsik. Jego były szef Sascha Wandl rozpoznał go na nagraniu. Według Wandla Julian H. to karany (za handel narkotykami) syn handlarza bronią trudniący się szpiegostwem przemysłowym, m.in. dla austriackiej firmy Plasser & Theurer. „Kiedyś razem pracowaliśmy w tej branży. Na moje oko koszt całej operacji wyniósł od

eprasa.pl fcafcc1382

Prywatny detektyw i adwokat powiązany z austriacką socjaldemokracją zastawili pułapkę na polityków prawicowej FPÖ. Na czyje zlecenie? Nie wiadomo. Wynikiem jest poważny kryzys rządowy, którego skutki trudno dziś przewidzieć



Kanclerz Austrii Sebastian Kurz (po lewej) i wicekanclerz Heinz-Christian Strache

Fot. East News/AP Photo/Ronald Zak

300 do 600 tys. euro. Ja go tego nauczyłem" – powiedział Wandl w rozmowie z oe24. Mirfakhrai miał według dziennika „Die Presse" już w 2015 r. proponować podobne nagrania spin doktorom obu głównych austriackich partii. Na nich było rzekomo widać, jak Strache bierze narkotyki i wręcza łapówki. Nie doszło jednak do transakcji.

Aljona Makarowa także nie jest prawdziwa. Niektóre austriackie media twierdzą, że to rosyjska aktorka – Lera K. Inni podejrzewają, że rolę siostrzenicy oligarchy odegrała wynajęta prostytutka. Mirfakhrai to również bardzo ciekawa postać. Na początku swojej kariery pracował w kancelarii adwokata SPÖ Gabriela Lansky'ego. Przez jakiś czas wraz z publicystką „Kronen Zeitung" (tej samej gazety, którą Makarowa chciała kupić) i królową piękności Katią Wagner prowadził salon kosmetyczny w Wiedniu. Według Wandla adwokat to „pośrednik", który zorganizował całą akcję na czyjeś zlecenie. Czyje? Tego nie wiadomo. „Chcieli nawet 5 mln euro za to nagranie" – podkreśla były detektyw, który sam zmaga się z zarzutami o szpiegostwo. Ostatecznie M. i H. oddali je niemieckim mediom za darmo.

Strache i Gudenus się bronią, że tego wieczoru na Ibizie byli pijani i gadali, co im ślina na język przyniesie, ale nie da się ukryć, że wpadli w zastawioną na nich pułapkę i mówili rzeczy, których nie da się pogodzić z politycznym mandatem i odpowiedzialnością za państwo. A ujawniono jak dotąd tylko część nagrania. Na brakujących 60 min mają być – według redaktora naczelnego „Süddeutsche Zeitung" Kurta Kistera – dalsze wybryki, tyle że bardziej z dziedziny seksu i narkotyków. Gdyby zostały opublikowane, mogłyby ostatecznie pogrążyć partię, której udało się w ostatnich latach zbudować szerokie poparcie wśród Austriaków zmęczonych politycznym mainstreamem. „Reszta nagrania jest dość obrzydliwa i natury prywatnej" – twierdzi Kister.

ROSYJSKIE KONEKSJE

Już teraz polityczny klimat w Austrii jest zatruty. Kurz oskarżył socjaldemokratów w rozmowie z dziennikiem „Bild" o zlecenie nagrania, a dokładniej Tala Silbersteina, izraelskiego biznesmena i politycznego doradcę SPÖ w czasie kampanii przed wyborami parlamentarnymi w 2017 r. W konsekwencji socjaldemokraci grożą mu pozwem. Prezydent Aleksander Van der Bellen robi, co może, by postawić na nogi przejściowy rząd „ekspertów", ale partie nie chcą z sobą współpracować. Socjaldemokraci żądają głowy Kurza, podczas gdy ten usiłuje zapobiec wotum nieufności, które zaplanowano na poniedziałek po eurowyborach. Pojawiły się rysy wewnątrz socjaldemokracji – część posłów nie jest bowiem pewna, czy usunięcie Kurza z urzędu kanclerza pomoże krajowi, czy wręcz przeciwnie – pogłębi polityczny kryzys.

eprasa.pl fcafcc1382

Postawa Gudenusa i Strachego też nie pomaga. Obaj twierdzą, że nic takiego się nie stało, choć partia od lat utrzymuje dobre relacje z Kremlem. Strache jeszcze w latach 90. jako młody radny FPÖ w Wiedniu stawiał na antybolszewizm, domagając się usunięcia ze stolicy Austrii pomnika Bohaterów Armii Czerwonej. Zmienił zdanie po tym, jak w 2005 r. przejął przewodnictwo partii. Jak twierdzi, przyszedł do niego wówczas jeden z doradców Putina i zaproponował mu strategiczną współpracę. Gdy Putin odwiedził w 2017 r. Austrię, Strache witał go entuzjastycznie. „Nie ma Europy bez Rosji" – mówił i domagał się szacunku dla rosyjskiego prezydenta. Politycy FPÖ chętnie podróżowali do Moskwy, choćby w 2008 r. po rosyjskiej agresji na Gruzję czy w 2016 r., gdy ugrupowanie zawarło oficjalną umowę o współpracy z putinowską Jedną Rosją. Gudenus mówi płynnie po rosyjsku, odbył liczne kursy letnie na Uniwersytecie Łomonosowa w Moskwie. W 2014 r. był obserwatorem podczas referendum na Krymie. Obaj twierdzą, że nigdy nie wzięli ani grosza od Putina, a ich prorosyjska postawa wynika z „poczucia odpowiedzialności za pokój". W Europie. To, że Kurz przekazał swoim koalicjantom w chwili stworzenia rządu tak strategicznie ważne resorty jak resort wewnętrzny czy MON, wywołało oburzenie wśród partnerów Austrii. Część zachodnich wywiadów w odpowiedzi zaprzestało współpracy z austriackimi służbami.

INGERENCJA NIEMIEC

Tyle że FPÖ wciąż jest znaczącą siłą w parlamencie i Kurz potrzebuje wsparcia dawnego koalicjanta, podobnie jak socjaldemokratów. Niemcy ze szczególną uwagą śledzą wydarzenia w Austrii. I z typową dla siebie arogancją pouczają Austriaków, co powinni zrobić. Jak tylko nagranie Gudenusa i Strachego zostało opublikowane, szefowa niemieckiej SPD Andrea Nahles zażądała przyspieszonych wyborów w Austrii, w tonie niecierpiącym sprzeciwu. Wtórował jej sekretarz generalny SPD Lars Klingbeil, który napisał na Twitterze, że „kanclerz Kurz nie ma żadnej innej opcji, niż zakończyć natychmiast ten rząd i przeprosić za to, że takim osobom jak Strache, które dzielą i podżegają, powierzył odpowiedzialność". Zdaniem szefowej niemieckich Zielonych Annaleny Baerbock, „ten wielki skandal pokazuje, że prawicowi populiści gardzą naszymi wartościami, takimi jak wolność prasy czy praworządność, i systematycznie podważają demokrację". Dla szefa niemieckich Wolnych Demokratów (FDP) Christiana Lindnera „wideo potwierdza złe obawy". Przypomniał on, że niemiecka AfD uważa się za pokrewną partię. „Czy teraz zdystansuje się od FPÖ?" – pytał na Twitterze Lindner.

Także minister spraw zagranicznych Niemiec Heiko Maas (SPD) ostro skrytykował kanclerza Kurza za koalicję z „populistami". „Prawicowi populiści są wrogami wolności, współpraca z nimi jest nieodpowiedzialna – powiedział Maas gazecie „Bild am Sonntag". – Znaczna większość ludzi w Europie już dawno sobie z tego zdaje sprawę" – stwierdził szef niemieckiej dyplomacji, apelując o wyraźny sprzeciw wobec prawicowych populistów w związku z wyborami europejskimi. „Musimy przeciwstawić się głośno i wyraźnie, aby prawicowi populiści w Europie nie mieli jeszcze większego wsparcia" – dodał. W podobnym tonie wypowiedziała się szefowa niemieckiej CDU Annegret Kramp-Karrenbauer, która stwierdziła, że upublicznione nagranie pokazuje, iż prawicowi populiści, niezależnie od pochodzenia, są gotowi sprzedać interes swojego kraju dla własnych korzyści. „Ci ludzie nie mogą przejąć odpowiedzialności w Europie" – zaznaczyła.

Krótko mówiąc: przypadek Strachego i Gudenusa dobrze przysłużył się europejskiemu mainstreamowi na ostatniej prostej kampanii do PE. Jeśli austriaccy populiści są źli, to wszyscy populiści są źli. Bez względu na kraj pochodzenia i program. Krytyka współpracy z Rosją brzmi szczególnie zabawnie z ust polityków niemieckiej lewicy, którzy należą do czołowych Russlandversteher (rozumiejących Rosję) w Europie i usilnie pracowali na rzecz realizacji gazociągu Nord Stream 2. Wraz z niemiecką chadecją. A to nie są żadne wybryki pijackie ani pajacowanie w T-shircie z Putinem na placu Czerwonym. To jest poważny geopolityczny projekt, uzależniający Europę na długie lata od rosyjskiego gazu i satrapy na Kremlu.

> Podczas suto zakrapianego wieczoru siostrzenica rosyjskiego oligarchy proponuje inwestycje w Austrii w wysokości „kilkuset milionów euro" w zamian za protekcję

CZERWONA KARTKA PRZY URNACH?

Nie da się też ukryć, że koalicja z ÖVP i FPÖ zdziałała przez te 516 dni więcej – jak słusznie zauważa niemiecki dziennik „Die Welt" – niż poprzednie „wieczne" rządy chadecji i socjaldemokratów. Rządy, którymi Austriacy byli po kilkudziesięciu latach już bardziej niż zmęczeni. Dlatego wcale nie jest pewne, że wyborcy wystawią partii Strachego we wrześniu przy urnach czerwoną kartkę. Możliwe, że FPÖ znów uzyska wynik powyżej 25 proc., jak na jesieni 2017 r., i wtedy Kurz bądź jego następca będzie miał poważny problem. Coraz trudniej bowiem narzucić obywatelom polityczny układ, którego nie chcą. Jeśli tak się stanie, możliwe, że ugrupowanie Strachego jeszcze urośnie w siłę. Były minister spraw wewnętrznych polityk FPÖ Herbert Kickl, zdaje się, już rozpoczął walkę o głosy wyborców. Na Facebooku nazwał prezydenta Van der Bellena „poplecznikiem czarnego kartelu władzy".

Autopromocja

eprasa.pl fcafcc1382

Prenumerata

SIECI + wSIECI HISTORII

z prezentem



koszulka z kultowym powiedzeniem

Koszulki damskie w rozmiarach: **S, M, L**

Koszulki męskie w rozmiarach: **M, L, XL, XXL**

Zamawiając prenumeratę, podaj rodzaj i rozmiar koszulki, np. męska L

40% TANIEJ

~~463,80 zł~~

280 zł

PRENUMERATA ROCZNA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**,
Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisz rodzaj oraz rozmiar koszulki (np. męska L) i pełne dane adresowe do wysyłki. Szczegóły w regulaminie promocji: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata i pod tel. 22 616 15 70

Europejski Kongres międzypokoleniowy

European Economic Congress

Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy za sukcesem frekwencyjnym tegorocznego Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach stoi termin – miesiąc przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, czy też coraz większa chęć dzielenia się pomysłami na biznes, wymiany doświadczeń i możliwość spotkania z przedstawicielami administracji publicznej i rządowej. Z pewnością w tym roku zagrały tematy – energetyka, petrochemia, komunikacja i transport i ciekawe zmiany na rynku finansowym

EKG rozpoczyna zawsze debata, w której poza uczestnikami z Polski głos zabierają goście zaproszeni z Europy. Tym razem organizatorzy zaprosili do panelu „Nowa Unia – młoda Unia: europejskie wyzwania społeczne a zdrowa gospodarka" młodych uczestników kongresu. Młodych Europejczyków reprezentowali: Kamil Baran, prezes zarządu Europejskiego Stowarzyszenia Studentów Prawa ELSA Poland, Julia Grzybowska ze Stowarzyszenia Forum Młodych Dyplomatów, Patrycja Serafin, przewodnicząca Niezależnego Zrzeszenia Studentów, oraz Maciej Tomecki z Uniwersytetu w Cambridge, alumn Fundacji im. Lesława A. Pagi. W dyskusji prowadzonej przez Jerzego Buzka, posła i byłego przewodniczącego PE, uczestniczyli też: Jadwiga Emilewicz, minister przedsiębiorczości i technologii, Luca Jahier, przewodniczący Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego, Günther Oettinger, komisarz UE ds. budżetu i zasobów ludzkich, oraz Iveta Radičová, premier Słowacji w latach 2010–2012, i Konrad Szymański, sekretarz stanu ds. europejskich w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

RENESANS EUROPY

Na uwagę zasługuje z pewnością wypowiedź Konrada Szymańskiego. Wiceminister spraw zagranicznych ostrzegał przed tymi, którzy – „powiewając europejską flagą" – de facto działają wbrew europejskim zasadom, kwestionują wolny rynek, wspierają partykularyzmy. – Paradoksem jest, że to właśnie Europa Środkowa i Polska są obecnie źródłem konstruktywnych propozycji: dużego budżetu Unii, jej rozszerzenia czy autentycznie wolnego rynku – przekonywał wiceminister polskiego rządu.

– Europa zmienia się co 40 lat, a nie każdy problem należy nazywać kryzysem – mówiła Iveta Radičová. – Wiele krajów europejskich radzi sobie gospodarczo nieźle lub bardzo dobrze, ale przeciętny obywatel tego nie odczuwa.

– Musimy wkroczyć w okres nowego renesansu – postulował Luca Jahier. – Kulturę powinniśmy umieścić w centrum zmiany, która nas czeka, by zapytać, kim jesteśmy, skąd pochodzimy i jaka jest nasza tożsamość – argumentował.

ENERGIA

Jak informowali organizatorzy, kolejny rok z rządu kongresowi udało się osiągnąć frekwencyjny rekord – w Międzynarodowym Centrum Kongresowym i Hali Widowiskowo-Sportowej Spodek w Katowicach zarejestrowało się niemal 15 tys. uczestników kongresu i towarzyszących im European Start-up Days. Stąd na większości paneli należało się zjawić nieco wcześniej, by znaleźć miejsce.

Tak też było na rozpoczynającym część energetyczną kongresu panelu „PEP2040. Długoterminowa strategia dla polskiej energetyki", organizowanym przez Polski Komitet Energii Elektrycznej. Otwierając dyskusję, Krzysztof Tchórzewski, minister energii, zaznaczył wyraźnie, że „jeśli chcemy jako Unia Europejska prowadzić walkę o ochronę klimatu, to powinniśmy innych też zmusić do poniesienia wysiłku. Chodzi mi o podatek od śladu węglowego. Powinien być nałożony importowy podatek na tych, którzy produkują z udziałem węgla i swoje towary wysyłają do państw UE".

Polski rząd na XI Europejskim Kongresie Gospodarczym w Katowicach reprezentowali także: minister infrastruktury Andrzej Adamczyk, minister finansów Teresa Czerwińska, minister przedsiębiorczości i technologii Jadwiga Emilewicz, wicepremier, minister nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin, minister środowiska Henryk Kowalczyk, minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński.

W ramach towarzyszących European Start-up Days rozstrzygnięto konkurs Start-up Challenge. W tym roku do rywalizacji przystąpiła rekordowa liczba blisko 300 start-upów z kilku kontynentów. W gronie zwycięzców znalazły się: Bioceltix, MakeGrowLab, QNA technology, Hyper Poland, ProperGate, Salesbook.

Z pewnością tegoroczny kongres wskazał, że warto do rozmów o przyszłości gospodarki zapraszać młodych – twórców nowoczesnych start-upów, liderów rozwijającego się sektora małych i średnich firm, którzy dzięki takim spotkaniom mają szansę skonfrontować swoje plany z realną gospodarką, której założenia powstają właśnie podczas „międzypokoleniowych" i międzyresortowych debat.

Najciekawsze z nich opisujemy w tym numerze „Sieci" i na portalu wGospodarce.pl

(mac)

eprasa.pl fcafcc1382

Energetyka stanie się kołem zamachowym gospodarki



– Zmieniając rzeczywistość, zmieniając polską gospodarkę, dając nowy impuls regionom i zapewniając bezpieczeństwo energetyczne Polakom, tworzymy nową jakość życia. Energetyka będzie w najbliższych latach kołem zamachowym polskiej gospodarki – powiedział minister energii Krzysztof Tchórzewski na Europejskim Kongresie Gospodarczym w Katowicach

Fot. Andrzej Skwarczyński | 6/0519/F

epresa.pl/ea/c01382



EDYTA HOŁDYŃSKA

Polska strategia energetyczna jest w ścisłym kręgu zainteresowania zarówno branży, dziennikarzy, ekologów, jak i polityków. Przystosowanie polskiej gospodarki, opartej w dużej mierze na węglu, do znacznej redukcji emisyjności, do której w kolejnych dekadach będzie dążyła Unia Europejska, stanowi istotne wyzwanie.

W Katowicach, sercu górnictwa, minister Tchórzewski przedstawił szczegółowy plan rządu. Podczas dyskusji na temat „PEP2040. Długoterminowa strategia dla polskiej energetyki", zorganizowanej przez Polski Komitet Energii Elektrycznej (PKEE), minister przedstawił główne założenia projektu dokumentu i wynikającą z niego wizję polskiej transformacji energetycznej.

Jak zapewnił, polski rząd, doceniając wagę i wpływ energetyki na codzienne życie Polaków, prowadzi odpowiedzialną politykę respektującą trzy równoważne cele: bezpieczeństwo dostaw, zrównoważony rozwój i konkurencyjność.

– Jesteśmy zdania, że transformacja energetyki powinna być ewolucyjna i zachodzić w tempie gwarantującym bezpieczeństwo państwa. Musi również zapewniać stały i pewny dostęp do energii dla naszych obywateli, po akceptowalnych społecznie cenach, przy minimalizowaniu negatywnego wpływu energetyki na środowisko – powiedział.

Stabilne dostawy paliw i energii, uwzględniające wzrastające zapotrzebowanie, mają być priorytetem nie tylko krajowej polityki energetycznej, lecz i całej gospodarki. – Stąd konsekwentne dążenie do dywersyfikacji dostaw. Ostatnie wydarzenia, dotyczące wstrzymania odbioru zanieczyszczonej ropy naftowej z Rosji, pokazały, że zdaliśmy sprawdzian z reagowania w sytuacjach awaryjnych. Zwróciły również uwagę na to, jak ważne jest pozyskiwanie surowca z różnych źródeł, odpowiednia infrastruktura magazynowa, a co za tym idzie – bezpieczeństwo energetyczne kraju i obywateli – dodał Tchórzewski.

Wyzwaniem dla polskiego rządu jest ambitna polityka klimatyczno-energetyczna Unii Europejskiej do 2030 r. oraz wizja neutralnej dla klimatu gospodarki unijnej do 2050 r. Najistotniejsza, zdaniem resortu, jest sprawiedliwa i mądra realizacja idei unii energetycznej – transformacja musi zachodzić w tempie zapewniającym bezpieczeństwo energetyczne, w sposób zrównoważony gospodarczo i odpowiedzialny społecznie.

Do Ministerstwa Energii wpłynęło blisko 2 tys. uwag i opinii do zaproponowanych w PEP2040 kierunków. – W procesie konsultacji zauważyliśmy także ogromną aktywność poszczególnych grup branżowych. Głos wszystkich zainteresowanych stron pozwoli nam przygotować ostateczny kształt dokumentu – zapewnił Krzysztof Tchórzewski.

Prezesi spółek energetycznych zapewniali, że dokument jest dla nich wskazówką do krótkookresowych działań, ale też wyzwaniem przed tworzeniem długofalowej strategii firmy. Jak podkreślali, strategie są adekwatne w perspektywie kilkuletniej, przy czym najtrafniej odnoszą się do momentu, w którym są tworzone, i do aktualnej sytuacji gospodarczej. Dlatego konieczna jest ich systematyczna weryfikacja i aktualizacja. Jak podkreślił Henryk Baranowski, prezes Polskiej Grupy Energetycznej i jednocześnie prezes rady zarządzającej PKEE, planowanie do 2040 r. jest swoistym novum w energetyce, jednak – z czym zgodził się Filip Grzegorczyk, prezes Tauronu, wiceprezes rady zarządzającej PKEE – takie dokumenty porządkują działania spółek.

Zdaniem ministra Tchórzewskiego kluczowy jest ewolucyjny charakter transformacji energetycznej, a jej podstawą dywersyfikacja źródeł energii. W celu pokrycia wzrastającego zapotrzebowania na energię elektryczną rozwijać się mają odnawialne źródła energii.

– Ich udział w wytwarzaniu energii elektrycznej będzie wzrastać do poziomu przynajmniej 27 proc. w 2030 r. […] Przewidywany jest również dalszy rozwój energetyki rozproszonej: klastrów energii, spółdzielni energetycznych, które są nierozłączne z ekspansją OZE. Już dziś widać istotny krajowy postęp w zakresie rozwoju instalacji prosumenckich – liczba mikroinstalacji zwiększyła się z poziomu ok. 16 tys. w 2016 r. do ok. 54 tys. w 2018 r., tj. ponadtrzykrotnie – powiedział Tchórzewski. Zaznaczył też, że rozwojowi OZE towarzyszyć będzie rozwój elastycznych mocy rezerwowych i infrastruktury przesyłowej oraz dystrybucyjnej.

Istotne dla dywersyfikacji polskiego miksu energetycznego oraz realizacji celów polityki klimatyczno-energetycznej UE ma być planowane wdrożenie energetyki jądrowej o sumarycznej mocy zainstalowanej 6–9 GW. Uruchomienie pierwszej elektrowni jądrowej przewidywane jest około roku 2033.

– Dywersyfikacja miksu nie odbędzie się samoczynne i bezkosztowo. W polskich uwarunkowaniach dostosowanie do kierunków polityki klimatyczno-energetycznej UE oraz ewolucyjne przemodelowanie energetyki wymagać będą ogromnego frontu kapitałochłonnych inwestycji. Naszym celem jest, by ich kosztów nie ponosili Polacy. Liczymy, że inwestycje te będą również wspierane ze środków unijnych, podobnie jak wiele dotychczasowych przedsięwzięć w sektorze energetyki, np. gazociąg Baltic Pipe czy terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu – wyjaśnił.

Dla potwierdzenia tych słów Piotr Woźniak, prezes PGNiG, podkreślił, że Polska nie jest jeszcze samowystarczalna, jeśli chodzi o energetykę. I nie będzie. Kluczową zmianą będzie jednak zakończenie kontraktu z Gazpromem w 2022 r. Później będzie można renegocjować umowę, zerwać ją albo szukać innych źródeł dostaw gazu.

W polskich warunkach głównym źródłem energii odnawialnej jest dziś wiatr, słońce i woda. Mamy duże wykorzystanie wiatru, obecnie ok. 6 tys. MW zainstalowanych w farmach wiatrowych na lądzie. Tempo rozwoju wykorzystania źródeł odnawialnych przybierze na sile zwłaszcza po 2025 r., kiedy postęp technologiczny prawdopodobnie umożliwi bezpieczny przyrost OZE w systemie energetycznym, bez zbytniego obciążenia finansowego gospodarki.

eprasa.pl fcafcc1382

Mirosław Kowalik, wiceprezes rady zarządzającej PKEE i prezes Enei, przypominał, że inwestycje, które już trwają, wpisują się w cele strategii energetycznej rządu. W przypadku Enei to elektrownia gazowa w Grudziądzu, a w przypadku Tauronu budowa bloku węglowego w elektrowni w Jaworznie.

– Szczególny potencjał w wykorzystaniu energii wiatru upatrujemy w energetyce wiatrowej na morzu. Przewiduje się, że pierwsza morska farma wiatrowa zostanie włączona do bilansu elektroenergetycznego po 2025 r. – argumentował z kolei wiceminister energii Grzegorz Tobiszowski.

Do 2040 r. na morzu może być zainstalowanych nawet 10 GW mocy wiatrowych. Z racji istniejącego potencjału dla sektora offshore na Bałtyku należy podkreślić, że Polska planuje wykorzystanie tej technologii. Ministerstwo Energii zakłada, iż pełne wykorzystanie tego potencjału nastąpi w okolicach roku 2030. Rozbudowa poszczególnych lokalnych źródeł OZE musi być skorelowana z modernizacją tradycyjnych mocy wytwórczych.

Według wiceministra Tobiszowskiego obecnie trwają w resorcie prace koncepcyjne nad założeniami prawnymi dla rozwoju morskiej energetyki wiatrowej. Zmiana regulacji w obszarze przepisów prawa energetycznego powinna wprowadzać nowe rozwiązania systemowe, ponieważ regulacje krajowe w dotychczasowym brzmieniu nie zapewniają skutecznego kształtowania tej polityki.

Wiceminister Tomasz Dąbrowski dyskutował z kolei o polskim hubie gazowym w trakcie panelu, którego wiodącym tematem była rola i znaczenie skroplonego gazu ziemnego (LNG) dla Polski, a także kierunki importu tego surowca oraz inwestycje w infrastrukturę. Koncepcja utworzenia na terytorium Polski centrum przesyłu i handlu gazem została przedstawiona w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju do roku 2020.

– Wola Polski do pełnienia funkcji hubu gazowego została podtrzymana w projekcie Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. Wieńczy to dotychczasowe działania podejmowane w tym zakresie – podkreślił Dąbrowski.

Dąbrowski przypomniał, że obecnie Polska pracuje nad rozwojem infrastruktury gazowej. – Gaz System realizuje projekt Baltic Pipe i pracuje nad połączeniami gazowymi z Litwą, Ukrainą, Słowacją i Czechami. Polskie LNG prowadzi jednocześnie Program Rozbudowy Terminalu LNG w Świnoujściu – wyliczył. Realizacja tych projektów infrastrukturalnych to, jego zdaniem, warunek konieczny by w pełni wykorzystać nasze położenie geograficzne w sercu Europy i umożliwić powstanie w Polsce centrum obrotu gazem ziemnym dla naszego regionu, tzw. hubu gazowego. – Bez sprawnej i dobrze rozwiniętej infrastruktury spełnienie tej idei nie będzie możliwe – zastrzegł Dąbrowski.

> Do 2040 r. na morzu może być zainstalowanych nawet 10 GW mocy wiatrowych

Podkreślił także znaczenie mechanizmu rynku mocy dla zapewnienia odbiorcom bezpieczeństwa dostaw energii elektrycznej. – Jego podstawowym celem jest długoterminowe zagwarantowanie bezpieczeństwa dostaw energii elektrycznej do odbiorców końcowych. Będzie to możliwe, ponieważ dzięki rynkowi mocy istniejące źródła wytwórcze będą funkcjonować stabilnie, powstaną inwestycje w nowe elektrownie, nastąpi bezpieczny rozwój OZE, magazynów energii oraz usługi redukcji zapotrzebowania odbiorców (DSR) – wymienił. Wiceminister przekonywał także, że rynek mocy pozwoli na transformację i modernizację polskiego sektora energii przy zagwarantowaniu bezpieczeństwa dostaw.

Minister energii Krzysztof Tchórzewski jest zdania, że powinien zostać wprowadzony w UE podatek od śladu węglowego. Miałby dotyczyć towarów importowanych z krajów, w których nie obowiązuje strategia walki z emisjami.

– Należy dbać o klimat i zabiegać o poprawę stanu środowiska naturalnego, ale trzeba też patrzeć w przyszłość i zmieniać w świat ze zdrowym rozsądkiem. Jeżeli nie wszystkie gospodarki na świecie będą ponosić koszty emisji dwutlenku węgla, to doświadczymy negatywnych zmian przemysłowych i gospodarczych w Europie. My, patrząc z perspektywy dużych inwestycji w energetyce, bo takie muszą nastąpić, musimy zadbać o to, żeby to realizowały przynajmniej w ponad 50 proc. nasze lokalne firmy europejskie – powiedział minister energii.

Zdaniem Tchórzewskiego Europa, która jest odpowiedzialna za ułamek światowej emisji CO_2, powinna zmotywować inne kraje do ponoszenia wysiłku związanego z walką o ograniczenie emisji m.in. przy użyciu podatku od śladu węglowego. Obarczone nim miałyby być towary, których produkcja związana z jest z dużymi emisjami i które sprowadzono z krajów nieobjętych polityką klimatyczno-energetyczną.

– Jako Europa emitujemy jakieś 10 proc. w porównaniu z resztą świata. W związku z tym, jeżeli nie przeniesiemy na inne regiony globu tej walki z emisją i odpowiedzialności, to po prostu gospodarczo będziemy ginąć. Dlatego też wydaje się, że wynikiem tej dyskusji jest konieczność wprowadzenia podatku od śladu węglowego. Jeżeli importujemy produkty z dużym udziałem węgla, to z tego tytułu powinniśmy oczekiwać, że ktoś zapłaci podatek. W ramach Unii Europejskiej taki podatek od śladu węglowego powinien być wprowadzony – podsumował minister Tchórzewski i dodał, że rodzi się w ten sposób postulat dla wszystkich przyszłych eurodeputowanych bez względu na ich opcję polityczną.

Uczestnicy przekonywali, że górnictwo wciąż jest i będzie ważną bazą dla polskiej energetyki, ale jednocześnie energia odnawialna powinna być dla Polski bardzo istotna.

Zgodnie z zapowiedziami zawartymi w PEP, które potwierdził Tchórzewski, do 2033 r. w Polsce powstanie pierwszy blok jądrowy. Prace nad finalną wersją PEP2040 są na ukończeniu.

eprasa.pl fcafcc1382

Trendy na rynku paliwowo-energetycznym – co nas czeka według ekspertów

Europejski Kongres Gospodarczy w Katowicach koncentrował uwagę uczestników wokół strategicznych dziedzin gospodarki. Na uwagę zasługuje obecność w wielu panelach przedstawicieli PKN Orlen, którzy podejmowali nie tylko tematy charakterystyczne dla działalności lidera rynku naftowo-paliwowego, zabierając głos w dyskusjach o energetyce, transporcie, innowacjach – choćby elektromobilności i morskich farmach wiatrowych – lecz i na temat rozwoju polskiej petrochemii



35/0519/F

Sporym zainteresowaniem uczestników EKG cieszyły się, co naturalne, komentarze dotyczące fuzji koncernu z Grupą Lotos, a temat pojawiał się właściwie przy każdej debacie dotyczącej rozwoju lidera polskiego przemysłu naftowego. Nie inaczej było podczas debaty pod niezwykle szerokim tytułem: „Sektor naftowo-chemiczny".

FUZJA DLA ROZWOJU

– Sprawa formuły połączenia Orlenu z Lotosem pozostaje niezmienna, zgodnie z podpisanym w lutym 2018 r. listem intencyjnym. PKN Orlen przejmie kapitałowo Grupę Lotos. Rozmawiamy z Komisją Europejską, która bada wszystkie dostarczane przez nas dokumenty dotyczące tego procesu. Podtrzymujemy termin finalizacji transakcji do końca tego roku – wyjaśniał Zbigniew Leszczyński, członek zarządu PKN Orlen SA ds. rozwoju. – To niezwykle istotny proces dla bezpieczeństwa energetycznego Polski, ale też dla polskiej gospodarki. Jak wielokrotnie podkreślaliśmy, do tej konsolidacji powinno dojść już dawno.

Wymieniając powody połączenia obu firm, Leszczyński podkreślił zalety budowania dużego europejskiego gracza na rynku petrochemicznym, synergii produktowej i korzyści negocjacyjnych w zakupach surowców.

– Lotos jest firmą rafineryjną, możemy konsolidować pewne aktywa, w pełni zagospodarować wszystkie pola współpracy w produkcji i dystrybucji. Korzyści widzimy też przy zakupach ropy naftowej – łatwiej negocjować, gdy mówimy o 40, a nie o 10 mln ton surowca – mówił Leszczyński. – Skupiamy się na wzbogaceniu naszej oferty produktów

eprasa.pl fcafcc1382

petrochemicznych, planujemy wydłużenie łańcucha wartości, chcemy produkować coraz bardziej rozwinięte technologicznie produkty. Liczymy na to, że dzięki Programowi Rozwoju Petrochemii Polska z kraju importującego takie produkty stanie się eksporterem.

WODÓR WŚRÓD MEGATRENDÓW

Do ciekawych wniosków doszli uczestnicy debaty poświęconej wyzwaniom stojącym przed polskim przemysłem paliwowym i energetycznym. Robert Draba (PwC), Adrian Furgalski (Zespół Doradców Gospodarczych „Tor") i Józef Węgrecki (członek zarządu ds. operacyjnych PKN Orlen SA) podjęli próbę zdiagnozowania megatrendów w światowej i polskiej energetyce, rynku paliowym i surowcowym.

– Dostrzegamy światowe megatrendy w energetyce, w OZE, czego dowodem jest choćby analiza projektu budowy morskiej farmy wiatrowej o mocy do 1,2 GW. Idziemy w energetykę. Mamy też dwa bloki gazowe, które w pewien sposób można traktować jako magazyny energii – mówił podczas panelu Józef Węgrecki. – Innymi sprawami są elektromobilność i petrochemia. Wyzwania w tym zakresie są olbrzymie. Pomocna będzie odpowiedzialna polityka państwa i dobry plan zmian.

Przedstawiciel PKN Orlen podkreślał rolę stabilizacji przepisów. Jako ważne wskazał przejście na nową generację paliw i nowoczesny sposób ich wykorzystywania – od węgla, który może być zgazowany, po produkty z gazu i ropy. Znaczenie polskich inwestycji w elektromobilność i paliwa alternatywne wyraźnie podkreślał Adrian Furgalski. – W perspektywie 15–30 lat zauważymy spadek wykorzystania ropy w transporcie, więc naturalne jest, że duże koncerny paliwowe już dziś myślą też o elektromobilności, by wpisać się w te zmiany, a nie stać obok zmieniającego się rynku – mówił ekspert.

Rozmówcy dostrzegli potencjał w rozwijającym się rynku wykorzystania wodoru jako paliwa w transporcie.

– Wodór jest alternatywą, na którą już dziś trzeba zwrócić uwagę. To dziedzina, która mogłaby się doskonale rozwinąć, bo eliminuje problem z ciężkimi bateriami.... a Orlen jest też największym polskim producentem wodoru – mówił Węgrecki. – Dlatego fuzja Orlenu z Lotosem to duże możliwości synergii. To wzmocnienie kapitałowe, dzięki któremu będzie można sobie pozwolić na inne inwestycje, także badawcze – od inwestycji w energetykę wiatrową na morzu po wodór. Przykładowo, gdańska rafineria mogłaby się zająć rozwijaniem produkcji wodoru, a płocka – petrochemią. To daje ogromne możliwości – wyjaśniał Węgrecki. – Wyobrażam sobie taką stację Orlenu, na której jest wszystko – poza paliwami, ładowarka elektryczna i możliwość ładowania wodorem.

O wadze stabilnego, określonego przez regulatora planu rozwoju rynku energetycznego dla finansowania przemysłu mówił Robert Draba (PwC).

– Jest już Polityka Energetyczna Polski – to założenia rządu. Za tym muszą pójść działania realizacyjne. Na pewno OZE są nieuniknionym kierunkiem rozwoju energetyki. Jak dzisiaj wygląda Polska w miksie energetycznym, wiemy, że nie mamy innego wyjścia – musimy zacząć się dostosowywać do światowych trendów i zmieniać strukturę wytwarzania energii – mówił Draba. – Ważne jest, że to są decyzje i projekty na dziś, bo ich skutki odczuwać będziemy za 10–20 lat. Taką strukturę zmienia się bardzo długo. Warto przypomnieć sobie lata 90. i ówczesne wypowiedzi, że jesteśmy skazani na tanią rosyjską ropę, że nic się nie da zrobić. Dziś krytykowane wtedy Możejki świetnie sobie radzą... a Orlen dywersyfikuje dostawy z innych niż rosyjski kierunków, z sukcesem. Więcej, duży kontrahent będzie zupełnie inaczej negocjował ceny i dywersyfikację dostaw. To kwestia naszego bezpieczeństwa.

WIATR OD MORZA

W dyskusji na temat nowego miksu energetycznego Polski na inwestycje Orlenu w potencjalny rozwój energetyki wiatrowej, fotowoltaiki i technologii magazynowania energii zwracał uwagę Józef Węgrecki. Ten temat wybrzmiał jednak dopiero podczas kolejnego, poświęconego farmom offshore, panelu zatytułowanego „Morska energetyka wiatrowa".

– Warto podkreślić, że tematem morskiej energetyki wiatrowej zajmują się dziś już nie tylko eksperci i biznes, lecz także rząd i gremia podejmujące strategiczne decyzje. Dziś nie rozmawiamy już, czy to ma sens, ile będzie kosztować, kiedy inwestować – ale stawiamy sobie pytanie: jak. Nikt już nie pyta, czy rozwijać morską energetykę, ale pojawiają się bardzo ambitne cele, określone w Polityce Energetycznej Polski – ponad 10 GW do roku 2040 – mówił Maciej Stryjecki, prezes Fundacji na rzecz Energetyki Zrównoważonej.

Na pytanie o przygotowanie rynku do realizacji tak ambitnych założeń odpowiadali przedstawiciele firm od lat szykujących się do uruchomienia farm na obszarach morskich. Michał Jerzy Kołodziejczyk (Equinor – dawniej Statoil), Joanna Rzepecka (Baltic Trade & Invest) oraz najmłodszy inwestor w tym gronie Orlen, reprezentowany przez Jarosława Dybowskiego, dyrektora wykonawczego ds. energetyki w PKN.

Jak wyjaśniali paneliści, inwestycje są właściwie przygotowane i czekają tylko na nowe przepisy, choćby specustawę, by wystąpić o pozwolenia na budowę i zakończyć kompletowanie niezbędnych analiz środowiskowych. Wszyscy inwestorzy liczą, że w 2025 r. z wiatrowych farm na Bałtyku popłynie prąd.

– My, jako Orlen, wskoczyliśmy w ubiegłym roku do tego pędzącego pociągu. To trudny projekt ze względu na brak otoczenia prawnego, ale też dla nas, tu w Polsce, to zupełnie coś nowego. Mimo że 30 lat pracuję w energetyce, to w projekcie offshore spotykamy się z zupełnie inną skalą wyzwań – mówił Jarosław Dybowski, dyrektor wykonawczy ds. energetyki Orlenu. – W Polsce brakuje nam doświadczenia, a harmonogram prac jest bardzo napięty. Pojawienie się offshoru w PEP jest bardzo ważne i potwierdza kierunek rozwoju tej nowej w Polsce gałęzi energetyki. Dlatego analizujemy potencjał wejścia w ten projekt i dziś w trakcie procesu wyboru inwestora – doświadczonego, znającego akwen, rynek i technologię, z którym wspólnie utrzymamy harmonogram inwestycji.

eprasa.pl fcafcc1382



Projekt stacji ładowania wodoru, która powstanie w sąsiedztwie rafinerii Grupy LOTOS w Gdańsku

Alternatywne portfolio LOTOSU

Podczas XI Europejskiego Kongresu Gospodarczego wiele mówiło się o przyszłości branży energetycznej. W debacie „Elektromobilność/gaz/wodór – co rozwijać i jak sfinansować rozwój?" skupiono się przede wszystkim na pierwszej z tytułowych opcji. Grupa LOTOS może się pochwalić zarówno zelektryfikowanym szlakiem z Trójmiasta do Warszawy, jak i wieloma działaniami na rzecz innych paliw alternatywnych

Jesienią 2018 r. LOTOS rozpoczął test pierwszych 12 punktów ładowania pojazdów elektrycznych pomiędzy Warszawą a Gdańskiem i Gdynią, przy trasie A1 i A2. Kierowcy samochodów elektrycznych mogą przejechać trasę ze stolicy Polski do Trójmiasta i z powrotem. Aż do odwołania korzystanie z szybkich ładowarek będzie bezpłatnie.

Do 2020 r. ma powstać kolejnych 38 stacji ładowania pojazdów elektrycznych. Wiele z nich zlokalizowanych będzie nie tylko na północy czy w centrum kraju, lecz również przy trasach zachodniej i południowej Polski. W planach uwzględniono budowę kolejnych punktów przy drogach ekspresowych i autostradach. LOTOS stara się wykorzystać swoją przewagę konkurencyjną na głównych trasach przelotowych

– Podróż w elektromobilność w Polsce jest jeszcze kwestią przyszłości. Musimy więc równolegle rozwijać też tematy związane z CNG, LNG oraz wodorem – podkreślał podczas kongresu Patryk Demski, wiceprezes zarządu ds. inwestycji i innowacji Grupy LOTOS. Koncern w ramach swojej strategii do roku 2022 jako jeden z priorytetów wskazał rozwój innowacyjnych projektów dotyczących transportu niskoemisyjnego i paliw alternatywnych.

PIERWSZE PUNKTY TANKOWANIA WODORU W POLSCE

Pod koniec 2018 r. LOTOS zapowiedział uruchomienie do 2021 r. dwóch pierwszych punktów tankowania wodoru, które powstaną w Gdańsku i Warszawie. Oba punkty razem z instalacją do oczyszczania i dystrybucji wodoru tworzą projekt Pure H2, który w 20 proc. będzie opłacany ze środków unijnych w ramach instrumentu „Łącząc Europę" (ang. Connecting Europe Facility – CEF). Pierwszy raz wodór będzie można zatankować w bezpośrednim sąsiedztwie gdańskiej rafinerii oraz na warszawskiej stacji paliw sieci LOTOS przy ul. Łopuszańskiej.

Zanim pojawią się punkty tankowania wodoru, na terenie rafinerii w Gdańsku powstanie instalacja do jego oczyszczania oraz stacja sprzedaży i dystrybucji tego paliwa. Do zasilania ogniw wodorowych napędzających silnik elektryczny potrzebny jest wodór o bardzo wysokiej czystości (99,999 proc.). Taki rodzaj czystego paliwa zapewni daleki zasięg pojazdu (450 km) bez konieczności dodatkowego tankowania wodoru na trasie pomiędzy stolicą Polski a rafinerią w Gdańsku oraz ograniczy koszty inwestowania w dodatkową infrastrukturę sieci elektroenergetycznych.

Oczyszczony wodór może być wykorzystywany nie tylko w transporcie drogowym, lecz także w przemyśle informatycznym, medycynie czy przemyśle spożywczym. Na razie tak czysty wodór musi być importowany, dlatego jego powszechne użycie jest dość ograniczone.

LNG W TRZECH PROJEKTACH

LOTOS rozwija się też w dziedzinie LNG. Razem z PGNiG, Gaz-Systemem i Remontowa LNG Systems koncern współpracuje w trzech niezależnych projektach, służących większemu wykorzystaniu LNG w żegludze morskiej na Bałtyku.

Z Remontowa LNG Systems w styczniu 2018 r. Grupa LOTOS podpisała list intencyjny w sprawie budowy pilotażowego systemu dystrybucji LNG. Nieco wcześniej razem ze spółką Gaz-System LOTOS otrzymał również unijne dofinansowanie z CEF na opracowanie studium wykonalności projektu budowy w Gdańsku terminalu LNG małej skali i budowy innowacyjnych bunkierek LNG. Z kolei w kwietniu ub.r. LOTOS Asfalt oraz PGNiG Obrót Detaliczny podpisały umowę o wspólnej ofercie usługi bunkrowania statków paliwem LNG, pochodzącym z Terminalu Gazowego w Świnoujściu. Porozumienie ma wymiar handlowy i ekologiczny, pozwoli także na szersze komercyjne wykorzystanie gazoportu w Świnoujściu.

17/0519/F

eprasa.pl fcafcc1382

Rynek stawia na intermodal

Tendencje widoczne w europejskiej i światowej gospodarce wpływają na proces zmian w transporcie szynowym. Te trendy mają także odzwierciedlenie w działalności PKP Cargo

Największą część towarowych przewozów kolejowych w Polsce stanowią produkty masowe, czyli przede wszystkim węgiel, a w drugiej kolejności kruszywa. Grupa PKP Cargo – największy przewoźnik kolejowy na polskim rynku – również ma taką strukturę przewozów. W 2018 r. Grupa przetransportowała 51,2 mln ton węgla i stanowił on 42 proc. wszystkich przewozów. Do tego doszło jeszcze 26 mln ton kruszyw i ponad 12 mln ton rud i metali. Razem te grupy produktów stanowią około 75 proc. masy ładunków, jakie przewiozły pociągi PKP Cargo.

Trzeba jednak zauważyć, że struktura przewozów się zmienia, czego najlepszym przykładem jest spadek udziału węgla – jeszcze kilka lat temu stanowił on blisko 50 proc. wszystkich ładunków. Mniej więcej stabilne są przewozy rud i metali, a w ostatnich latach rosną za to transporty kruszyw. Jednak najdynamiczniejszy jest wzrost w segmencie przewozów intermodalnych, który od 3–4 lat przekracza 20 proc. w skali roku. Zdaniem ekspertów ta tendencja będzie się utrzymywać w przyszłości, gdyż rozwojowi tego sektora sprzyjają trendy widoczne w światowej wymianie handlowej. – Wymagania rynku powodują, że coraz więcej ładunków wozi się w kontenerach, gdyż dzięki choćby szybszym przeładunkom skraca się czas przewozu i całego procesu obsługi klientów. Kontener jest po prostu najwygodniejszym „opakowaniem" do przewozu towarów każdym rodzajem transportu – tłumaczy rozwój rynku intermodalnego Czesław Warsewicz, prezes PKP Cargo SA. – W ten sposób transportuje się nie tylko gotowe wyroby, lecz także wiele surowców, prefabrykatów, części, podzespołów do fabryk na całym świecie – dodaje Warsewicz.

WYKORZYSTAĆ KONIUNKTURĘ

PKP Cargo chce wykorzystać koniunkturę i najpierw zdobyć, a potem umocnić się na pozycji lidera przewozów intermodalnych na obszarze państw Trójmorza oraz na europejskim odcinku Nowego Jedwabnego Szlaku. Realizacji tej wieloletniej strategii podporządkowane są choćby plany inwestycyjne spółki. Dlatego PKP Cargo kupuje i będzie kupować nowe platformy intermodalne (rozstrzygnięto przetarg na ponad 900 wagonów, a trwa postępowanie na ponad 200 kolejnych) oraz lokomotywy, w tym wielosystemowe – te ostatnie są niezbędne do realizacji zleceń międzynarodowych (kilka tygodni temu ogłoszony został przetarg na dostawę 31 ciężkich lokomotyw, w tym siedmiu wielosystemowych).



36/0519/F

Czesław Warsewicz podkreśla, że są to inwestycje długofalowe, gdyż wagony i lokomotywy użytkuje się nawet przez kilkadziesiąt lat, więc tabor trzeba kupować pod przyszłe potrzeby rynku.

– To nie oznacza, że przestaniemy wozić węgiel. To jeszcze przez kolejne dziesięciolecia będzie spora część naszych ładunków, bo przecież polska gospodarka nie może zrezygnować z energetyki węglowej, ale w strukturze przewozów będzie rosło znaczenie intermodalu. On w tej chwili stanowi mniej niż 10 proc. rynku przewozów kolejowych, ale stopniowo zbliżać się będziemy do kolei w państwach zachodnich, gdzie przewozy kontenerów to 50, a nawet 70–80 proc. zamówień – mówi Czesław Warsewicz. I wyjaśnia, że PKP Cargo jest skazane na sukces, gdyż coraz lepiej potrafi wykorzystywać geograficzne położenie Polski na skrzyżowaniu najważniejszych międzynarodowych szlaków handlowych, oferując klientom coraz bardziej konkurencyjne produkty. – Dążymy do tego, aby stać się międzynarodowym operatorem logistycznym, który obsługuje ładunki na całej trasie: od nadawcy do odbiorcy – podkreśla Warserwicz.

Chodzi w tym przypadku zarówno o transporty, które odbywają się drogą lądową, jak i przewozy morskie, rzeczne lub lotnicze, i operator logistyczny musi to wszystko organizować. – Nie jest to łatwe zadanie, ale to w tej chwili najbardziej obiecujący kierunek rozwoju w naszej branży. I szansa na to, aby PKP Cargo stały się ważnym graczem na rynku światowym, a nie tylko krajowym – podsumowuje prezes Czesław Warsewicz.

eprasa.pl fcafcc1382



Kolej nowych możliwości

Europejski Kongres Gospodarczy w Katowicach był okazją do prezentacji trwających i planowanych inwestycji Grupy PKP. Przedstawiciele kolejowych spółek na kilku panelach przedstawili postępy w harmonogramie realizowanych projektów i podsumowali ich finansowanie. Z pewnością skala inwestycji, wpływ na sektor budowlany, spodziewane efekty dla gospodarki są nie do przecenienia. Debaty na EKG były też okazją do przedstawienia innowacyjnych rozwiązań na kolei – tych, jak się okazuje, nie brakuje, a to dzięki strategii Grupy PKP, w której badania i rozwój stanowią główną oś zmian

W niezwykle ciekawej debacie „Kolej nowych możliwości" wzięli udział inicjatorzy i uczestnicy procesu zmian na kolei: Andrzej Bittel, wiceminister infrastruktury, Ignacy Góra, prezes Urzędu Transportu Kolejowego, Krzysztof Mamiński, prezes zarządu PKP SA, Ireneusz Merchel, prezes PKP Polskie Linie Kolejowe SA, Artur Resmer, członek zarządu PKP Intercity SA, Grzegorz Fingas, członek zarządu ds. handlowych PKP Cargo SA.

– To, co najważniejsze, to to, że inwestycje kolejowe są ważne nie tylko dla kolei, lecz także dla gospodarki i całego społeczeństwa – podkreślił prezes PKP SA Krzysztof Mamiński. – Ci, którzy jeżdżą koleją po całej Polsce, wygrywają teraz i będą wygrywać w przyszłości. Dziś transport kolejowy coraz częściej wygrywa z jazdą własnym samochodem, a realizowane inwestycje w infrastrukturze, w taborze, na dworcach powodują, że będziemy jeździć szybciej, bardziej komfortowo i bardziej punktualnie – powiedział prezes Mamiński.

GOTOWI NA KOLEJNĄ PERSPEKTYWĘ

Nowa perspektywa unijna budzi nadzieje, ale i obawy, że środków będzie mniej. Na ten temat odpowiadał Ireneusz Merchel, prezes PKP PLK, który przypomniał, że obecna perspektywa unijna 2014–2020, z rozliczeniem do 2023 r., realizowana dziś z powodzeniem przez PKP – jeszcze dwa lata przed rozpoczęciem finansowania nie miała żadnej dokumentacji ani planów.

2/0519/F, 11/0519/F

eprasa.pl fcafcc1382

– Dziś jesteśmy w pełni realizacji Krajowego Programu Kolejowego o wartości blisko 70 mld zł i nikt nie ma wątpliwości, czy go sfinalizujemy. W procedurach realizacyjnych za nami jest już blisko 2/3 programu. I chcemy więcej – mówił prezes Merchel. – Mamy już przygotowaną dokumentację na projekty o wartości kilkudziesięciu miliardów złotych na nową perspektywę finansową. Dzięki temu przejdziemy płynnie w 2021 r. do nowych zadań. A nowy budżet, jak wiemy, zakładać będzie, że infrastruktura stanie się priorytetem.

Wiceminister infrastruktury Andrzej Bittel pytany o Program Inwestycji Dworcowych zaznaczył, że w realizacji jest pierwszy odcinek programu.

– To ok. 200 dworców, często otoczonych ochroną konserwatorską. Odnowione dworce muszą pełnić funkcję pierwszego kontaktu pasażera z koleją. Musimy też myśleć o parkingach, ładowarkach do samochodów elektrycznych, car sharingu czy współpracy z samorządami, a także o komunikacji zapewniającej pierwszą i ostatnią milę dla klienta kolei – mówił Bittel.

Kolej się zmienia – widać to na dworcach, w pociągach, w nowoczesnych składach. Dotyczy to również przewozów towarowych.

– Jesteśmy w fazie nieustannych zmian. To rekordowy czas dla PKP Cargo – rekordowe wyniki finansowe w ubiegłym roku, wzrost przewozu masy, inwestycje w tabor, w efektywność przedsiębiorstwa – mówił Grzegorz Fingas. – PKP Cargo w ubiegłym roku przyjęły strategię na lata 2019–2023 z perspektywą do 2038 r., w której zakładamy, że wzmocnimy swoją pozycję w segmencie przewozów intermodalnych. To jest to, w czym widzimy naszą szansę i rozwój. Rozwój choćby w ramach inicjatywy Pasa i Szlaku, ponieważ PKP Cargo chce odgrywać coraz większą rolę w transporcie towarów z Dalekiego Wschodu, z Chin, do Europy.

HISTORYCZNY MOMENT

– Działamy konsekwentnie według naszego stabilnego planu. Jego częścią jest strategia taborowa, zakładająca, że do 2023 r. zmodernizujemy dużą część majątku, kupimy nowe wagony i wybudujemy stacje postojowe. Ale to nie tylko plany – mamy już umowy podpisane lub rozszerzone na ponad 2 mld zł. Te inwestycje są realizowane – mówił Artur Resmer z PKP IC. – Budujemy pomysł na biznes – na pewnego rodzaju „rodzinę kolejową", współpracując z doświadczonymi partnerami, takimi jak Newag (lokomotywy), Cegielski (nowe i modernizowane wagony), Pesa (umowa na 255 wagonów, w tym wielofunkcyjne wagony dla rodzin i osób niepełnosprawnych). Lada dzień rozstrzygać będziemy przetargi na elektryczne zespoły trakcyjne.

– To jest historyczny moment, inwestycji na taką skalę jeszcze w historii polskich kolei nie było. Jednocześnie uruchamiana jest coraz większa liczba pociągów. W 2018 r. uruchomiono 1,8 mln pociągów pasażerskich, to daje około 4,8 tys. pociągów dziennie. Przy tym bezpieczeństwo jest na najwyższym poziomie, odkąd prowadzone są statystyki, czyli od zawsze – chwalił prezes Urzędu Transportu Kolejowego Ignacy Góra.

Jak zauważył prezes Mamiński, dziś, gdy w Polsce mówi się o kolejnictwie, mówi się dobrze.

Po wielu latach niedoinwestowania i spychania kolei na margines ta gałąź transportu wreszcie odzyskała należną jej rolę. Możemy śmiało powiedzieć, że obecnie kolej w Polsce przeżywa renesans. Świadczy o tym wzrost liczby korzystających z naszych usług pasażerów. My zaś, wychodząc naprzeciw ich oczekiwaniom, wciąż te usługi doskonalimy. Przypominam, że od kilku miesięcy działa program „wspólny bilet" – uruchomiony bez wielkiego hałasu i rozgłosu. Podróżni mogą kupić jeden bilet na całą podróż, a jego cena zostanie wyliczona na podstawie jednej, zupełnie nowej taryfy. Dla pasażerów oznacza to przede wszystkim wygodę i spore oszczędności. Oferta dotyczy nie tylko przewoźników z Grupy PKP, lecz także kolei samorządowych, które odpowiadają za obsługę połączeń regionalnych i aglomeracyjnych. Wprowadziliśmy rozwiązanie, które jest wyjątkowe, proszę pokazać kraj w Europie, gdzie podobne rozwiązanie już działa... – dodał prezes PKP SA.

TRANSPORT INTERMODALNY

Na rozwój transportu intermodalnego stawia w strategii, co naturalne, PKP Cargo. Temat wywołał ożywioną dyskusję uczestników kolejowego panelu.

– Przewozy łączące różne gałęzie transportu towarów będą się rozwijały, taki jest trend – mówił prezes Góra. – Nasze stanowisko jest jasne – wszystkie towary wożone na odległość ponad 350 km powinny być transportowane koleją. Pozostaje wciąż aktualne pytanie, co zrobić, żeby to zadziało? Jak spowodować, by tranzyt trafiał na kolej. To niezwykle ważne także w kontekście tworzenia warunków dla tranzytu z Dalekiego Wschodu.

SZYBKO, CORAZ SZYBCIEJ

– Co z prędkością przejazdów pasażerskich? – pytał prowadzący debatę redaktor Wiktor Świetlik.

– 200 km/h już jeździmy na wielu trasach. Do końca roku wprowadzimy „200" na odcinku Warszawa–Gdańsk. Modernizujemy trasę Warszawa–Białystok, od Gdyni do Słupska, Koszalina i Szczecina – tam trwają prace – wymieniał prezes Merchel. – Zmniejsza się czas dojazdu do największych miast w Polsce.

– Pracujemy cały czas nad tzw. koleją dużych prędkości. Prędkość przemieszczania się na poziomie 300 km/h zmieni całą gospodarkę, pozwoli np. pracować dość daleko od domu i dojeżdżać nawet codziennie – podsumował Artur Resmer.

Pytania podczas debaty dotyczyły właściwie wszystkich inwestycji realizowanych obecnie w ramach Krajowego Programu Kolejowego, a także innowacji w działaniu PKP. Choćby systemu car sharingu wokół dworców, współpracy międzynarodowej oraz transgranicznej. Przedstawiciele Grupy PKP przyzwyczaili uczestników kongresów gospodarczych do wyjątkowo przyciągających uwagę wypowiedzi – choćby dlatego, że inwestycje realizowane są na niespotykaną dotąd skalę. Jak mówił prezes Mamiński, jest dobrze i będzie tylko lepiej.

(mac)

eprasa.pl fcafcc1382

Rakietowa „Narew”

Współczesne pole walki nie przypomina już tego, co znamy z historii – próżno tam szukać pancernych eszelonów, wielkich mas piechoty i pojedynków lotniczych. Teraz dominują skomplikowane bojowe systemy teleinformatyczne, a o bezpieczeństwie państw decydują technologie. W tym nowoczesne technologie rakietowe

Siły Zbrojne RP inwestują w obronę przeciwlotniczą i przeciwrakietową. To m.in. na systemy rakietowe średniego (Wisła) i krótkiego zasięgu (Narew) zamierzamy wydatkować środki przeznaczone na modernizację polskiej armii w najbliższej dekadzie. Decyzje w sprawie pierwszego etapu średniego zasięgu zapadły. Przed decydentami kolejne wyzwania i decyzja w sprawie krótkiego zasięgu obrony przeciwlotniczej. „Narew” jest bardzo istotnym elementem dla Sił Zbrojnych RP, gwarantującym bezpieczeństwo w kraju. Ważne jest, aby wybór nastąpił po negocjacjach z kilkoma oferentami, a najlepsze rozwiązanie było optymalne dla wojska (filar bezpieczeństwa państwa) i korzystne dla polskiego przemysłu obronnego (miejsca pracy, nowe kompetencje i rozwój), a także przekładało się na innowacyjność całej gospodarki.

Rakietowy system obrony powietrznej to nie tylko efektory w postaci rakiety, lecz przede wszystkim cały system dowodzenia i łączności, stacje radiolokacyjne i systemy obserwacji. System ten musi zapewniać interoperacyjność i możliwość wymiany informacji z innymi systemami krajowymi (w tym pozyskiwanym w ramach programu „Wisła” systemem IBCS), a także sojuszniczymi. Warto jednak wskazać na to, iż do tej pory żaden kraj na świecie nie wdrożył systemu dowodzenia, który integrowałby cały system obrony powietrznej (OPL), w tym wielowarstwową obronę przeciwlotniczą i przeciwrakietową z jej różnorodnością sensorów i efektorów. Jest to zapewne technicznie możliwe, ale wymagać będzie jeszcze wielu lat pracy oraz trudnych do oszacowania kosztów. W tym miejscu należy także postawić pytanie, czy będące na wyposażeniu Sił Zbrojnych RP zestawy rakietowe OPL zachowają do tego czasu zdolność do bojowego użycia i czy stać nas na wdrażanie w zakresie kluczowych komponentów systemu OPL wyłącznie rozwiązań będących w fazie rozwoju, gdy ich pełna gotowość operacyjna nadal jest w czasie nieokreślona. Patrząc na przykłady innych krajów, w tym USA, gdzie niezależnie od nakładów na opracowywanie systemu IBCS rozważa się podjęcie decyzji o niezależnym systemie realizowanym w programie IFPC, należałoby zadać pytanie, czy to jest efektywna i dobra droga dla Polski.

Siły Zbrojne RP oraz MON są jednak tego świadome. Sytuacja międzynarodowa nie sprzyja zachowywaniu naiwnego spokoju i bierności, stąd od przejęcia sterów rządów przez Prawo i Sprawiedliwość podejmowane są wysiłki na rzecz wzmocnienia narodowego potencjału obronnego, także w zakresie wojsk rakietowych i systemów obrony powietrznej. Najważniejszym z tych działań jest oczywiście program „Narew”.



74/0419/F

BYŁA „WISŁA”, JEST „NAREW”

System obrony rakietowej krótkiego zasięgu pod nazwą „Narew” jest programem Sił Zbrojnych RP, w którym planowane jest pozyskanie 19 baterii zestawów rakietowych umożliwiających zwalczanie obiektów powietrznych takich jak samoloty i śmigłowce, UAV oraz rakiety manewrujące. Program ten ma fundamentalne znaczenie dla bezpieczeństwa polskiej obrony powietrznej i osłony wojsk operacyjnych. Jednocześnie status „Narwi” jest wciąż niezdefiniowany i czeka na decyzje co do formuły, w jakiej miałby ten program być realizowany. I tu pojawia się sprawa fundamentalna. W celu zabezpieczenia interesu RP należałoby pilnie dokonać wyboru systemu spośród kilku wariantów. Dotychczasowe doświadczenia zarówno w Polsce, jak i w wielu innych krajach pokazują, że wskazanie jednego rozwiązania przed finalną ofertą techniczną i cenową jest niekorzystne

eprasa.pl fcafcc1382

i zawęża przyszłe możliwości wyboru. Wiąże ręce, naraża na gorszą sytuację negocjacyjną (brak konkurencji) i więcej kosztuje. Kluczowy jest także czas realizacji – decyzja o wyborze wykonawcy i samego systemu powinna bazować na harmonogramie mającym na celu jak najszybsze wdrożenie rozwiązania w Siłach Zbrojnych RP. To bardzo ważne nie tylko ze względu na niestabilną sytuację geopolityczną, lecz też na stopień technologicznego zużycia dotychczas istniejących systemów OPL w Polsce i potrzebę utrzymania wyszkolonych zasobów osobowych.

Istotnym argumentem powinien być też udział polskiego przemysłu i możliwe korzyści polityczne wynikające ze wzmocnienia partnerstwa w relacji Polski z potencjalnym wykonawcą zagranicznym. Taki wykonawca byłby wszak strategicznym partnerem dla Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

RAKIETY, CZYLI CO?

Współczesne systemy obrony powietrznej są rozbudowanymi układami, zintegrowanymi w celu zwalczania rozmaitych zagrożeń. Co ważne – są one jednak w stanie skupić się na konkretnych celach i zasięgach, wśród których znajdują się chociażby rakiety balistyczne czy manewrujące. Większość tego rodzaju systemów została stworzona na podstawie międzynarodowej współpracy, w której poszczególni uczestnicy odpowiedzialni są za różne elementy systemu.

Przykładem skutecznej współpracy międzynarodowej w zakresie systemu obrony przeciwrakietowej będzie amerykańsko-norweski system NASAMS. To właśnie ten system podczas szczytu NATO w Warszawie bronił polskiego nieba w roku 2016. System jako skuteczne rozwiązanie jest z sukcesami stosowany przez wojska wielu krajów. To jedna z propozycji dla Polski.

Połączenie „Wisły" oraz „Narwi" to w rzeczywistości możliwość integracji „Narwi" z pozyskiwanym w ramach „Wisły" systemem IBCS. W takiej sytuacji system IBCS będzie pełnić funkcję tzw. systemu systemów w Siłach Zbrojnych RP. Takie wdrożenie jednak jest procesem czasochłonnym. Dodatkowym argumentem za wdrożeniem systemu dla „Narwi" zintegrowanym z IBCS jest to, że „Narew" wymaga pilnej osłony strategicznej infrastruktury, ale przede wszystkim osłony wojsk. Dotyczy to choćby spraw związanych ze środkami łączności, odporności na zakłócenia, i tak dalej. Kolejnym argumentem przemawiającym dla Polski za zakupem systemu „Narew" jest to, że to szansa na pozyskanie technologii, zapewnienie modernizacji i serwisowania dla Polski. W przypadku systemu IBCS Polska otrzyma bardzo ograniczone prawa do jego serwisowania lub modernizacji.

Warto też zwrócić uwagę, że przed podobnym wyzwaniem stoją i inne kraje. Siły zbrojne USA bardzo podobnie przeanalizowały sytuację i pomimo nakładów na rozwój systemu IBCS oraz obecnie ważących się decyzji odnośnie do przyszłego systemu średniego zasięgu w USA już podjęto decyzję o zakupie systemów bardzo krótkiego zasięgu oraz rozważa się kilka wariantów systemów rakietowych, w tym dla programu IFPC (odpowiadający programowi „Narew").

TECHNOLOGIA TO TEŻ WSPÓŁPRACA

Jak więc wybrać zagranicznego partnera dla „Narwi"? Polska ma kilka możliwości – jedną z bardziej obiecujących jest chociażby skorzystanie z doświadczeń innych państw, które już zrealizowały tego typu projekty. Nie należy jednak zapominać o specyficznych krajowych uwarunkowaniach, wśród których istotna jest współpraca z rodzimym przemysłem i wykorzystaniem jego potencjału. Ewentualny partner zagraniczny winien też dysponować sprawdzonym i wdrożonym systemem obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej, co w znacznym stopniu pozwoli na uniknięcie wielu problemów technicznych i zagwarantuje Siłom Zbrojnym RP szybkie pozyskanie systemu „Narew". Istotne jest też doświadczenie z realizacji umów offsetowych związanych z realnym transferem technologii umożliwiającym pozyskanie nowych kompetencji i potencjału rynkowego. Niech przykładem będzie tu budowane w Wojskowych Zakładach Elektronicznych SA (WZE) w Zielonce centrum serwisowania systemu i rakiet NSM dostarczonych do Morskiej Jednostki Rakietowej przez norweski koncern Kongsberg. WZE już dziś świadczy usługi (pozyskane w offsecie) dla Sił Zbrojnych RP.

Polska od lat jest liderem w zakresie systemów radiolokacyjnych i łączności i to właśnie tu należy upatrywać największego zaangażowania polskiego przemysłu w realizację „Narwi". A współpraca taka mogłaby też z miejsca objąć rynki eksportowe.

Co do samych rakiet dla systemów obrony przeciwlotniczej krótkiego zasięgu na rynku światowym istnieje już wiele rozwiązań – choćby rakiety AMRAAM C-7 (użytkowane w Polsce na samolotach wielozadaniowych F-16 i wykorzystywane w systemie NASAMS), IRIS-T, MICA, CAMM czy AIM-9X. Warto w tym miejscu dodać, iż Polska ma już na wyposażeniu pociski AMRAAM – 178 rakiet AMRAAM (w wariancie C-5). W roku 2017 Polska wnioskowała o zakup 150 pocisków ziemia-powietrze AIM-120C-7 AMRAAM. Rakiety te miały stanowić uzbrojenie 48 myśliwców F-16/D Jastrząb. Jeśli chodzi o pozyskanie technologii rakietowej do Polski, to warto byłoby rozważyć opracowanie wraz z partnerem strategicznym specjalnego pocisku dla polskiego programu „Narew", a także rynków zagranicznych, ponieważ istniejące rakiety mają istotne ograniczenia w dzieleniu się prawami własności intelektualnej.

Wybór rozwiązań jest szeroki i uzasadnione jest, aby pozostał otwarty do końcowej decyzji o wyborze systemu.

Konieczna wydaje się dokładna analiza powyższych kwestii, jeśli chodzi o pozyskanie systemu OPL krótkiego zasięgu dla „Narwi". Istotne są zarówno koszty, jak i ryzyko np. związane z programami rozwojowymi w innych krajach. Kilka konkurencyjnych scenariuszy w zakresie pozyskania systemu rakietowego dla „Narwi" może się okazać korzystne dla transparentności postępowania, wyboru i sposobu podejmowania kluczowych dla obronności Polski decyzji.

Arkady Saulski

eprasa.pl fcafcc1382

Hit tygodnia

Dyson Pure Cool MeTM



Coraz częściej mówi się o ekologii oraz jakości powietrza (zwłaszcza w naszym kraju), więc i w tej rubryce nie może zabraknąć rozwiązań mających na celu poprawę powietrza. Dyson prezentuje swój pierwszy osobisty oczyszczacz powietrza Dyson Pure Cool MeTM. Urządzenie zostało wyposażone w technologię filtrowania powietrza oraz technologię projekcyjną. Jest kompaktowe, dzięki czemu idealnie sprawdza się w warunkach domowych – można je postawić przy łóżku, na biurku czy w pokoju dziecięcym. Wbudowany mechanizm kontroli wytwarza płynny strumień oczyszczonego powietrza i umożliwia skierowanie go w wybrane miejsce. Jak informuje producent, filtr HEPA umieszczony w urządzeniu, wychwytuje 99,95 proc. szkodliwych cząsteczek, takich jak pyłki, zarodniki pleśni i bakterie, a węgiel aktywny absorbuje i zatrzymuje gazy, nieprzyjemne zapachy i opary, takie jak lotne związki organiczne. Filtr zatrzymuje cząsteczki nawet tak małe jak 0,1 mikrometra, czyli 300 razy mniejsze niż ludzki włos. Urządzenie jest wyposażone w inteligentny system wykrywania światła, który monitoruje natężenie światła w otoczeniu i w czasie rzeczywistym automatycznie przyciemnia lub rozjaśnia wbudowany ekran LCD w celu dostosowania się do warunków otoczenia. Gdy system wykrywania światła uzna, że w pomieszczeniu jest ciemno, automatycznie wyłączy ekran LCD. Urządzenie ma również wyłącznik czasowy, który można nastawić w wygodnym zakresie od 15 min do 9 godz.

Cena: 1499 zł

Plusy i minusy

+ czyste powietrze; zapewne coraz więcej firm będzie oferowało tego typu urządzenia, dbające o lepszą jakość powietrza
– trudno mówić o minusach w przypadku tego typu urządzenia, zwłaszcza gdy dobrze funkcjonuje

Huawei Y5 2019



Huawei Y5 2019 ma niemal bezramkowy wyświetlacz o rozmiarze 5,71" w formacie 19:9. Smartfon wyposażony jest w aparat główny o rozdzielczości 13 MP, przedni aparat o rozdzielczości 5 MP ma funkcję wspomagającą robienie selfie. Urządzenie zostało wyposażone w akumulator o pojemności 3020 mAh i z łatwością może pracować przez 10 godzin w połączeniu z siecią LTE czy odtwarzać muzykę bez przerwy przez 74 godziny, ma także 32 GB pamięci wewnętrznej z możliwością rozszerzenia do 512 GB. Huawei Y5 2019 można odblokować funkcją rozpoznania twarzy (funkcja Face Unlock), telefon działa na najnowszym oprogramowaniu EMUI 9.0 oraz systemie operacyjnym Android 9.0 Pie.

Cena: 549 zł

Razer Star Wars Stormtrooper





Firma Razer wprowadza na rynek komplet urządzeń peryferyjnych, których wygląd został zainspirowany imperialnymi szturmowcami ze świata Gwiezdnych Wojen. W skład nowej kolekcji wchodzą: mechaniczna klawiatura BlackWidow Lite, bezprzewodowa myszka Atheris oraz gamingowa podkładka Goliathus Extended. Wszystkie one są teraz dostępne w stylowej, biało-czarnej edycji Stormtrooper. BlackWidow Lite wyposażono w gamingowe, mechaniczne przełączniki Razer Orange, o cichej charakterystyce pracy. Dzięki dołączonym podkładkom typu O-ring oraz indywidualnie podświetlanym (na biało) przyciskom klawiaturę można dostosować do własnych preferencji. Razer Atheris to niewielka mysz bezprzewodowa, wyróżniająca się stabilnością sygnału oraz możliwością ciągłej pracy do 300 godzin za pośrednictwem łączności bezprzewodowej 2,4 GHz lub Bluetooth. Podkładka kosztuje: 39,99 euro, mysz – 69,99, klawiatura – 109,99.

Premiera

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl fcafcc1382



Hit tygodnia

Audi AI:ME – miejskie auto przyszłości z ogródkiem w środku

To tak ma wyglądać miejski samochód przyszłości, i to podobno niedalekiej. Autonomiczny, bo będzie mógł się obyć bez kierowcy. Oczywiście kierowcy, który będzie prowadził pojazd, a nie że auto odjedzie sobie samo; chociaż kto to wie, może to nie bunt robotów nas czeka w przyszłości, lecz bunt samochodów? Ale żarty na bok. Elektryczny – to chyba oczywiste – Audi AI:ME ma być wyposażony w silnik elektryczny



o mocy 170 KM. Energię ma pobierać z 65-kilowatogodzinowego akumulatora litowo-jonowego. Zamontowane w aucie systemy komunikacyjne i interakcyjne są sterowane wzrokowo, głosowo oraz dzięki polom dotykowym, które znajdują się w drzwiach. Ekologiczny – tak, ale chyba nieco inaczej projektanci Audi wyobrażają sobie „ekologiczność" i poszli krok dalej. Otóż w pojeździe będzie można hodować prawdziwe rośliny!

Tauron inwestuje w elektromobilność

Najbardziej widocznym przejawem rewolucji energetycznej, u progu której stoimy, jest zmiana, jaka dokonuje się w branży motoryzacyjnej, a więc porzucenie silników spalinowych na rzecz napędów elektrycznych. W Polsce barierą rozwoju elektromobilności, poza wciąż wysokimi cenami pojazdów elektrycznych, jest ograniczony dostęp do infrastruktury zasilającej. Ten problem zostanie jednak szybko zażegnany. Grupa Tauron ogłosiła właśnie, że w ramach swojego projektu Operator II zbuduje sieć ładowarek do aut elektrycznych oraz kompletny system zarządzania elektromobilnością.

Projekt Tauronu zakłada powstanie do końca przyszłego roku 97 stacji ładowania prądem zmiennym oraz 21 stacji ładowania prądem stałym, co oznacza, że grupa będzie dysponowała siecią 150 szybkich ładowarek na terenie całej Polski. Jednocześnie w ramach projektu Tauron opracuje własną ładowarkę. Tauron przygotowuje także kompleksowe rozwiązanie dla klientów chcących korzystać z dobrodziejstw elektromobilności – od opracowania projektu i budowy stacji po doradztwo w zakresie doboru najlepszych taryf i systemów płatniczych.

– Branża energetyczna jest w fazie intensywnych zmian. Jednym z kluczowych procesów jest wykorzystanie energii elektrycznej do zasilania transportu. W Tauronie korzystamy z usług specjalistów, którzy pracują nad tym, by sprostać zmieniającym się potrzebom klientów – mówi Filip Grzegorczyk, prezes Tauron Polska Energia.

Krytycy elektromobilności często podnoszą argument, że nie jest ona rozwiązaniem przyjaznym środowisku, jeśli proces wytwarzania energii nie jest oparty na źródłach odnawialnych. W świetle najnowszych inwestycji Grupy Tauron ten argument da się jednak łatwo obalić. W Elektrowni Łagisza do zaostrzonych w 2017 r. przez Unię Europejską norm emisji zostanie dostosowany blok o mocy 460 MW. Co ciekawe, będzie to możliwe dzięki zastosowaniu opracowanych w procesie badawczo-rozwojowym Grupy Tauron nowych sorbentów (substancji absorbujących) podczas wytwarzania energii elektrycznej. Dzięki tej innowacyjnej metodzie Tauron zaoszczędzi 100 mln zł na modernizacji bloku w Łagiszy i wyprodukuje „czysty" prąd, który zasili m.in. nowe stacje ładowania aut elektrycznych.

eprasa.pl fcafcc1382

Niespodzianka z Gliwic

Piast Gliwice pierwszy raz w historii został piłkarskim mistrzem Polski. Drużyna z Górnego Śląska odebrała tytuł Legii Warszawa, choć drużyna ze stolicy, tak jak wiele innych klubów Ekstraklasy, miała znacznie większy budżet, lepiej opłacanych zawodników i więcej kibiców. Co najbardziej zaskakujące, mistrzostwo dla drużyny z Gliwic nie było wynikiem jakiegoś zbiegu okoliczności. Piast udowadniał swoją wyższość, bijąc sześciu z siedmiu rywali w rundzie finałowej. Autorem tego sukcesu jest były selekcjoner reprezentacji Polski Waldemar Fornalik. Trener, o którym dotąd się mówiło, że jest bardzo solidny, ale brakuje mu trofeów w gablocie

Z Waldemarem Fornalikiem
rozmawia Cezary Kowalski (Polsat Sport)



Fot. Jakub Walasek/REPORTER

Za każdą złotówkę postawioną na mistrzostwo Piasta Gliwice przed rozpoczęciem sezonu można było u bukmacherów zarobić 126 zł. To obrazuje skalę niespodzianki, jakiej jest pan sprawcą.

Waldemar Fornalik: Słyszałem, że syn mojego kolegi postawił jednak na Piasta i dziś się cieszy wygraną, zatem nie było tak, że kompletnie nikt na nas nie liczył. Ale rzeczywiście Piast nie był faworytem i skłamałbym, gdybym powiedział, że od początku byłem przekonany, iż wygramy ligę. Na początku naszym celem była pierwsza ósemka, później weryfikowaliśmy plany. Gdy było siedem punktów straty do lidera, zaczęliśmy spoglądać w górę, ale też widzieliśmy, że mamy tylko cztery punkty więcej niż zespół na miejscu dziewiątym. Ścisk był w czołówce ogromny. Po dobrym początku rundy mistrzowskiej marzeniem było podium, a kiedy ograliśmy Legię w Warszawie, to już nie było wyjścia. Trzeba było zacząć mówić o mistrzostwie otwartym tekstem. Zmierzyć się z szansą, którą sobie wypracowaliśmy.

Jak jest prawda o polskiej lidze?

To wcale nie jest łatwa liga. Nowi zawodnicy, którzy się u nas pojawiają, od razu podkreślają, że gra jest twarda, że gracze przebiegają mnóstwo kilometrów, że zespoły są dobrze przygotowane taktycznie. Gra wcale nie jest na niskim poziomie. Nie jest też tak, że w naszej lidze nie ma bardzo dobrze wyszkolonych graczy. Przecież Krzysztof Piątek, który natychmiast stał się gwiazdą poważnej ligi europejskiej, przez dobrych kilka sezonów biegał po naszych boiskach. Narzekamy na tę ligę, jednak są w niej ciekawe mecze i mnóstwo ludzi chce je oglądać.

Ligę weryfikuje rywalizacja na arenie międzynarodowej, gdzie systematycznie odpadamy w rundach

eprasa.pl fcafcc1382

wstępnych. Skoro teoretycznie jest przyzwoicie, to dlaczego praktycznie jest aż tak źle?

To jest koło zamknięte. Nawet jeśli pojawiają się tacy młodzi dobrzy gracze, jak Patryk Dziczek u nas czy Sebastian Szymański w Legii, to tylko kwestią czasu jest, kiedy wyjadą. Zbyt szybko się ich pozbywamy, nie umiemy ich zatrzymać. Weźmy takiego Kamila Grabarę, obecnie bramkarza naszej młodzieżówki. Kiedy miał 16 lat, do Ruchu Chorzów zgłosili się po niego Anglicy. Wyłożyli 500 tys. funtów, które z różnymi zmiennymi urastały do półtora miliona. Do tego uposażenie dla niego i jego rodziców oraz gwarancja sportowego rozwoju. Który polski klub mógł mieć argumenty, aby go zatrzymać?

Jest w ogóle szansa, aby tę tendencję odwrócić?

Ekonomia nie zmieni się z dnia na dzień. Te najbogatsze ligi nagle nie przybliżą się do nas ani my do nich. Nie jest jednak tak, że nic nie da się zrobić. Trzeba bardzo mocno postawić na szkolenie. Zwłaszcza te najbogatsze kluby powinny tworzyć dobre akademie przygotowujące metodycznie zawodników do gry na wysokim poziomie. U nas naprawdę nie brakuje talentów, jesteśmy dużym krajem, z wieloma zdolnymi chłopakami. Druga sprawa to nie sprzedawać hurtowo. Jeśli mamy coś znaczyć na arenie międzynarodowej, to sprzedawajmy jednego zawodnika co sezon za dobre pieniądze, a nie wszystkich, na których pojawi się jakakolwiek oferta.

Przecież kluby same chcą wypychać takich graczy, licząc na łatwy i szybki zysk. To także interes dla menedżerów reprezentujących swoich piłkarzy...

Ja ich nazywam agentami. Niestety nie zawsze ich podpowiedzi są korzystne dla klubu oraz samych zawodników. I nie mówię tu o korzyściach jedynie finansowych. Nie powinno być tak, że każdy zawodnik musi myśleć o natychmiastowym wyjeździe. Czasem te różne ambicje można w jakiś sensowny sposób pogodzić. Przygotowanie zawodnika do karier powinno być robione z głową, krok po kroku, nie za wszelką cenę. Trzeba uważnie analizować, czy to odpowiedni moment na wyjazd, czy kierunek jest sprzyjający predyspozycjom zawodnika itd.

Najbardziej zaskakujące w tym tytule dla Piasta jest to, że nikt nie śmie powiedzieć, że zdobył go przypadkowo. Pana zespół wygrał sześć z siedmiu meczów w rundzie finałowej z najważniejszymi rywalami, nie pozostawiając właściwie żadnych złudzeń. Jaką rolę odegrało tu przygotowanie fizyczne? Wy biegaliście żwawo w czasie, kiedy reszta łapała zadyszkę.

Przygotowanie fizyczne było bardzo istotne. Liga toczyła się przecież w dość szybkim tempie, do tego były mecze pucharowe, naprawdę sporo intensywnej gry w krótkim czasie. Nie wszyscy to wytrzymywali, nam się udawało. Dodam, że w tym jedynym zremisowanym meczu w decydującej rozgrywce też prezentowaliśmy się bardzo dobrze, były słupki, poprzeczki, mogliśmy i powinniśmy go wygrać. W kwestiach przygotowania fizycznego czerpaliśmy ze wzorców śp. dr. Jerzego Wielkoszyńskiego, prekursora pewnych metod, które sprawdzają się również dzisiaj. Ale to tylko jeden z elementów, które się na ten sukces złożyły. Skład personalny też został dobrany bardzo dobrze i był mentalnie gotowy na zdobycie tego mistrzostwa. Przecież nawet gdybyśmy zajęli drugie miejsce, to też byłby gigantyczny sukces. A jednak nie pękliśmy, wygraliśmy także ten ostatni mecz, gdy presja była ogromna.

Wrażenie zrobiło też to, że wreszcie wygrał ligę klub z dużo mniejszym budżetem niż te najlepsze.

Przepraszam bardzo, ale to Piast jest najlepszy.

Najbogatsze...

O właśnie. Cieszę się, że ten tytuł nie jest zarezerwowany dla najbogatszych i nie muszą po niego sięgać z urzędu zawodnicy, którzy zarabiają pięć razy tyle, ile u mnie. Na dłuższy dystans pewnie trudno byłoby ligę zdominować. Podobnie jest w Niemczech czy Anglii, gdzie mistrzostwo potrafiło zdobyć takie Leicester. Generalnie wygrywają najbogatsi, ale raz na jakiś czas taka zmiana może być ozdrowieńcza.

Mówiło się, że jest pan świetnym trenerem, ale bez trofeów w gablocie. Wynika to głównie z tego, że prowadził pan kluby z niższej albo średniej półki finansowej. Nie korci pana, aby wreszcie dostać szansę od klubu z dużym budżetem i wtedy naprawdę się wykazać?

Różnie się jeszcze może zdarzyć. A co do trofeów w gablocie. Od 2010 r. zdobyłem medale złoty, srebrny i brązowy, dwa razy wprowadziłem drużynę do finału Pucharu Polski. Jak na kluby, w których pracowałem, to nie jest chyba złe osiągnięcie. Poza tym jak się patrzy na niektóre najbogatsze kluby, to... zaczyna się doceniać to, co się ma. Możliwość spokojnej pracy w miejscu, gdzie każdy wie, co do niego należy, gdzie wszystko jest dobrze ułożone, gdzie działacze rozumieją futbol, ma się do dyspozycji świetnych współpracowników, dyrektora sportowego... To jest w naszej branży ogromny atut.

W końcówce poprzedniego sezonu, kiedy walczyliście o pozostanie w lidze, gromadziły się jednak nad panem czarne chmury...

Ale ludzie tutaj widzieli, że gramy w piłkę, że trochę brakuje nam szczęścia, że sprawy idą w dobrym kierunku. Opłacało się być cierpliwym.

Piast jest pierwszym od lat mistrzem, który ma swój styl, jest bardzo dobrze poukładany. Aż szkoda, aby miało się to rozpaść jeszcze przed grą w europejskich pucharach, a o tym się mówi...

Moim zdaniem jest szansa, że się nie rozpadnie. Odejście jednego zawodnika nie zburzy wszystkiego, liczymy też na transfery. Nie zgadzam się z opinią, że polski klub musi się zblamować w europejskich pucharach. Legia niedawno grała w Lidze Mistrzów, ja z Ruchem Chorzów grałem w trzech rundach i byliśmy blisko kolejnej. Nie skreślajmy Piasta.

eprasa.pl fcafcc1382



Erinaceus europaeus – jeż zachodni

Jeżeli przyjrzymy się jeżom, zwierzętom pozornie dobrze znanym, będziemy mieli możliwość wglądu w odległy o 200 mln lat świat gromady Mammalia, czyli ssaków, gromady, do której sami również należymy. Ale dziś jeże przede wszystkim trzeba chronić. Jak? Choćby oazami dzikości w mieście. A to wcale nie jest takie trudne

Te niezwykłe ssaki



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jak można przypuszczać, pierwsze ssaki prowadziły bowiem podobny tryb życia, jaki dziś jest udziałem jeży: niewielkie, skryte, pozostające nieco na peryferiach oficjalnego nurtu życia korzystają z osłony nocy, przebiegając chyłkiem zarośla w poszukiwaniu pożywienia – owadów, pierścienic czy ślimaków. Obserwując jeże, możemy więc na moment się przenieść w czasie. Sposób jeży na przetrwanie jest prosty, można powiedzieć – prymitywny, w przyrodniczym znaczeniu tego słowa: włosy zamienione w ostre kolce, które można nastroszyć, zwijając się w kulkę. To identyczny sposób, jaki miliony lat temu opracowały kolczatki, podobny też w swojej istocie do skorupy żółwi czy pancerza pancerników; zamknąć się w trudno dostępnej osłonie, stanowiącej broń defensywną, i przeczekać zagrożenie.

Ta prymitywna osłona pozwoliła jeżom stać się zwierzętami licznymi, mimo swojej prostoty kolce są bowiem zadziwiająco skuteczne. Wielokrotnie przekonywałem się o tym, próbując przenieść jeża z szosy w bezpieczne miejsce. Nastroszone u zwiniętego w kulkę jeża kolce są tak ostre, że szczególnie w przypadku cięższych osobników, niemożliwe jest podniesienie tego ssaka gołymi dłońmi.

Mechanizm skuteczny przez pokolenia staje się niestety pułapką w obliczu nowych zagrożeń. Jeże bowiem tak samo jak na drapieżnika reagują na nadjeżdżający samochód: zwijają się w kulkę, nastawiając kolce i czekając, aż zagrożenie minie. Całkiem niedawno wieczorem zatrzymałem się, żeby przepuścić jeża, przechodzącego przez ulicę. Kiedy zamarł w bezruchu, zaparkowałem, żeby pomóc mu się bezpiecznie dostać na trawnik. Po pewnym czasie jeż ożywił się i podreptał na drugą stronę. Eskortowałem go aż do krzewów; tam ofukał mnie, dając znać, że nie życzy sobie towarzystwa.

Ile jeży, i nie tylko, nie straciłoby życia, gdybyśmy uniknęli złudnej potrzeby dodania gazu? Ogrodzenia to kolejna kwestia: szczelne siatki i mury skutecznie rozrywają populacje jeży, uniemożliwiając im kontakt, dotarcie do żerowisk

eprasa.pl fcafcc1382

i znalezienie miejsc do przespania zimy. Kilkunastocentymetrowej wysokości prześwit pomiędzy ziemią i dolną krawędzią ogrodzenia, rzecz niezwykle pożyteczna i równie rzadko spotykana, umożliwia wędrówki nie tylko jeżom, lecz całej rzeszy drobnych zwierząt.

Skoro o zimie mowa, do jej przetrwania jeże muszą znaleźć miejsce odpowiednie do hibernacji, na przykład kupę liści w ustronnym zakątku, których butwienie zapewnia ciepło zapobiegające zamarznięciu. Jeżom, podobnie jak pokrzewkom, żabom, ropuchom, wróblom etc., konieczne są także kępy gęstych krzewów, stanowiące jakby oazy dzikości, szczególnie istotne w miastach – utrzymywanie wszystkich krzewów i żywopłotów w formie regularnie przystrzyganych, mizernych krzaczków jest zdecydowanie złym pomysłem; podobnie zresztą jak nadużywanie kostki betonowej. Tak, z pewnością szczelne grodzenie, utrudniające zresztą także przemieszczanie się ludziom, jak również betonowanie to jeden z głównych problemów ochrony przyrody we współczesnych miastach; głównych, a jednocześnie mających swoje źródło w braku świadomości.

JEŻ WSCHODNI I JEŻ ZACHODNI

Chociaż najczęściej używamy po prostu określenia „jeż", w Polsce żyje nie jeden, lecz aż dwa gatunki jeży: jeż wschodni *Erinaceus roumanicus* i jeż zachodni *Erinaceus europaeus*. Rozróżnianie obu gatunków po wyglądzie nie jest łatwe i wymaga wprawy – jeż wschodni ma na piersi białą plamę, która niekiedy obejmuje cały brzuch, jeż zachodni ma plamę ciemną, ewentualnie nie ma żadnej plamy i jest od spodniej strony ubarwiony jednolicie.

Jeże są dobrym przykładem, że rzeczy bliskie i z pozoru powszechnie dobrze znane, często umykają głębszej analizie. Dopiero niedawno okazało się, że jeż wschodni jest gatunkiem osobnym, wcześniej uważano go za podgatunek jeża zachodniego lub anatolijskiego. I nie jest to wcale szczegół istotny tylko dla zoologów systematyków. Prawidłowe rozróżnienie gatunków jest podstawą ochrony bioróżnorodności – za prostym, wydawałoby się, podziałem „jeż wschodni – jeż zachodni" kryje się, podobnie jak w przypadku innych gatunków, całe bogactwo odrębnych genów, zwyczajów, przystosowań, które powinniśmy poznać i zachować; a jak chronić coś, czego nie znamy? Chociażby biedronki. Odróżnienie gatunków krajowych od azjatyckiej biedronki arlekin wymaga dużego doświadczenia entomologicznego, zewnętrznie są niemal identyczne, różnica dla ekosystemu jest jednak zasadnicza: podczas gdy rodzime gatunki są koniecznym jego ogniwem, te azjatyckie, sprowadzone przez ludzi dla tępienia mszyc (takie pomysły nigdy się nie sprawdzają), nie zamierzają spełniać pokładanych w nich nadziei, woląc oddawać się dziesiątkowaniu miejscowych gatunków.

Chcąc zachować różnorodność życia na Ziemi, musimy je poznać. Jednym z głównych kryteriów wyróżnienia poszczególnych gatunków jest zdolność do krzyżowania. Jeżeli dwa osobniki nie są zdolne do skrzyżowania się i wydania płodnego potomstwa, są to gatunki odrębne. Jest to pewne uproszczenie, za którym kryją się wieloaspektowe konse-



Erinaceus roumanicus – jeż wschodni

Fot. Shutterstock (x2)

kwencje: skoro istnieje rozdzielność tego typu, istnieje także między nimi odrębność genetyczna, odrębność zachowań, zwyczajów i wymagań. Jeżeli nie jesteśmy świadomi, że mamy do czynienia z osobnymi gatunkami, nie potrafimy ich również ochronić, nie zapewniając im możliwości zaspokojenia właściwych swojemu gatunkowi potrzeb.

Jeżeli więc cały czas napotykamy trudności w ustaleniu samej tylko przynależności gatunkowej, z pewnością wiele jeszcze zagadek i fascynujących zwyczajów jeży czeka na poznanie.

NA STYKU RÓŻNYCH KRAIN PRZYRODNICZYCH

Występowanie dwóch gatunków jeży w naszym kraju jest zresztą dobrym przykładem na scharakteryzowanie naszej przyrody. W Polsce znajdują się wschodnie krańce zasięgu jeża zachodniego; analogicznie jeż wschodni osiąga tu granice zachodnie. Natura nie oferując nam naturalnych barier, które skutkowałyby rozwojem unikatowych, endemicznych form, zrekompensowała nam to położeniem na styku różnych krain przyrodniczych, dzięki czemu możemy się cieszyć zarówno obecnością południowo-wschodniej pontyjskiej azalii, stepowych susłów, północnych borealnych dzięciołów i puszczyków mszarnych czy zależnych od wpływu klimatu atlantyckiego bluszczów i pnączy wiciokrzewów.

Rozwinę jeszcze myśl z wcześniejszej części tekstu. Ideałem ochrony przyrody, który miałby także wpływ na komfort naszego życia, byłoby ograniczenie zbędnego grodzenia oraz stworzenie w miastach oaz dzikości (podobnie powinno się wzbogacać zadrzewieniami i oczkami wodnymi krajobraz rolniczy, a także zachowywać miedze; dobrym przykładem są tu lasy, w których zakładane zbiorniki wodne chronią nie tylko retencję, lecz także stają się ogniskami bioróżnorodności).

Stworzenie takiego projektu, bardzo w swojej istocie prostego i skutecznego, jest czekającym na podjęcie wyzwaniem. Nawet nieduże kępy gęstych krzewów i kilkuarowe chociaż powierzchnie łąk, koszonych nie częściej niż raz do roku, rozrzucone jak wysepki tu i tam po miejskich parkach, osiedlach i skwerach, wzbogacone małym oczkiem wodnym, utworzyłyby wyjątkowy archipelag, który szybko zapełniłby się makolągwami i słowikami, motylami zawisakami, ważkami łątkami, rzekotkami drzewnymi oraz ciernikami. No i jeżami.

eprasa.pl fcafcc1382

Kombucza, czyli bakterie pracują



Napój gazowany domowej roboty. Do tego zdrowy – brzmi pięknie. I nie wymaga dużo pracy – jeszcze lepiej. A możesz go mieć w tydzień, jeśli dopisze pogoda, bo przy ciepłej bakterie i drożdże lepiej pracują

Jego nazwa brzmi kombucza. To moje odkrycie. Na wagę złota, a na pewno coca-coli i wszystkich słodkich gazowanych zamulaczy, które hektolitrami wlewamy sobie do brzucha każdego lata. Ile to ton cukru? Tego, do którego producenci się przyznają, i tego zakamuflowanego? Trudno nawet zliczyć.

Wszystko zaczęło się przed Wielkanocą. Wybrałam się na Targ Rolny Konesera, żeby zrobić przedświąteczne zakupy. Było w czym wybierać: genialna jagnięcina, ryby wędzone, kapusta kiszona, słodycze, soki, chleby. W jednym namiocie para młodych ludzi częstowała schłodzonym gazowanym napojem, trochę przypominającym kwas chlebowy. Był tak pyszny, że mimo ostrzeżeń (dlaczego się pojawiły – opowiem potem), wypiłam dwa kubki. Kupiłam też dwie butelki na święta, żeby inni spróbowali. Piłam już różne kombucze, ale Westna (nazwa pochodzi od starosłowiańskiego słowa kobieta, jak mi wyjaśnili twórcy napoju) biła je na głowę. Wyrazista, dobrze zgazowana, umiarkowanie kwaskowata, niezbyt słodka.

Spytałam, czy jeśli ją nastawię w słoiku, mam szansę na wyhodowanie własnej matki kombuczowej, żeby robić potem w domu swój napój. – Powinno się udać – usłyszałam w odpowiedzi. – Napój nie jest pasteryzowany, więc bakterie w nim wciąż pracują.

DOŚWIADCZENIA Z GRZYBKIEM

Dotychczas przed nastawieniem kombuczy powstrzymywał mnie brak startera. Nikt ze znajomych nie hodował grzybka herbacianego (niektórzy tak ją nazywają, choć tak naprawdę nie jest grzybem, ale kulturą bakterii i drożdży), a na Allegro jakoś się bałam go kupować. Teraz okazja nadarzała się sama. Nie było się co zastanawiać.

Doświadczenie z hodowlą „grzybków" mam, choć finał był smętny. W czasach komuny razem z mamą oraz siostrą mamy namiętnie karmiłyśmy grzybki japońskie, jak je wtedy nazywano, które zakwaszały mleko. Pamiętam naszą lodówkę (chłodzącą głównie powietrze, bo sklepy straszyły gołymi hakami i pustymi ladami), po której panoszyły się kolejne pojemniki z kefirami wyprodukowanymi przez grzybek. Napój, który wytwarzało z mleka, to galaretowate stworzenie, był bardzo smaczny i bogaty w bakterie probiotyczne. Mleko dostarczano nam codziennie pod drzwi w szklanej butli, więc fabryczka pracowała. Niestety, nasza plantacja zakończyła życie tragicznie. Kiedyś przez przypadek ugotowałyśmy naszego grzybka. Ciotka natomiast swojego zjadła wraz z kefirem. Produkcja ustała, bo żadna z nas nie wpadła na prosty pomysł, by żyjątko rozmnożyć i mieć na zapas.

eprasa.pl fcafcc1382

KTO KISI, TEN ZDROWO ŻYJE

Temat kiszonek jest dziś bardzo na czasie. Lekarze coraz częściej zalecają je na problemy z trawieniem. Nie kupione w aptekach kapsułki z bakteriami, ale właśnie te naturalne, z kwaszonego mleka, kapusty, ogórków. Nasze jedzenie jest wyprane z witamin i dobroczynnych bakterii, które zabijają pasteryzacja i konserwanty.

Kombucza działa jak kiszonki. Kształtem przypomina płatek kosmetyczny, ale jest śliska, galaretowata i ma pomarańczowy kolor. Wielkością dopasowuje się do słoja, więc jeśli robimy hodowlę w wielkim wecku na ogórki, kombucza matka może osiągnąć rozmiar spodka deserowego, który majestatycznie pływa na powierzchni płynu. Z dnia na dzień robi się grubsza, a po jakimś czasie zaczyna się dzielić na warstwy. Te warstwy to jej córki. Gdy nabiorą odpowiedniej masy, każda z nich będzie mogła być matką w swoim słoju i produkować kombuczowy napój.

Oczywiście krążek trzeba karmić tak jak zakwas i pielęgnować, żeby się nie ukisił, bo wtedy mamy nie orzeźwiający, probiotyczny napój na upały, ale ocet herbaciany, także smaczny i zdrowy, ale nienadający się do wypicia. Można nim za to przyprawiać sałatki.

Co je kombucza? Herbatę. Mocną i słodką. Bakterie i drożdże przejedzą słodkości i podczas fermentacji zaczną zakwaszać płyn, nasycając go równocześnie witaminami i enzymami. Po kilku dniach będzie smakować trochę jak ice-tea albo kwas chlebowy. Im dłużej pozwolimy naszej matce pracować, tym będzie kwaśniejszy i bardziej zgazowany, podczas pracy drożdże wydzielają bowiem dwutlenek węgla.

Jaka herbata jest najlepsza? Może być najzwyklejszy chiński yunnan, może być biała czy zielona. Ja postanowiłam skorzystać z mojej ulubionej czarnej z kardamonem.

Pojemnik – koniecznie szklany. Ponieważ kombucza wytwarza kwasy, lepiej żeby nie doszło do nieoczekiwanej reakcji z metalem, bo nie wiadomo, co by powstało i czy przypadkiem ten związek nie byłby dla nas szkodliwy. Przygotowujemy więc dwa–trzy spore słoje, najlepsze są takie na ogórki małosolne, oraz szklane butelki, do których będziemy przelewać gotowy napój i trzymać go w lodówce. Do pracy też proponuję nosić kombuczę w szkle. Ona cały czas pracuje, nawet w lodówce, choć w chłodzie jest mniej żwawa. Zaraz jednak przyjdą upały.

Co daje kombucza

- Przede wszystkim ma moc probiotyków. Pomaga więc złapać równowagę po kuracjach antybiotykowych.
- Orzeźwia, detoksykuje, poprawia pracę jelit, bo ma mnóstwo kwasów organicznych, witamin z grupy B i C.
- Łagodzi stres oksydacyjny, wywołany zanieczyszczeniem środowiska.
- Działa bakteriobójczo na bakterię coli, salmonellę, drożdżaki.
- W upały jest zdrową alternatywą dla mocno słodzonych napojów gazowanych.

MOJA MATKA ROŚNIE

Po świętach nastawiłam resztki kupionej na targu kombuczy w trzech szklaneczkach okrytych papierowym ręcznikiem. Wstawiłam do szafki z naczyniami, zakazałam mężowi wylewania brunatnego płynu, choćby nie wiem, jak paskudnie wyglądał, i zapomniałam o sprawie na prawie dwa tygodnie. Przypomniałam sobie, gdy z szafki zaczął dolatywać podejrzanie octowaty zapaszek.

Gdy wyjęłam szklanki, w każdej pływała okrągła meduza. Chuda i cienka, bo miała mało jedzenia do przetrawienia, ale, zgodnie z obietnicą, była. Jedna szklanka, jedna matka.

Zaparzyłam więc trzy litry herbaty, posłodziłam cukrem kokosowym, wystudziłam do 25–26 stopni (za gorąca zabije grzybek, więc warto zmierzyć jej temperaturę termometrem kuchennym do pieczenia mięsa) i rozlałam do dwóch wyparzonych słojów: wielkiego i małego. Do każdego przełożyłam po jednej matce wraz z jej kwaśną zalewą, przykryłam ręczniczkiem i lekko przymknęłam. Trzeciej dolałam odrobinę słodkiej herbaty i wstawiłam do lodówki, żeby mieć na wszelki wypadek na rozmnożenie. Ustawiłam słoje w mało strategicznym miejscu w kuchni, bo powinny mieć ciepło.

Codziennie zaglądałam, żeby sprawdzić, czy nie pleśnieją; wtedy trzeba by było napój wylać i szukać nowego startera. Ale pleśń się nie pojawiała. Za to na wierzchu każdego słoja zaczęła narastać białawopomarańczowa matka, najpierw cienka jak folia spożywcza, potem coraz grubsza i twardsza. Teraz mam nie płaskie meduzowate glutki, ale talerze. Mniej więcej po tygodniu czy ośmiu dniach spróbowałam napoju – był rewelacyjny. Lekko kwaskowaty, niezbyt słodki, ładnie pachnący. Udało się za pierwszym razem! Wystarczyło tylko cierpliwie poczekać kilka dni. Latem fermentacja potrwa na pewno znacznie krócej.

HODOWLA KWITNIE, CHĘTNYCH NIE BRAKUJE

Teraz mam już trzy słoje z kombuczą i trzy matki, które pewnie wkrótce się rozmnożą. Piję ją sama i zabieram do pracy. Koleżankom tak smakuje, że moje córki trafią najpierw do nich. Hodowla pięknie się rozrasta, w lodówce stoi baniak z napojem, a moje matki pracują właśnie nad kolejnymi litrami słodkiej herbaty.

Codziennie wożę moją kombuczę do pracy, oczywiście w szklanej butelce. Jeśli napój przelejemy do zakręcanego naczynia i zamkniemy je szczelnie, dwutlenek węgla wydzielany przez bakterie i drożdże w kilka godzin nasyci go bąbelkami tak, że kombucza będzie musująca. Można ją rozcieńczać wodą mineralną, można podawać z lodem i cytryną.

Niektórzy radzą, żeby nie pić jej za dużo i zaczynać przygodę z fermentowaną herbatą stopniowo, od małej szklaneczki, bo może wywołać rewolucję w żołądku. Mnie to ominęło, może dlatego, że dużo jem domowych kiszonek i jestem zahartowana.

Anna Monicka

eprasa.pl fcafcc1382

PAULINA FOREMNY MASTERCHEF JUNIOR 2019

Coś pysznego z niczego



Ma 11 lat i zwyciężyła w najnowszej edycji programu „Masterchef Junior". To jej zdjęcie i jej przepisy otwierają książkę kulinarną, która inspirująco dopełnia telewizyjny show. Znaleźć w niej można propozycje dań przedstawione także przez innych finalistów (niesamowite, że najmłodszy z nich ma 9 lat, a najstarszy 12, tymczasem w kuchni radzą sobie znakomicie i z fantazją).

Paulina pochodzi z Wrocławia. Mówi, że kulinarnego bakcyla połknęła dzięki mamie, która „gotuje najlepiej na świecie". Przygotowanie potraw sprawia jej olbrzymią frajdę m.in. dlatego, że w kuchni „można zrobić coś z niczego".

W książce, która właśnie się ukazała, Paulina serwuje m.in. pancakesy z mascarpone i borówkami, tosty z żółtkiem i rukolą, a na kanapki do wyboru: daktylową nutellę lub pastę z białej fasoli z popcornem z kaszy gryczanej. To na śniadanie. Obiadowe menu pyszni się m.in. łososiem pieczonym z grillowanymi warzywami i dipem koperkowym, placuszkami z cukinią, krewetkami tygrysimi w sosie maślanym z pomidorkami koktajlowymi i kaszą pęczak lub staropolskimi karminadlami z purée ziemniaczano-selerowym i pietruszkowym sosem.

Wśród pomysłów na kolację są np. dwa rodzaje carpaccio: jedno z gruszką, szynką parmeńską, podpłomykami i rukolą oraz buraczane. Można też sięgnąć po sałatkę z brokułem i kurczakiem lub pieczone bataty „pokryte zielonym mchem".

Lista deserów podnosi nie tylko poziom cukru. Beza Pavlova konkuruje m.in. z tarteletkami z kremem czekoladowym i „Owocowym polem".

Tymczasem zdobywczymi tytułu Masterchef Junior zdradza, że jej ulubionym daniem jest... pizza z szynką parmeńską i rukolą (ten przepis również można w książce znaleźć).

Różnorodne menu zaproponowane przez Paulinę (choć mówiąc o 11-latce, chciałoby się użyć zdrobnienia) robi wrażenie i motywuje do rodzinnego działania (obok przepisów wymagających umiejętności są też prostsze). Jest również inspirujące. Pokazuje, że nawet znane potrawy można smakowo podkręcić. Przykład? Z jednej strony pasta z fasoli uzupełniona popcornem z kaszy gryczanej. Z drugiej śląskie karminadle, w których dopełnieniem mięsa jest kasza jęczmienna jaśminowa, a bułka tarta została wymieszana z rozdrobnionymi grzybami. Ciekawe? No właśnie.

***Jolanta** Gajda-Zadworna*

Pasta na kanapki z białej fasoli z popcornem z kaszy gryczanej

Składniki: 1/2 szklanki białej fasoli (nasiona suche), ewentualnym zamiennikiem może być puszka fasoli konserwowej, 1 cebula, 1 jabłko, 1/2 woreczka ugotowanej kaszy gryczanej, 2 łyżki oleju rzepakowego, 3 łyżki wody mineralnej niegazowanej, 1 łyżka sosu sojowego, 1/2 łyżeczki suszonego tymianku, 1 łyżeczka majeranku, 2 listki laurowe, 2 ziarenka ziela angielskiego, 1/2 łyżeczki cukru, 1/2 łyżeczki ostrej papryki w płatkach, sól, pieprz.

Popcorn z kaszy gryczanej: 1/2 woreczka kaszy gryczanej surowej, 1/2 litra oleju do smażenia.

Wykonanie: Fasolę moczyć przynajmniej kilka godzin i ugotować w świeżej wodzie do miękkości. W przypadku użycia fasoli konserwowej trzeba ją dokładnie opłukać na sitku. Ugotowaną fasolę zmiksować na gładką pastę blenderem z dodatkiem wody, sosu sojowego i suszonych ziół (tymianku i majeranku). Ugotowaną kaszę gryczaną wymieszać z papryką ostrą, szczyptą soli i pieprzu oraz łyżką oleju. Następnie wysypać na blaszkę wyłożoną papierem do pieczenia i wstawić do piekarnika nagrzanego do 200 st. C. Piec ok. 15 minut, żeby ziarna były chrupiące. Cebulę i jabłko posiekać w drobną kostkę i smażyć na łyżce oleju razem z cukrem, zielem angielskim i liśćmi laurowymi do momentu, aż cebula będzie miękka. Na koniec wyjąć dodane przyprawy. Uprażoną kaszę i zawartość patelni dokładnie wymieszać ze zmiksowaną fasolą i ewentualnie doprawić do smaku solą i pieprzem. Przygotować popcorn. Olej wlać do garnka i nagrzewać do ok. 220 st. C. Na sitko o drobnych oczkach wsypać surową kaszę i zamaczać w gorącym oleju 10–15 sekund. Trzeba uważać, żeby popcorn się nie przypalił. Przygotowaną pastą posmarować kanapki lub grzanki i posypać delikatnie popcornem.



Fot. Mat. prasowe

eprasa.pl fcafcc1382

SŁODKO-SŁONY

Ostre liście

ANNA MONICKA

Musztardowiec – kolejne odkrycie po spotkaniu z profesjonalnym kucharzem. Rukolę, o której 15–20 lat temu mało kto pewnie słyszał, dziś zna chyba każdy. Ciętą albo w doniczkach rokiettę siewną można kupić w dowolnej sieciówce, a nasiona są w każdym centrum ogrodniczym, bo ta pikantna śródziemnomorska sałata, kuzynka chrzanu i rzodkiewki, świetnie rośnie w gruncie, sama się wysiewa i bez problemu zimuje. Uprawiam ją w donicy i od jakiegoś czasu mam własną do sałatek.



Musztardowiec pójdzie w jej ślady. Chrupkość i delikatny smak z ostrzejszym finiszem zapewnią mu sukces na stołach i w ogródkach. Dajmy mu tylko trochę czasu.

Gorczyca sarepska uprawiana jest od setek lat w Azji. To z jej zmielonych nasion robiona jest musztarda. Wiadomo, jak działa – ułatwia trawienie tłuszczów, odblokowuje nos przy katarze, jest bakteriobójcza. Kilka ziarenek dodajemy zawsze do kiszonek – nie tylko dla smaku, lecz także po to, żeby chroniły przetwory przed pleśnieniem. Gdy nadejdzie zima, koniecznie wypróbujcie śledzie w oleju doprawione ostrymi żółtymi kuleczkami. Olej za to pomaga przy bólach stawów.

Nasiona można także wysiewać. Nadają się do kiełkownika – mamy wtedy po kilku dniach posypkę do jajek na twardo i twarożków – albo do gruntu. Wyrastają z nich strzępiaste liście przypominające rukolę albo młody mniszek lekarski. Ścinamy je, kroimy i mamy kolejną pyszną i zdrową sałatę. Sama może być za intensywna, podobnie jak rukola, ale zmieszana na przykład z dębową czy rzymską – podkreśli ich delikatny smak, a one z kolei ją trochę osłabią.

Można z niej zrobić sos do makaronu – rodzaj pesto, a więc zmiksować z kilkoma prażonymi migdałami i oliwą. Można na niej układać rozmaite wariacje sałatek warzywnych. Miałam okazję jeść ją z dwoma rodzajami ogórków – małosolnymi i słodkimi – z cebulką i kwaskowatym jabłkiem w sosie jogurtowym z odrobiną majonezu Kieleckiego, ale równie smaczna będzie, gdy dodamy groszek zielony albo jajko na twardo. Poszukajcie jej na straganach albo posiejcie sobie w ogródku lub doniczce i sami się przekonajcie. Kiełkuje po pięciu dniach, a po dwóch tygodniach można podbierać listki.



Fot. Shutterstock x2

WILCZYM OKIEM

Trawożercy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przez większą część swojej historii ludzie żywili się tym, co znaleźli lub upolowali. W pewnym momencie wpadli na pomysł, aby zbierać nasiona niektórych traw, których nigdy wcześniej nie jadali, rozcierać je i wypiekać z nich placki. Nasiona traw okazały się zadziwiająco energetyczne i pożywne. Okazało się także, że zabiegami prostej selekcji z dzikich traw można otrzymać populacje o kłosach coraz większych, coraz łatwiejszych do zbierania i coraz bogatszych w skrobię. W ten sposób zaczęliśmy uprawiać zboża i rozpoczęliśmy trwający po dziś dzień okres, w którym decydujące dla wyżywienia ludzkości stało się rolnictwo. Początki uprawy pszenicy i jęczmienia sięgają kilku–kilkunastu tysięcy lat przed naszą erą na obszarze Żyznego Półksiężyca, czyli w rejonie rozciągającym się od Egiptu, przez Syrię, aż do mezopotamskiego ujścia Eufratu i Tygrysu.

Uprawa zbóż zapewniła niezależność od innych źródeł pożywienia i pozwoliła na gromadzenie znacznych ilości ziarna. Ziarna, które odpowiednio przechowywane zachowywało zdolność kiełkowania i wartości odżywcze przez wiele lat. Wszystko to razem umożliwiło wspólne przebywanie dużych grup ludzi, tworzenie ośrodków cywilizacyjnych i powstanie pierwszych miast.

Z ziaren zbóż otrzymywano mąkę, ale także kasze, piwo, krochmal, paszę dla zwierząt, słomę wykorzystywano w budownictwie jako surowiec energetyczny i podściółkę dla zwierząt.

Mimo upływu tysięcy lat nic się nie zmieniło. Zboża wykorzystujemy w ten sam sposób i pomimo oszałamiającego rozwoju techniki nadal jesteśmy zależni od plonów nasion wyselekcjonowanych niegdyś traw. Zboża są podstawą rezerw żywnościowych państw, a spożywając ziarno w różnej postaci, zaspokajamy przeszło 50 proc. swojego zapotrzebowania na kalorie – niewiele jest produktów spożywczych tak energetycznych jak mąka ze zbóż, zawierająca ponad 350 kcal/100 g.

Nadal także potrzebujemy dzikich odmian zbóż; są one konieczne do wzbogacania puli genowej odmian uprawnych, które bez tego wyrodziłyby się i przestałyby dawać plon.

eprasa.pl fcafcc1382



Szczepienie na chciwość

Koncerny farmaceutyczne zdołały w Polsce odwrócić sens szczepień. Celem jest maksymalny zysk. Jeśli przy okazji jakieś dziecko zapadnie na ciężką chorobę, trudno, koszty postępu. Nikt nie udowodni, że to w wyniku szczepienia, bo stosowane na świecie mechanizmy bezpieczeństwa szczepionek w Polsce zostały przez lobbystów zdemontowane lub zablokowane.

W krajach dbających o prawa pacjenta istnieją narzędzia ochrony przed niepohamowaną chciwością.

1 Nie wolno szczepić dziecka w pierwszych dobach życia, gdy nie wiadomo jeszcze, czy nie ma zespołu obniżonej odporności, co grozi ciężkimi powikłaniami. W Polsce jest przymus szczepienia w pierwszej dobie m.in. szczepionką BCG, w Niemczech wycofaną z użycia 20 lat temu ze względu na wielką liczbę powikłań. Prątek bydlęcy BCG stanowi zagrożenie dla dzieci z wrodzonym niedoborem odporności. A my szczepimy dzieci, nie wiedząc, czy noworodek nie cierpi na taki niedobór.

2 Nie wolno szczepić dzieci chorych, dzieci z podwyższoną temperaturą. W Polsce dzieci takie szczepi się masowo.

3 Rodzice mają wybór. W większości krajów Europy szczepienia ochronne nie są obowiązkowe. Te kraje to: Austria, Cypr, Dania, Estonia, Finlandia, Niemcy, Islandia, Irlandia, Liechtenstein, Litwa, Luksemburg, Malta, Holandia, Norwegia, Portugalia, Rumunia, Hiszpania, Szwecja, Wielka Brytania. Nie ma w nich epidemii. W innych krajach obowiązkowe są 2–3 szczepionki, w Polsce obowiązkowe są 42, i ta liczba stale rośnie. Obowiązek tak masowych szczepień powoduje, że wybiera się szczepionki tańsze i gorsze. Zdarzają się szczepienia preparatami przeterminowanymi, przeznaczonymi do utylizacji. Bez konsekwencji dla winnych, co zachęca do takich „oszczędności".

4 Obowiązkiem lekarza jest udzielenie pełnej informacji. W Polsce Izby Lekarskie prześladują lekarzy za to, że czytają rodzicom ulotki informacyjne.

5 Obowiązkiem jest zgłaszanie wszelkich powikłań poszczepiennych. Kto nakłania lekarzy, by je ukrywać i np. ciężkie powikłania kwalifikować jako lekkie, jest ścigany jako przestępca. W Polsce trwa masowa blokada zgłaszania powikłań poszczepiennych: lekarze są zastraszani, zmuszani do zmiany swych diagnoz, by ciężkie powikłania kwalifikowali jako lekkie. Bo stwierdzenie ciężkiego powikłania może oznaczać wstrzymanie całej partii szczepionki. A to dla koncernu strata finansowa. A jeśli nie ma ciężkiego powikłania, nikt nie bada jakości. I szczepimy dalej.

6 Jakość szczepionek badają wyłącznie specjaliści niemający żadnych powiązań z producentami. Co roku składają takie deklaracje, a podanie w nich nieprawdy oznacza wykluczenie z zawodu. W Polsce nie ma obowiązku składania takich deklaracji, jakość szczepionek badają osoby pozostające w finansowych relacjach z producentami badanych szczepionek.

7 Jeśli ciężkie powikłanie nie zostanie zgłoszone, rodzice mają prawo sami to zrobić – sprawa jest badana przez sąd. W Polsce instytucja odpowiedzialna za egzekwowanie masowej „wyszczepialności", czyli Sanepid, równocześnie odpowiada za zgłaszanie powikłań i – jak pokazuje praktyka – sama, nie mając ku temu kompetencji ani prawa, zmienia kwalifikację powikłań z ciężkich na lekkie.

8 W większości krajów Europy (w Niemczech od 58 lat) istnieją państwowe fundusze odszkodowawcze, z których finansuje się leczenie i pomoc w egzystencji ofiar powikłań poszczepiennych. Środki nań łożą producenci szczepionek. Mają więc interes, by powikłań było jak najmniej. Polska jest jednym z niewielu krajów, w których nadal taki system nie istnieje, jest blokowany.

W ciągu ostatnich 30 lat liczba szczepionek w Polsce wzrosła trzykrotnie. Ale stan zdrowia polskich dzieci jest coraz gorszy. U często szczepionych niemowląt w ciągu ostatnich 10 lat liczba hospitalizacji wzrosła o 52 proc. Co czwarte polskie dziecko jest chore przewlekle. Liczba przypadków autyzmu wzrosła o 350 proc. Mimo środowiskowego terroru coraz więcej lekarzy żąda rzetelnych badań wpływu szczepionek na zdrowie dzieci.

Choroby poszczepienne to w Polsce problem społeczny, który rośnie. I kosztuje nas coraz więcej. Prawo i Sprawiedliwość spełnia wiele obietnic, rozszerza programy socjalne. Minister zdrowia wygląda na porządnego człowieka. Najbliższe miesiące to czas na eliminację patologii polskiego systemu szczepień. By rodzice znowu mogli uwierzyć, że w sprawie szczepień polskie państwo stoi po ich stronie.

2 czerwca przejdzie ulicami Warszawy trzeci protest przeciw przymusowi szczepień „Jest ryzyko, musi być wybór". Nie przeciw szczepionkom, ale przeciw sprzedażowemu terrorowi koncernów – wbrew bezpieczeństwu naszych dzieci. Bo w sprawie szczepień prawo jest w Polsce powszechnie łamane, sprawiedliwość jeszcze bardziej. Najwyższy czas na dobrą zmianę.

Maciej Pawlicki

Autopromocja

eprasa.pl fcafcc1382

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



HOŁDYŃSKA • JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • BAREŁKOWSKI • BIEDROŃ • FIJOŁEK • KARNOWSKI • KARNOWSKI • MAJEWSKI • OTOKA-FRĄCKIEWICZ • PYZA • WIKŁO • WOLNY

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Kampanijne rozgrywki



www.wojciechreszczynski.pl

Każdy osobiście odpowiada za swoje czyny, choć w przypadku Kościoła katolickiego poza Polską możemy się przekonać, że bywa różnie

„Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we Mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza" (Mk 9,42).

Słowa te z Ewangelii św. Marka zawarto w liście biskupów do wiernych, który odczytano we wszystkich polskich kościołach podczas ostatniej niedzielnej mszy świętej. Treść listu powstała podczas posiedzenia Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski. Jego wymowa nie pozostawia wątpliwości, że szeroko rozumiany, jako wspólnota wiernych, Kościół katolicki autentycznie cierpi, ale stanie jednak na wysokości zadania. Poza tym w reakcji na stale nasilającą się w Polsce kampanię antykościelną, na to nowe antyreligijne rewolucyjne wzmożenie, mamy słowa Chrystusa o jego Kościele, którego „bramy piekielne nie przemogą".

W liście KEP czytamy: „Nie ma słów, aby wyrazić nasz wstyd z powodu skandali seksualnych z udziałem duchownych. Są one powodem wielkiego zgorszenia i domagają się całkowitego potępienia, a także wyciągnięcia surowych konsekwencji wobec przestępców oraz wobec osób skrywających takie czyny". List zawiera wiele cennych uwag na temat świadectwa cierpienia, jakiego doznały osoby pokrzywdzone. Wzywa do większej wrażliwości i pomocy pokrzywdzonym, zapowiada, co zresztą zawsze deklarował Kościół, natychmiastowe zgłaszanie przestępstw państwowym organom ścigania.

Odnosi się też do kwestii odpowiedzialności, która nie może się sprowadzać do odpowiedzialności zbiorowej, czego oczekuje wielu nie tylko wrogów chrześcijaństwa. Każdy osobiście odpowiada za swoje czyny, choć w przypadku Kościoła katolickiego poza Polską możemy się przekonać, że bywa różnie. Na przykład Kościół w USA został przymuszony prawniczymi roszczeniami o odszkodowania za przestępstwa pedofilii do wypłaty poszkodowanym ponad 5 mld dolarów. Wskutek tego wiele parafii rozwiązało się, a majątek – nieruchomości i budynki kościelne – został sprzedany na spłatę zadłużenia. Podobnie było w Irlandii, Belgii i Australii. Co ciekawe, restrykcyjne roszczenia odszkodowawcze z reguły dotyczą tylko Kościoła katolickiego, tak jakby w innych religijnych wspólnotach nie było problemu wykorzystywania seksualnego i prawnej materialnej odpowiedzialności.

Także w Polsce marzy się niektórym, szczególnie tym od postulatów reformy Kościoła, wielki zbiorowy pozew z żądaniem olbrzymich kwot odszkodowania, co musiałoby doprowadzić polski Kościół do bankructwa. Portal Money.pl pisał nawet, że wygrane przez ofiary księży pedofilów sumy odszkodowawcze mogłyby kosztować instytucje kościelne 1,5 mld zł. Suma ta powstała z przemnożenia średniego odszkodowania przez liczącą ponoć 16 tys. osób liczbę ofiar czynów pedofilskich. Nie sądzę, aby te dane były wiarygodne. Poza tym uważam, że polskie sądy nie zdecydowałyby się jednak na tak restrykcyjne orzekanie.

Konstrukcja odpowiedzialności zbiorowej zwykle odnosi skutek, jeśli „ofiara" nie broni się w sposób skuteczny, wykazuje zbyt dużą uległość albo, jak w przypadku Polski, ma bardzo silne wewnętrzne antypolskie lobby. Taka „piąta kolumna" nie godzi się na polskie żądania wypłaty odszkodowań przez Niemców za straty wojenne (Radosław Sikorski) i nie godzi się na odmowę wypłaty przez Polskę odszkodowań dla organizacji żydowskich za mienie, jakie utracili Żydzi w czasie wojny (Włodzimierz Cimoszewicz).

Obrotnym przedstawicielom „przemysłu Holokaust" oraz ich amerykańskim prawnikom wydaje się, że zmuszą Polskę do wypłaty ponad 300 mld dolarów odszkodowania za mienie bezspadkowe, jakie utracili w Polsce podczas II wojny światowej polscy Żydzi. Pod uwagę nie bierze się oczywistego faktu, że ówcześni Żydzi byli obywatelami polskimi, czyli w stosunku do nich, jak i do wszystkich pozostałych Polaków, powinno obowiązywać to samo prawo cywilne. By zamknąć ten temat, trzeba jednak przyznać z rozczarowaniem, że polskie władze na przestrzeni ostatnich 70 lat niewiele zrobiły, aby ostatecznie zamknąć temat reprywatyzacji.

W oczekiwaniu na ostateczne wyniki wyborów do europarlamentu trzeba stwierdzić, że dwa tematy: pedofilia w Kościele i amerykańska ustawa 447, jedynie zasygnalizowane w felietonie, były ze strony szeroko rozumianej opozycji ważnym elementem politycznej rozgrywki z obecną władzą. Rozgrywki nieprzypadkowo wykreowanej na potrzeby kampanii wyborczej.

eprasa.pl fcafcc1382

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Wszystkie jajka w jednym koszyku?



Witold Gadowski

W tzw. geopolityce dominuje dziś pogląd mówiący o tym, że kto panuje nad szlakami morskimi, ten ma władzę w świecie. Wyznawcy tej teorii zdają się nie zauważać faktu, że właśnie na naszych oczach świat diametralnie się zmienia. Owszem nadal będzie rządził pieniądz i handlowa dominacja, ale narzędzia uciekają z rąk dotychczasowego hegemona – Stanów Zjednoczonych. Coraz śmielej wykluwa się bowiem rzeczywistość, w której ten, kto panuje nad przepływem informacji, kto ma technologiczny handicap, rozda karty i powiedzie innych jak zakolczykowane cielęta.

Wojna już trwa i właśnie wkracza w fazę ostrego starcia, na razie widzimy tylko bańki na powierzchni – Google sabotuje firmę Huawei. Amerykanie przywiązani do tradycyjnych reguł dominacji skupili się na Izraelu i Bliskim Wschodzie, w tym czasie Chińczycy dopracowali się mocnego szturmu w dziedzinie IT. Amerykańskie koncerny spostrzegły nagle, że chińskie korpo uciekły im technologicznie i nie tylko nie potrzebują już „zachodniej myśli", lecz same zaczynają dyktować warunki gry. Ten, kto ułoży światowy ład e-commerce, czyli środowisko do internetowego handlu i kreowania obrazu rzeczy, będzie miał w ręku wszystkie najcenniejsze nici. Świat staje się coraz szybszy i coraz mniej do rzeczy ma tu fizyczna siła armii. Zdolność do paraliżowania techniki przeciwnika zaczyna odgrywać rolę większą niż setki balistycznych rakiet.

Gdzie w tym wszystkim jest Polska i jej strategiczne myślenie? No wiem – wcześniej powinienem zapytać, czy w ogóle takie strategiczne myślenie w naszej polityce istnieje? Obok ogromnej przepaści pomiędzy pędzącą techniką a pełzającą aksjologią nowej rzeczywistości (tu nieuchronnie czeka nas ogromny kryzys) rośnie także archaizm sloganów, którymi nasi politycy usiłują zagadać pytania płynące ze strony nowego świata. Po chłopsku rzecz bowiem wygląda tak, że łykamy jak pelikany wszystko, co płynie z Waszyngtonu i wszystkie jajka mamy w jednym koszyku. Co więcej, ten koszyk wcale nie został zbudowany tak, aby nasze jajka ochronić. Niedawno nasze media huczały od wieści, że budujemy Jedwabny Szlak, prezydent Duda odwiedzał Chiny... a dziś cisza.

Świat ucieka, a naszym obowiązkiem jest znaleźć na niego aktualną polską odpowiedź.

Pieśń a obronność



Lech Makowiecki

Niektórzy tęsknią za marszowym, grubo ciosanym (jednak męskim) Festiwalem Piosenki Żołnierskiej. Mainstream zdominowała dziś metroseksualna muza.

Zanika w świecie podział na kobiety i mężczyzn, weźmy choćby ostatni Festiwal Eurowizji. Śpiewający falsecikami eteryczni faceci konkurowali tam z „babami z brodą" (jednak w pełnym makijażu). Obie grupy prześcigały się w stopniu rozngliżowania, a procentowy udział homoseksualnych par całujących się na widowni (wyłapywanych czujnym okiem kamery) przeczył wszelkim regułom statystyki. Cóż, ideologia gender i LGBT rozmyły płciowość artystów.

Męski Johny Cash czy kobieca Marilyn Monroe czuliby się w Jerozolimie jak piosenkarski skansen. Nic dziwnego, że nasze Tulie zupełnie nie pasowały do tej konwencji. Za rok wygra zapewne striptiz na rurze, kasting trzeba by zatem przeprowadzić w jakimś klubie karaoke tzw. queerów.

I jeszcze jeden warunek festiwalowego sukcesu: wypadałoby zmienić płeć! To wielce pomaga – jak kiedyś punkty za pochodzenie na studiach.

Czy pieśń ma wpływ na wartość bojową narodu? Ogromny! Wiedziały o tym już ludy pierwotne (vide: tańce i śpiewy wojenne Indian, Murzynów i in.). „Bogurodzica" dodawała ducha rycerzom pod Grunwaldem. „Rota" pozwoliła nam przetrwać zabory. Z „Pierwszą Brygadą" na ustach wyrąbaliśmy sobie niepodległość. „Czerwone maki" wywoływały takie wzruszenia, które trudno sobie dziś nawet wyobrazić. Nostalgia kobiety śpiewającej „Gdzie są chłopcy z tamtych lat" czy westernowy image ballady „Prawo i pięść" (Komeda) jednoznacznie podkreślały płeć wykonawców!

Kodowanie tego naturalnego podziału ról pozwoliło nam – mimo wojen – ocalić tożsamość narodową. Mężczyźni byli wojownikami, a kobiety gwarantowały polskość wychowania dzieci. Zaburzenie tego przekazu (zwłaszcza w popkulturze) powoduje mentalną demolkę.

Jeśli popularny piosenkarz śpiewa, że nie będzie bronił swego kraju, każdy agresor potraktuje to jako zaproszenie.

eprasa.pl fcafcc1382

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Polska jak z filmu



Aleksander Nalaskowski

Zastanawiam się, gdzie są granice społecznego przyzwolenia na nienawiść, bezczelność i bezmóżdże polityków. Czy w ogóle one istnieją?

Czy posłanka Scheuring-Wielgus będzie nadal nam błyszczała swoją intelektualną płyciznę i rażącym nieuctwem? Czy społeczeństwo zechce dalej patrzeć na konsekwentne samowygładzanie jej zwojów mózgowych?

Czy Grabiec w dalszym ciągu będzie nas zniewalał głupawym uśmieszkiem jałowego celebryty?

Czy Misiło będzie powtarzał swoje wyczyny z krzesłem na posiedzeniu sejmowej komisji?

Czy Szczerba nadal będzie przeszukiwał poselskie szafki i machał immunitetem w kolejce do toalety?

Czy Mieszkowski wciąż będzie kompromitował wizerunek polskiego inteligenta i obrażał zasady logicznego wnioskowania?

Czy Tusk odbędzie kolejne krucjaty przeciwko PiS, krucjaty pozostające w sprzeczności z pełnioną w Brukseli funkcją?

Czy nadal damy sobie wmawiać, że nie pedofile są wyjątkami wśród kapłanów, lecz są nimi normalni i prawi księża? I że pedofilia to absolutna domena Kościoła?

Czy będziemy w dalszym ciągu pozwalać na kreowanie wizerunku Polski faszystowskiej, homofonicznej i pozostającej w szponach bezdusznej korporacji kościelnej?

Czy nadal będziemy dawać wiarę mediom czynionym za obce pieniądze i w obcym interesie?

Czy gbury typu Saramonowicz będą nadal obrażać polską prowincję i wieś?

To jest lista obszarów, zdarzeń i osób, na których publiczne istnienie zezwalamy. My wszyscy zezwalamy. A to z kolei kreuje bezgraniczny obszar bezkarności, braku wstydu i zwykłej przyzwoitości

Czy wciąż będziemy poważnie traktować i powstrzymywać śmiech, widząc ubrane na czarno bardzo leciwe niewiasty maszerujące z postulatami w stylu: „Ręce precz od mojej c...ki”?

Czy będziemy siedzieć z założonymi rękami, gdy publicznie będą obrażane najważniejsze osoby w państwie, a państwo będzie porównywane do Korei Północnej?

Czy w istocie pozwolimy na start w wyborach Millerów, Cimoszewiczów i innych komunistów, których „zasługi” dla naszego kraju są trudne do oszacowania?

Czy pozwolimy poniewierać kościelnych hierarchów bez udowodnienia im jakiejkolwiek winy?

Czy Nitrasy i inni karierowicze gotowi na wszystko byle zaistnieć będą wciąż grasować w polskiej polityce?

Czy...? (Tu proszę dopisać własne pytania).

Wszystko, co powyżej napisałem, to nic innego, jak lista obszarów, zdarzeń i osób, na których publiczne istnienie zezwalamy. My wszyscy zezwalamy. Parafrazując filmowego klasyka: „Pan zezwala, pani zezwala, społeczeństwo zezwala”. A to z kolei kreuje bezgraniczny obszar kompletnej bezkarności, braku wstydu i zwykłej przyzwoitości. Wszystko wolno Michnikowi, Gretkowskiej (podobno pisarka), Kuźniarowi (spec od porad, jak robić interesy w USA) czy Lubnauer. Bo tu obowiązuje misiowo-barejowa zasada: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobi?!”. Faktycznie, nic nie da się zrobić? Już tak jest źle?

Damy się tak wygonić bez palta na deszcz? Przecież nie jesteśmy aż tak głupi, prawda?



eprasa.pl fcafcc1382

PRZEZ ŚWIETLIK

Nadludzie



Ziarno nienawiści zostało podlane. Przecież winien jest cały episkopat, wszyscy księża są podejrzani, bo to wynika ze struktury instytucji, a wierni w kościołach to tylko „biomasa”

To prawda, że Polskę we wrześniu 1939 r. napadli naziści. Naziści byli Niemcami. Mówienie o nazistach francuskich, belgijskich czy rumuńskich, a tym bardziej polskich jest jak rozmowa o nazistowskim yeti lub E.T. Nie istnieli i nie mieli szans zaistnieć, mogli być co najwyżej francuskimi lub jakimiś tam kolaborantami nazistowskich Niemiec.

Nazizm jako ideologia zakładał przede wszystkim, że interes i panowanie narodu niemieckiego są ważniejsze od jakichkolwiek praw ludzkich i boskich. Tego rodzaju myślenie po raz pierwszy w obieg wprowadził w starożytności w odniesieniu do jednego ludzkiego egzemplarza niejaki Protagoras, a potem Fryderyk Nietzsche do niego wrócił. Niemcy już od czasów Bismarcka zaczęli je rozwijać, jednostkę zamieniając na naród niemiecki, aż w dziele pana Adolfa i kilkudziesięciu milionów jego germańskich pobratymców znalazło nieszczęśliwy ideał.

Tak więc historyczni naziści muszą być Niemcami, ba, historyk Richard Pipes twierdził, że tylko Niemcy mogli mu ulec jako cały naród. Ale myślenie w ich stylu, że są cele ważniejsze niż podstawowe zasady, staje się coraz bardziej powszechne.

Sądzę, że to ono stało za tymi, którzy chronili pedofilów. W Kościele katolickim – dodajmy nie w całym Kościele, ale w niektórych jego zaułkach – i poza nim – tam, gdzie o pedofilii mówić nie wypada. Po prostu były ważniejsze sprawy, cele nadrzędne nad tradycyjną moralnością czy nawet podstawowym instynktem nakazującym chronić za wszelką cenę ludzkie potomstwo. Ochrona instytucji kościelnej lub świeckiej, ale też wielkiego człowieka, artysty, któremu przecież wolno więcej. Zapewne to właśnie wyższy artystyczny cel, samorealizacja pozwoliły w okrutny sposób upić i zmusić 14-letnią Paulinę Młynarską do grania erotycznych scen. „To była popaprana wizja artystyczna gościa, który był przekonany, że wszystko mu wolno” – napisała Młynarska. Nieraz z niej dworowałem, bo jej przemyślenia dotyczące dzisiejszego życia publicznego i społecznego są dla mnie wręcz parodystyczne. Ale opowieść dorosłej kobiety o tym, jaką życiową traumę wywołał u niej swoją artystyczną wizją bezkarny półbóg wszystkich możliwych systemów politycznych, wyciska z człowieka żal i wściekłość.

Zapewne wyższy cel, jakim jest obalenie znienawidzonej pisowskiej władzy, pozwala także na szczucie Kościoła i księży coraz bardziej przypominające działania oryginalnych nazistów w stosunku do Żydów.

Momentami wyjątkowo marny ze mnie katolik, dlatego moralizatorstwa unikam jak ognia, ale chodziłem do katolickiego liceum, więc księży trochę poznałem, także jako dziecko i nastolatek. Nigdy nie spotkałem się z pedofilem ani nawet pedofilią w Kościele. Zapytałem kilkoro znajomych, o których wiem, że mają dużo znajomych wśród księży – nikt nigdy nie zetknął się z tym bezpośrednio.

Żeby było jasne, jestem ojcem, każdego pedofila potraktowałbym dużo surowiej niż pozwala Kodeks karny. Tyle że dalej mnie nie przekonano, iż w Kościele zjawisko to było częstsze, choć już dawno powinno być wypalone żywym ogniem. Tyle że to nie pedofile ani ich obrońcy dziś cierpią i nie o nich przede wszystkim chodzi.

Zadzwoniłem teraz do dwóch znajomych księży. Mówią, że się zmieniło – ludzie do kościoła przychodzą ci sami, ale na ulicy koloratka budzi agresję – szczególnie menelni, która przecież zawsze musi mieć jakiegoś wroga.

Tak więc chyba się udało. Ziarno nienawiści zostało podlane. Przecież winien jest cały episkopat, wszyscy księża są podejrzani, bo to wynika ze struktury instytucji, a wierni w kościołach to tylko „biomasa”, wedle definicji niejakiego Chełstowskiego. Niestety może być tylko kwestią czasu, kiedy się komuś coś stanie, kiedy ktoś zdecyduje się pomniejszyć rozmiary biomasy lub zrobić porządek, z którymś z podejrzanych.

Naziści w historii byli tylko Niemcami. Ale myślenie im podobne staje się coraz bardziej powszechne, nie tylko wśród obrońców pedofilów, lecz także wśród ich pozornych łowców – choćby tych, którzy walkę z pedofilią chcą sprowadzić do zakrystii, bo przecież dotknięcie innych środowisk może zagrozić ich upragnionej Tysiącletniej Rzeszy – władzy i pieniądzom.

Wiktor Świetlik

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

Autopromocja

eprasa.pl fcafcc1382



Kultura śmierci

Niestety, ten walec do nas jedzie! Przekonaliśmy się już wiele razy, że to, co niewyobrażalne, przychodziło prędzej, niż można się było tego spodziewać

JAN POSPIESZALSKI

Pisząc ten tekst, nie wiem, jak zakończy się batalia o życie Vincenta Lamberta, młodego człowieka przykutego do łóżka we francuskiej klinice. Decyzję Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, która uznała legalność odłączenia go od aparatury dostarczającej pożywienie, przedstawiano jako akt miłosierdzia. Na szczęście dla pacjenta, którego bliscy uznają zagłodzenie Vincenta za zabójstwo z niewyobrażalnym okrucieństwem, wyrok europejskich sędziów został uchylony przez francuski sąd.

Nic tak dosadnie nie uzmysławia nam, czym są przywoływane tak często „europejskie wartości", jak decyzja wysokiego Trybunału. Czy ograniczona świadomość i niesamodzielność chorego wystarczą, by go uśmiercić? Po raz kolejny (ale już bez takiego zainteresowania mediów, jak w przypadku Terri Schiavo, zmarłej 31 marca 2005 r.) powracają fundamentalne pytania.

Co się takiego stało, że napisana przed wiekami przysięga Hipokratesa przestała obowiązywać? Wystarczyło kilkanaście lat od rozpoczęcia bioetycznej debaty dotyczącej sztucznego odżywiania, aby w prawie, teologii, filozofii, medycynie i społecznej opinii pacjentów pozostających w przewlekłym stanie wegetatywnym zaczęto postrzegać jak warzywa – istoty, których zagłodzenie jest aktem miłosierdzia. Założenie, że upośledzenie funkcji poznawczych unieważnia (lub radykalnie obniża) wartość ludzkiego życia, tak dalece przenika kulturę medyczną, że setki ludzi spisano na straty, zanim wyczerpano wszelkie możliwe środki pozwalające na poprawę ich stanu.

Tak się złożyło, że gdy we Francji rozgrywa się dramat Vincenta, do Polski przyjechał Wesley J. Smith, promując swoją książkę „Kultura śmierci. Gdy medycynie wolno szkodzić". Autor z precyzją kronikarza opisuje zmiany, jakie od lat zachodzą w naszej kulturze. Idee mają konsekwencje. Przypomina o tym Wesley, wskazując, że pogląd o nierównej wartości ludzkiego życia, a co za tym idzie, decyzja usunięcia (uśmiercenia) mniej wartościowych, zbędnych ludzi (i całych grup) nie narodziła się w gabinetach III Rzeszy. To idee naukowców (m.in. noblistów) z brytyjskich i amerykańskich uniwersytetów z początku XX w. Po szoku, jakim była Zagłada, te idee (i praktyka) powróciły w nieco bardziej eleganckim opakowaniu. Wesley opisuje, jak utylitarystyczna wizja ludzkiego życia, obecna na uniwersytetach, wpłynęła na decyzje sądziów. Jak przez precedensowe orzeczenia zmieniły się normy prawne. Powszechny pogląd „Co jest legalne, jest właściwe (dobre)", sprawił, że w ślad za wyrokami sądów i praktyką w szpitalach (m.in. masowa aborcja upośledzonych lub podejrzewanych o chorobę) ukształtowała się opinia publiczna.

Wizja umierania w bólu, demencja i niedołęstwo, groźba utraty świadomości, śmierć w samotności, w warunkach szpitala, z dala od bliskich to najczęściej przytaczane argumenty na rzecz eutanazji. Dyskusja nad warunkami jej dopuszczalności, choć trwa, nie zmienia tego, że eutanazja jest praktykowana w wielu krajach od lat. Teraz wdrażane są nowe pomysły. Skoro skutecznie wyeliminowano cierpienie nieuleczalnie chorych (wraz z eliminacją cierpącego), należy przed poddaniem ich eutanazji uzyskać zgodę na pobranie zdrowych organów do transplantacji.

Ale to nie koniec horroru. Autor książki przywołuje ponurą praktykę promocji eutanazji prowadzonej w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie przez fundusze ubezpieczeń zdrowotnych. Podaje przykłady kreowania obowiązku umierania. Dobrowolne skrócenie życia, a co za tym idzie uchronienie funduszy od wydatków na długotrwałe i kosztowne leczenie, przedstawiane jest już nie jako wyraz altruizmu, ale wręcz obowiązkowa postawa społecznej odpowiedzialności.

Większość tych pomysłów brzmi jeszcze u nas jak ponury scenariusz filmu science fiction. Niestety, ten walec jedzie! Przekonaliśmy się już wiele razy, że to, co niewyobrażalne, przychodziło prędzej, niż można się było tego spodziewać.

eprasa.pl fcafcc1382

Trybunał koryguje wynik wyborów



Jerzy Jachowicz

Do redakcji „Sieci" dotarło pismo (w języku flamandzkim) z Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu z prośbą o jego pilne opublikowanie na łamach naszego tygodnika. W poczuciu społecznego obowiązku spełniamy tę prośbę.

„Zadaniem Trybunału jest ochrona ładu prawnego w państwach członkowskich UE oraz dbanie o to, aby nie były w nich naruszane zasady zdrowej demokracji – to podstawowa myśl preambuły Trybunału, jaka przyświeca naszej publicznej działalności. Podkreślamy, iż to jedyny powód, dla jakiego – na wniosek wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej Fransa Timmermansa – dokonujemy korekty wyniku wyboru na najbliższą kadencję Parlamentu Europejskiego w jednym z okręgów w Polsce. Dodajmy wyniku, który drastycznie wypaczył idee prawidłowego i szlachetnego współzawodnictwa politycznego, a ponadto zagrażał dalszemu rozwojowi naszej wspólnoty. Oto ten werdykt.

Unieważniamy wynik uzyskany w Polsce w okręgu południowo-małopolskim przez kandydata partii Prawo i Sprawiedliwość Ryszarda Czarneckiego, wedle którego został wybrany z pierwszego miejsca do Parlamentu Europejskiego. Decyzją Trybunału jego miejsce zajmuje kandydatka Koalicji Europejskiej Róża Thun. Nie możemy zaakceptować tez programu Ryszarda Czarneckiego, który mamił wyborców reformą UE, w tym zmianą roli Komisji, oraz zapowiedzią walki o zdobycie możliwie najwyższych dotacji. Jednogłośnie uznaliśmy, że mizerny wynik uzyskany przez Różę Thun jest dla niej wysoce niesprawiedliwy. Bo to właśnie jej program, preferujący przestrzeganie europejskich wartości, zasługuje na poparcie, co wyrażamy podjętą decyzją".

Tłumacz przysięgły: Jerzy Jachowicz

Z ostatniej chwili. Tuż przed zamknięciem niniejszego numeru Donald Tusk przesłał specjalne ogłoszenie (całe opublikujemy w następnym numerze), w którym składa Róży Thun gorące gratulacje w związku z przedłużeniem jej „pobytu na następną kadencję w wielkiej rodzinie europejskich parlamentarzystów".

CO MNIE WZRUSZA

Śpieszmy się kochać...



Katarzyna Łaniewska

„Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą". Słowa z wiersza ks. Jana Twardowskiego są tak boleśnie prawdziwe. Pożegnałam w ostatnich dniach moją zaprzyjaźnioną poetkę Hanię Królak, pseudonim artystyczny Teresa Boguszewska.

Hanię poznałam ponad 30 lat temu na jednej z pierwszych mszy św. za ojczyznę odprawianych przez ks. Jerzego Popiełuszkę. Hania, jak mi później opowiadała, pisała swoje wiesze i wrzucała je do koszyczka, nie podpisując, ponieważ spotkałyby ją represje. Po jakimś czasie ośmieliła się podejść do ks. Jerzego i powiedzieć, że to ona przynosi wiersze i wrzuca do koszyczka. Pytał, dlaczego nie pisze pod pseudonimem. Odpowiedziała, że właśnie chciała zaproponować: Teresa Boguszewska. Ks. Jerzy zaczął się śmiać. Dlaczego? Tak się nazywała jego siostra – Teresa, po mężu Boguszewska. Panie kiedyś się spotkały na rocznicy urodzin ks. Jerzego w Suchowoli.

„Terenia" pisała dla księdza i o księdzu. Pisała dla Ojca Świętego Jana Pawła II i o ważnych osobach z ówczesnego życia – o płk. Ryszardzie Kuklińskim i Annie Walentynowicz. Hania w życiu była skromną osobą, z wykształcenia farmaceutka z Bożym talentem. Jej wiersze w miarę pisarskiego dojrzewania i zmieniania się jej spojrzenia na świat były coraz mądrzejsze w formie poetyckiej. Z wielką przyjemnością je recytowałam i pomagałam w prowadzeniu spotkań z okazji nowych tomików. Odbywały się one w przyjaznej atmosferze domu przy parafii św. Stanisława Kostki. Jeździłam też z jej poezją w różne miejsca, wspierając ją swoim mocnym głosem. Hania w życiu była wycofana, czasami starałam się nią potrząsnąć, że musi działać. Po śmierci męża, którą bardzo przeżyła, stała się osobą samotną i niedającą sobie za bardzo rady w życiu. Ale miała wokół siebie wielu przyjaznych ludzi.

Napisała cykl wierszy o największej współczesnej tragedii narodu polskiego – katastrofie smoleńskiej. Na mszy rocznicowej za 96 ofiar lotu do Katynia recytowałam poezję Hani. Zadzwoniła do mnie i dziękowała, że mogła usłyszeć swoje wiersze. Kiedy po miesiącu zadzwoniłam do niej, by powiedzieć, że nie będę mogła uczestniczyć w kolejnej mszy z powodu zdrowia, dostałam wiadomość, że Hania umarła.

Tych, którzy mogą sięgnąć po jej tomiki, proszę, by zaznajomili się z poezją tej dziwnej farmaceutki, która była mądrą poetką i ciepłą osobą.

eprasa.pl fcafcc1382

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Podrasowany fortepian

Szalbiercza wyobraźnia ludzka nie zna granic

Filharmonia Kaliska o mały włos nie nabyła za 400 tys. zł podrobionego fortepianu.



Ryszard Makowski

Dwa lata temu ta instytucja kultury zapragnęła mieć instrument wysokiej klasy. Niestety nie miała wystarczającej kwoty, by nabyć nowy fortepian koncertowy. Szukano więc egzemplarza w dobrym stanie firmy Steinway wyprodukowanego po 2000 r.

Do dyrekcji filharmonii zgłosił się właściciel miejscowej firmy zajmującej się restaurowaniem instrumentów z radosną wieścią, że ma fortepian po renowacji lakieru zewnętrznego i mechanizmu młoteczkowego z 2001 r. Dobroczyńcę jednak zgubił pośpiech. Dostarczył instrument, zanim zainkasował pieniądze. Pracownicy filharmonii po oględzinach nabrali podejrzeń, czy ten „krokodyl" spełnia kryteria zamówienia. Wykryto próbę oszustwa. Fortepian miał przebite numery, dziewięć nieoryginalnych elementów i był z 1957 r. Jego wartość wyceniono na 150 tys. zł, czyli oferent miałby górką 250 tys. zł.

Żeby było zabawniej, Prokuratura Rejonowa w Kaliszu w październiku 2018 r. umorzyła śledztwo: „w trakcie postępowania stwierdzono brak znamion czynu zabronionego". Obecnie śledztwo wznowiono. Żeby było jeszcze zabawniej, cała tragikomedia rozgrywa się w Kaliszu – mieście słynącym niegdyś z fabryki fortepianów Calisia. Jest tam też Technikum Budowy Fortepianów im. Gustawa Arnolda Fibigera, jedna z trzech takich placówek na świecie. Żeby w takim mieście próbować naciąć kogoś na sfałszowany fortepian, trzeba być naprawdę wirtuozem biznesu.

eprasa.pl fcafcc1382

***Zawistowski prezentuje:* Wieczór wyborczy**





***Wycinki z* przeszłości**

„Tygodnik Narodowy" z lipca 1913 r. opisywał rosnący napór niemczyzny, która za wszelką cenę próbowała germanizować polskie dzieci w zaborze pruskim. „System ten demoralizuje duszę dziecka polskiego i stara się wzbudzić w niej najgorsze instynkty. Jak inaczej nazwać postępowanie pedagoga pruskiego, który dzieciom kaszubskim za mówienie po polsku tak długo każe nosić laskę zwaną »polakiem«, dopóki nie zadenuncjowało za to przestępstwo innego dziecka i w ten sposób uwolniło się od »polaka«. Albo jak nazwać przekręcanie historii polskiej i zohydzanie bohaterów naszych. Jak wreszcie nazwać bicie dzieci za to, że nie chciały modlić się w obcym języku!".

I dalej: „Gdybyć przynajmniej pozwalano na to, żeby poza szkołą zajęto się dzieckiem i starano rozwijać jego przymioty serca i umysłu. Tam jest to zbrodnią. Za nauczanie dzieci języka polskiego pakuje się kobiety polskie do więzienia, niby pospolite zbrodniarki. System pruski woli raczej, by młodzież czas wolny spędzała na rozpuście i pijaństwie".

Co zatem robić? „W takich warunkach jedyną ostoją i obroną dla dzieci naszych pozostaje tylko dom szczerze polski. Cały obowiązek wychowania młodego pokolenia w duchu narodowym spada na rodziców".

Cóż, subtelniej dziś to wszystko się rozgrywa, mamy państwo polskie, ale bitwa o dusze naszych dzieci nadal toczy się tak, że w domu trzeba wykonać najważniejszą pracę wychowawczą. Nie zaniedbujmy tego!

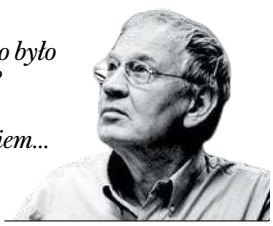
Na zdjęciu obrazek z epoki z tego samego pisma.

(mk)

Dalekie wiosny

Innych już nie będzie
Jeśli się zdarzą, będą jeszcze dalsze
– Odległość funkcją jest przestrzeni i zegara
– Umówionej miary

Wszakże tam serca wspominanie
Gdzie mu się zdaje – centrum, sedno było
Szczęście – w najbliższym zasięgu?
Późniejsze wiosny i jesienie
– Dni tylko zwykłym są księgowaniem...
– Biegną, zbiegają po kolei
Ale już nie tak
Nie tak już jak przedtem...



***Leszek* Długosz**

Ale tak biegną i wbiegają na murawę
(Na ziemskie stadiony)
Szczęśliwie do gry powołani
Aby po chwili swego apogeum
Na ławce rezerwowych usiąść
– W cieniu nieuchronnego zapomnienia
Wiosny, jesienie zliczając wciąż późniejsze
– Przychodzimy, odchodzimy, refren ów podejmując
– Z sercem już uciszonym?
Wolnym od oczekiwań?
– Bóg i oni jedni wiedzą

Szczęśliwcy...
Jeśli na widok blasków dalekiej wiosny
Zachwytem zdolni są ozdobić swe spojrzenia
Jak i gdy złotem października oczarowani
Patrzą w milczeniu...
Z uśmiechem pogodzenia

Lecz odkąd Boski Selekcjoner rzekł: stań się...
– Gra toczy się nieustannie
– Na deski, na murawę wbiegają gracze
I w przestrzeń międzyplanetarną
Już się ośmielają
– Gracze śpiewający niestrudzenie
Przychodzimy, odchodzimy...

Aby po chwili swojej pełni
Na ławce rezerwowych usiąść
W cieniu nieuchronnego zapomnienia
Wiosny, jesienie zliczając wciąż późniejsze
– Z sercem czy wolnym od oczekiwań?
– Już uciszonym?
Bóg i oni jedni wiedzą...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl fcafcc1382

OD A DO ZYBERTOWICZA

Sensu będzie mniej



Być może rację mają ci, którzy prognozują, że technologia 5G głęboko przebuduje ludzki świat. Ale nie będzie to zmiana na lepsze

O technologii 5G jest głośno. Pewnie głównie za sprawą sporu USA z chińskim gigantem technologicznym, firmą Huawei, i choć to kwestia superważna, teraz zupełnie ją pominę.

INŻYNIERSKI OPTYMIZM

W jednym z polskich raportów na temat perspektyw 5G czytamy: „Kompleksowe wdrożenie sieci 5G na terenie całej Polski zapewni **jednakowe szanse** mieszkańcom niewielkich miejscowości, jak i dużych miast w dostępie do tych usług. Dzięki sieciom 5G stworzone zostaną warunki do realizacji nowych usług, które m.in. pomogą **niwelować nierówności** w dostępie do rynku pracy poprzez wsparcie technologiczne pracy zdalnej, czy **usuwanie barier** w dostępie do służby zdrowia poprzez uruchomienie zaawansowanych, zdalnych usług e-zdrowia, wykorzystujących np. aplikacje rozszerzonej rzeczywistości czy wirtualnej rzeczywistości. (...) Usługi i aplikacje wykorzystujące możliwości sieci 5G dostarczą narzędzi zapewniających **łatwą interakcję i współpracę** pomiędzy instytucjami publicznymi a społeczeństwem (...)".

Czyli ma być cudownie. Demokratycznie i sprawiedliwie. Nareszcie! – chciałoby się wykrzyknąć.

WIĘCEJ, WIĘCEJ…

Technologia 5G, która w istocie jest niczym innym jak nową generacją systemów łączności, ma przynieść moc wszelkich obfitości. Dzięki temu, że łączność ma być znacznie szybsza, mieć kanały bardziej pojemne i niezawodne, ludzkość przy okazji dostanie więcej wszystkiego. Więcej produktów, usług, więcej ofert, więcej optymalizacji, więcej szans, więcej możliwości wyboru, kreatywności, więcej elastyczności, więcej filmów, więcej muzyki. Więcej.

SOCJOLOGICZNY REALIZM

Kłopot z tym, że wielu wizjonerów postępu technologicznego przyjmuje nierealistyczny obraz świata społecznego. W duchu epoki oświecenia liczni naukowcy, inżynierowie, ludzie biznesu (i często politycy imitujący ich optymizm) wierzą, że świat ludzki po prostu dalej będzie się poprawiać. Roztaczając wizje wszelakich korzyści, jakie mają być przyniesione przez 5G, nie dostrzegają, że nowe rozwiązania techniczne nie są wprowadzane w świat społeczny, który jest sprawiedliwy, zrównoważony, demokratyczny i pokojowy. Tak nie jest. To błędna perspektywa. Świat społeczny ma inną naturę.

Technologie zawsze wchodzą w tkankę ludzkiej konkurencji i konfliktów, w przestrzenie skumulowanych praw własności i innych nierówności, w świat gier kulturowych i politycznych napięć, nieustannych walk o władzę, kryzysów, wreszcie wojen.

5G wejdzie zatem w świat manipulacji i dezinformacji, które dzięki rewolucji cyfrowej nabrały skali historycznie unikatowej, umożliwiając fabrykowanie obrazów świata dla milionów ludzi. Podobnie jak inne nowe technologie 5G stanie się paliwem do mistyfikowania na masową skalę interesów i celów działania.

TECHNOLOGIE UZALEŻNIAJĄCE

W dodatku dzisiaj w kolejne innowacje wplatane są cyfrowe technologie uzależniające, przytrzymujące ludzi przed ekranami komputerów, tabletów i smartfonów, sterujące naszymi działaniami za pomocą rozmyślnych psychosztuczek.

5G zapewne umożliwi jakościowy przełom technologiom rzeczywistości wirtualnej (VR). Co będzie prawdopodobnie oznaczało skokowe powiększenie skuteczności technologii uzależniających. Technologii, za pomocą których nieliczni wpływają na masy.

Można sobie wyobrazić liczne sytuacje, w których sieci 5G będą bezpieczne technicznie (trudne do zhakowania) i wprowadzone do sieci informacje będą przepływały w sposób niezakłócony, jednak zarazem mogą być miejscem dogodnym dla inicjowania działań o dużym potencjale destabilizacji struktur społecznych.

WIĘCEJ PROBLEMÓW NIŻ ROZWIĄZAŃ

Jesteśmy w tej fazie rozwoju ludzkości, gdy technologia stwarza więcej problemów (i to coraz poważniejszej natury), niż ich rozwiązuje.

Technologia dopasowuje ludzi do siebie, a nie siebie do naszych potrzeb. Niestety, to odwrócenie relacji pana i sługi ciągle słabo jest dostrzegane.

Być może rację mają ci, którzy prognozują, że 5G głęboko przebuduje ludzki świat. Ale nie będzie to zmiana na lepsze.

Wszystkiego będzie więcej. Z wyjątkiem sensu.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 1/0519/F

eprasa.pl fcafcc1382

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj od poniedziałku do piątku od godz. 14:00

Pobierz za darmo
pierwszą w Polsce aplikację mobilną,
dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji
z ulubionym dziennikarzem
w nowym programie Studio Polaków.

Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store



ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

eprasa.pl fcafcc1382

WYGRAJ W ZŁOTEJ LOTERII

PONAD 660 NAGRÓD DO WYGRANIA

EURO JACKPOT

Weź udział w loterii od 10 maja do 7 czerwca 2019r.
Kup minimum jeden zakład gry Eurojackpot.



2x TOYOTA C-HR

41x ZEGAREK MĘSKI

41x ZEGAREK DAMSKI



25x SZTABKA ZŁOTA 10g



559x BON UPOMINKOWY YES 300 zł



Zwiększ swoją szansę na wygraną!

Kup minimum **2 zakłady** gry Eurojackpot na jednym kuponie i zarejestruj swój kod na **www.loteriaeurojackpot.pl**, a otrzymasz aż **3 szanse** na wygraną w losowaniach nagród I, II i III stopnia! Szczegóły dostępne w regulaminie loterii.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Graj w punktach LOTTO

Zapoznaj się z regulaminem na **www.loteriaeurojackpot.pl**. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 10 maja 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 7 czerwca 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią dostępną pod numerem: 459 595 955, czynną od poniedziałku do piątku w godz. 8:00-16:00 z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pl fcafcc1382